

# Zelazna Klatka

NORTON ANDRE



calibre 0.7.28

ANDRE NORTON

Zelazna Klatka

PRZEŁOZYŁA EWA JASIENSKA

TYTUŁ ORYGINALU IRON CAGE

PROLOG

-Co masz zamiar zrobić z tą kotką?-Oddać ją do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. My oczywiście nie możemy jej zabrać ze sobą. A ona znowu będzie miała male.

-Ale co na to Cathy?

-Powiedzieliśmy jej, że oddajemy Bitsy w dobre ręce. W końcu oni tam czasami znajdują jakieś domy dla niektórych zwierząt, prawda?

-Dla kotki, i to ciężarnej?

-No cóż, nic więcej nie da się zrobić. Chłopiec Hawkinsów obiecał ją tam podrzucić. Właśnie podjeżdża i zaraz zawiezie ją do schroniska. Cathy nie może się o tym dowiedzieć. Słowo daje, nie wiem, co mam zrobić z tym dzieckiem. Postanowiłam jedno: nigdy więcej żadnych zwierząt w domu! Szczęśliwie się składa, że w nowym mieszkaniu nie wolno ich trzymać.

Czarno-biała kotka kulila się w pudle, do którego została bezceremonialnie wepchnięta godzinę wcześniej. Wrzaski protestu nie przyniosły ratunku, podobnie jak szalencze drapanie, które doprowadziło tylko do tego, że karton zaczął podskakiwać na stopniu ganka. I mimo że nie rozumiała dobiegających zza drzwi, tłumionych przez karton słów - opanował ją teraz strach. Już od samego rana była niespokojna, czas jej kocenia się był bardzo bliski. Musi stąd wyjść, znaleźć bezpieczne miejsce. Cały jej instynkt pchał ją do tego; jednak żadne, nawet największe wysiłki, nie przyniosły wolności.

Na dźwięk samochodu wjeżdżającego na podjazd wreszcie się rozplaszczyla. Teraz pudło zostało poderwane w górę i zakolysało się tak gwałtownie, że rzuciło ją z boku na bok. Znalazła się wewnątrz samochodu. Jeszcze raz wydała z siebie rozpaczliwy, pełen przerażenia wrzask, chcąc znaleźć te ręce i głos, które zawsze oznaczały poczucie bezpieczeństwa. Lecz żadna odpowiedź nie nadeszła. W zdenerwowaniu zasikała pudło, co jeszcze zwiększyło pragnienie uwolnienia się.

Samochód stawał.

-Co z tobą, chłopie? Czemu tak późno przyjechałeś?

-Mam cos do zalatwienia dla Stansonow; oni sie jutro przeprowadzaja i chca sie pozbyc swojej starej kotki. Mam ja zawiezc do Towarzystwa Opieki nad Zwierzetami.

-Do schroniska? Ty wiesz, gdzie to jest? Jakies piec mil stad. A my jestesmy juz spoznieni! Jechac taki kawal drogi tylko po to, zeby sie pozbyc kota; chlopie, chyba zwariowales!

-To co mam zrobic, madralo?

-Ona jest w tym pudle? Fiu-fiu - gwizdnal - zasmrodzi caly samochod. Lepiej szybko sie jej pozbadz, jezeli chcesz gdzies zabrac wieczorem te mala Henslow. Taki koci smrod jest cholernie trwaly. Powiem ci, co robic, glupku. Pojedziesz kawalek szosa; tam jest taki las za drugim zakretem, normalne smietnisko. Sluchaj no, bedzie padac, musisz sie spieszyc, jezeli chcesz jeszcze wziac udzial w naszej zabawie.

-Chyba masz racje.

Na pewno. Wywal te stara smierdzaca kocice i wracaj tu, ale szybko. Musimy sie spotkac z tymi laluniami, a one nie sa z takich, ktore by dlugo czekaly.

Kotka zamiauczala z przerazeniem. Te szorstkie, nieprzyjemne glosy byly tylko przykrym halasem, nie znaczyly nic. Ciezko dyszala; panujacy w pudle odor przyprawial ja o mdlosci - zeby tylko moc sie wydostac!

Samochod zatrzymal sie jeszcze raz, pudlo znow zostalo ostro szarpniete. Gwaltownie wypchniete przez otwarte okno, uderzylo twardo o ziemie, potoczylo sie po pochylosci, by lec wsrod innych nielegalnie wyrzuconych odpadkow. Kot, wstrzasniety i obolaly, wrzasnal znowu.

Dobiegl go glos odjezdzajacego samochodu, a potem nie bylo juz nic slychac, z wyjatkiem deszczu uderzajacego o pudlo. Kotka jeszcze raz sprobowala wydostac sie na wolnosc. Dlaczego sie tutaj znalazla? Gdzie jest dom?

Cale to gwaltowne szarpanie i miotanie przyspieszylo porod. Wila sie w bolach, wrzeszczac. Nie bylo miejsca! Pudlo drzalo pod ciosami narastajacej burzy. Pojawil sie pierwszy kociak. Kotka obwachala go krotko, ale nie zadala sobie trudu, zeby lizac, tchnac w niego zycie. Kocie bylo martwe. Z nowym przyplywem furii teraz szarpala bok pudla. Karton, rozmieczony przez deszcz, zaczal sie poddawac. Szansa wydostania sie na wolnosc wprawila ja w szalenstwo, wiec kotka drapala tak dlugo, dopoki nie wydarla dostatecznie duzego otworu, by sie wydostac. Uderzyl w nia deszcz, przemoczyl siersc sprawiajac, ze znowu glosno wrzasnela.

Kierowal nia instynkt. Musiala znalezc schronienie, jakies miejsce, zanim... zanim...

Wywlekla sie z pudla, rozejrzala dookola. Byl tam ogromny stos wyrzuconych smieci,

porzuconych rzeczy. Niedaleko leżała przewrócona na bok lodowka z oderwanymi drzwiami. Znalazła się w środku, kiedy pojawił się drugi kot, ledwo żywy. Później zjawiły się dwa następne. Miała schronienie, ale jedzenie, picie... Była zbyt zmęczona, pokonana przez strach i szok, żeby czegoś szukać. Położyła się na boku, pisnęła cicho, zasnęła i zasnęła.

I

-To jest samica Maunow? Co z nią zrobisz? Jest kotna.-Bezwartościowa dla naszych celów. Poza tym jest szalona. Kiedy zabraliśmy jej ostatnie młode do doświadczeń, stała się niebezpieczna. Połączyliśmy ją z młodszym samcem, ale mocno go pobiła. Szczęśliwie on ma umysł podatny na sterowanie, co jest pomocne w takich przypadkach.

Dziwne, że sterowanie umysłem nie zawsze jednakowo działa. Są takie sprawozdania...

-Nie mów mi o sprawozdaniach. Spiętrzają się w czytniku i kiedy ma się czas, żeby je posegregować? Teraz, kiedy Llayron zarządził wczesny start, część doświadczeń nie zostanie w ogóle przeprowadzona. Tej samicy nie możemy zabrać ze sobą w kosmos: nigdy nie dostarczyłaby nam żywych młodych. Nie ma to zresztą większego znaczenia, gdyż jest to po prostu bezwartościowy, wybrakowany obiekt. Najlepiej będzie pozbyć się jej.

Rutee skuliła się w klatce, zgarbiła, chroniąc splecionymi ramionami swój nabrzmiały brzuch. Dziecko, kolejne dziecko w tym potwornym miejscu! Chciałaby zabić i siebie, i to dziecko, zanim się urodzi! Nie było jednak sposobu. Jeżeli nie jadłes, przywiązywali cię i karmili pod przymusem swoimi zastrzykami. Tak jak przymusili ją. Rutee starała się skupić na wspomnieniach.

Nie była mentalnie sterowana tak jak reszta obiektów doświadczalnych. Bron też nie był. To właśnie dlatego zabili go zaraz na początku. Tamto, tamta rzecz, której użyli, zakładając ją ojcu dziecka, które teraz nosiła... Nie, tego nie wolno wspominać.

Obcy prawdopodobnie dyskutowali o niej. Lecz nikt z jej gatunku nie słyszał, jak mówią obcy. Albo porozumiewali się ze sobą telepatycznie, albo też zakres ich porozumiewania się był dla ludzkiego ucha powyżej lub poniżej możliwości odbioru. Mogła jednak wyczuć, że zajmowali się nią. Była też dość sprytna, by się zorientować, że nadchodziło jakieś wydarzenie wykraczające poza normalny tok pracy laboratorium. Trwało wielkie pakowanie: ładowali rzeczy do specjalnie szczelnie zamykanych pojemników. Czy to, co podejrzewała, było prawdą? Czy przygotowywali się znowu do wyruszenia w kosmos? Jeżeli tak, to co z dzieckiem?

Zwinęła się w ciasniejszy klebek, przypominając sobie, co się stało z Luci, z którą przebywała przez jakiś czas razem w klatce, po tym, kiedy ich wszystkich wzięli do niewoli. Luci była w ciąży. A w kosmosie zmarła. Rutee starała się jasno myśleć.

Od jak dawna tu była? Od miesiący? Nie było sposobu, by zmierzyć czas. Trwało to jednak

wystarczająco długo, by mogła się zorientować, że w jakiś sposób różni się od innych. Kiedy przykrecili jej to sterujące urządzenie, poczuła tylko klucie, a nie doznała uczucia przymusu, najwidoczniej wywieranego na jej współtowarzyszy niedoli. Jony też tego nie odczuwał!

Odwrocił lekko głowę, starając się dostrzec rząd klatek.

-Jony! - zawołała z cicha. - Jesteś tam, Jony? Odkryła kiedyś, że obcy nie lepiej słyszą jej głos niż ona ich. Dawalo jej to cien nadziei.

Może teraz nadszedł czas, żeby zdobyć się na ostateczny wysiłek.

-Jony?! - zawołała znowu.

-Rutee - odpowiedział jej. A więc nadal tam był! Zawsze, po każdym przebudzeniu, bała się, że go nie będzie.

-Jony - starannie dobierała słowa - myślę, że coś się wydarzy. Pamiętasz, co ci mówiłam o zamku klatki?

-Już to zrobiłem, Rutee. Przed chwila, kiedy przyniesli miske z jedzeniem, zrobiłem to! - W jego odpowiedzi brzmiało pełne triumfu podniecenie.

Rutee wzięła głęboki oddech. Jony był czasem wręcz niepokojąco bystry; szybko wszystko wyczuwał. Jak na siedmiolatka był niezwykle. Był przecież rodzonym synem Brona. Brona i jej, zrodzonym z ich miłości i wiary w siebie nawzajem i w przyszłość, która widzieli przed sobą jako kolonisci na tamtej planecie, nazwanej przez nich Ishtar. Nie, to nie był czas na rozpamiętywanie, to był czas działania.

Badawczo przyglądała się obcym.

Ich dziwna fizyczna postać tak bardzo odbiegała od normy uznawanej przez jej lud za "ludzka", że nie umiała myśleć o nich inaczej, jak tylko o koszmarnych potworach - niezależnie od traktowania, jakie zgotowali swoim nieszczęsnym "okazom". Wznosili się na swych wrzecionowatych nogach znacznie wyżej niż najwyżsi mężczyźni, jakich kiedykolwiek widziała, mieli okrągłe workowate ciała i głowy, które, pozbawione szyi, spoczywały wprost na wąskich ramionach. Ich usta były ziejącymi szparami, ich oczy sterczały jak wytrzeszczone galki. Całe ich zielonkawożółte ciała były zupełnie pozbawione włosów.

A ich umysły - Rutee wzdygnęła się. Nie mogła odmówić im wyższości procesów myślowych. Gorowali pod tym względem nad jej własnym gatunkiem. Dla tych potworów jej rodzaj ludzki to były tylko zwierzęta, których pozbywano się po wykorzystaniu.

Jeden nadchodził teraz, żeby odpiąć klamry utrzymujące jej klatkę w rzędzie pozostałych. Oni... oni ją stąd zabierają? Jony! Nie, nie!

Rutee chciała walić w prety klatki, szarpac je. Lepiej jednak było zachować się tak, jakby była zastraszona. Nie chciała, żeby przynieśli to swoje narzędzie do wywierania przymusu, nie chciała, by zadawali jej bolesne wstrząsy.

-Jony, wyciągają moją klatkę. Nie wiem, co chcą ze mną zrobić. - Starła się, żeby ta wiadomość zabrzmiała rzeczowo.

-Chcą cię zanieść do zbiornika na odpady. - Słowa Jony'ego przeraziły ją. - Ale nie robią tego!

Smietnisko, tam gdzie znikają martwi i bezużyteczni! I choć nie mogłyby to w niczym pomóc. Rutee chciała głośno wykrzyknąć swój strach.

-Nie robią tego! - powtórzył Jony. Odbierał chyba wszystko, co czuła w tej chwili. Miewał dziwne przebiegi empatii.

-Czekaj na mnie, Rutee!

-Jony! - Teraz bardziej bała się o niego, niż o siebie. - Nie próbuj niczego, nie daj się skrzywdzić!

-Nic mi nie robią. Po prostu czekaj, Rutee.

Obcy oswobodził jej klatkę i przyciskając ją do swego ogromnego cielska, taszczył wzdłuż przejścia. Rutee przywarła do pretów, by uniknąć rzucania na boki. Byli już teraz blisko drzwi prowadzących do składowiska odpadów. Rutee miała nadzieję, że tam, po drugiej stronie drzwi, śmierć przyjdzie szybko.

Jednak, ku jej zdumieniu, mineli drzwi. Po słowach Jony'ego była już tak pewna swego losu, że teraz, kiedy wyszli z laboratorium i posuwali wzdłuż korytarza, oszłamiona, potrafiła pojąć tylko tyle, że śmierć najwidoczniej się trochę opóźnia.

Zdumienie nie opuściło jej, kiedy wyszli na zewnątrz, idąc w dół po pochylni statku przewyższającego swą wysokością najwyższe budynki, jakie kiedykolwiek widziała.

Właśnie wtedy, kiedy szli w dół pochylni, spostrzegła Jony'ego. Zobaczyła go nie w klatce, lecz przemykającego się po podłodze szybkimi ruchami, po kilka stop za każdym razem, i zastygającego w bezruchu przed każdym następnym skokiem. Jony naprawdę otworzył zamek swojej klatki; był wolny. Zaskoczenie i nadzieja przepelniały ją na dłuższą chwilę bliskim uczuciem radości.

Jony nie rozumiał, w jaki sposób wszystko wiedział. Było to tak, jak gdyby odpowiedzi same przychodziły mu do głowy. Rutee jedynie wyczuwała nadejście zmiany, on wiedział o niej na pewno. Miejsce, w którym się znajdowali (Rutee powiedziała, że to statek kosmiczny) odlatywało gdzieś w niebo. A Rutee? Wielcy zamierzali się jej pozbyć. Może

udaloby mu sie ja uwolnic, dostac sie do jej klatki i otworzyc ja z zewnatrz. Musial to zrobic! Kiedy - wczesniej niz sama Rutee - byl juz pewien tego, co mialo sie wydarzyc, zwinal sie w klebek, kladac brode na podciagnietych kolanach oplecionych ramionami. Jakis czas temu dokonol swego wielkiego odkrycia. Juz wczesniej Rutee powiedziala mu, ze rozni sie od innych, ktorzy robili dokladnie to, co kazali im robic Wielcy. Czasami, kiedy bardzo sie staral, sam mogl zmusic Wielkiego, zeby postapil zgodnie z jego mysla!

Teraz musial tak zrobic z tym Wielkim, ktory stal przed klatka Rutee. Byl to tylko pojedynczy wrog. Jony mial wiec szanse. Skupil cala swoja zdolnosc koncentracji (a byla ona tak wielka, ze gdyby Rutee mogla ja poznac, zdumialaby sie) na jednej mysli. Rutee - nie - moze - zostac - wyrzucona - na - smietnisko. Rutee NIE - moze -

Wolanie Rutee wyrwalo go z tej koncentracji. Gdy juz jej odpowiedzial, jego mysli znow skupily sie na Wielkim i na klatce Rutee.

Klatke, juz uwolniona, pochwycila reka bez palcow, lecz z szescioma mackami, pozbawionymi wprawdzie kosci, lecz obdarzonymi potezna sila uchwytu - sila, jakiej jego wlasnych piec palcow nigdy nie mialo. Jony myslal...

Drzwi do smietnika - Wielki je ominal! Jony blyskawicznie rozprostowal sie i wydostal sie z klatki. Opuszczal sie po pretach drugiej, pustej, znajdujacej sie nizej i juz po chwili zeskakiwal na podloge. Tam zaczal sie poruszac krotkimi skokami od jednej upatrzonej zawczasu kryjowki do drugiej. Osiagajac pochylnie, zobaczyl Wielkiego, jak kroczy przed nim, niosac klatke Rutee. Wzial gleboki oddech i pobiegl z pelna szybkościa. Przemkнал obok Wielkiego, kierujac sie ku otwartemu swiatu poza nim. W kazdej chwili spodziewal sie, ze jedna z tych wielkich rak pochwyci go, owinie swymi mackami i uwiezi z powrotem.

Przepelnial go strach. Gdy tylko poczul cos nad soba, rozplaszczyl sie i potoczyl w gleboki cien padajacy od wznoszacego sie wysoko statku. Znalazszy sie tam w koncu, Jony dyszal przez chwile nie wierzac, ze nadal jest wolny. Potem zdecydowanym ruchem wywinal sie do tyłu, wpatrujac sie w miejsce bedace jedynym znanym mu dotad schronieniem: w luk, z ktorego wychodzila pochylnia. Wielki zatrzymal sie u stop wejscia. Jony wyczul jego dezorientacje.

Raz jeszcze Jony sie skoncentrowal. Klatka - postaw ja tam, dalej.

Z cala moca skierowal te mysl ku wrogowi. W odpowiedzi odebral zamet mysli obcego. A jednak oddalal sie on wciaz od pochylni, trzymajac klatke w reku. Pozniej Wielki zastygl w bezruchu, spogladajac w tyl, jak gdyby wzywal go jakis glos. Jony zadrzal. Nie bylo teraz sposobu, zeby sie z obcym skontaktowac; wroci na statek z Rutee i...

Tylko ze obcy nie zrobil tego. Nie zabral klatki. Odrzucil ja od siebie i ciezko tupiac, zawrocil na pochylnie. Gdy tylko znalazl sie wewnatrz, luk wejsciowy zaczal sie zasuwac. Wielki byl w srodku, gdy statek zamkнал sie szczelnie.

Rutee, klatka. Jony wygramolił się ze swojej kryjówki, torując sobie drogę przez klujące zarośla znaczące jego naga skóra krwawymi śladami zadrapań.

-Rutee! - krzyknął głośno. Lecz jego głos został wchłonięty przez grzmiący, dudniący odgłos, tak straszliwy, że Jony przycupnął za olbrzymim drzewem, osłaniając rękami uszy przed ogłuszającym hałasem. Polem rozszedł się zwałający z nog podmuch. Jony skulił się jeszcze bardziej. Gdyby tylko mógł, wkopałby się w pokryta gestwiną korzeni ziemię, na której stał.

Przez chwilę po prostu trwał; strach wypełniał jego doprowadził ciało do konwulsyjnego drżenia, sprawił, że Jony zakwilil.

Podmuchał zamarł, dźwięk zamilkł. Jony odjął ręce od uszu, zaczerpnął powietrza. Łzy popłynęły strugami po jego podrapanej twarzy. Ciągłe drżał. Było zimno. I ciemno. Tak gęstego mroku jak ten w zaroślach, nigdy nie widział w pomieszczeniu z klatkami, jedynym miejscu, jakie mógł pamiętać.

-Rutee? Jej imię zabrzmiało jak syczący szept. Nie mógł jakos zmusić zaschniętych warg do wydania głośniejszego dźwięku. Chciał, musiał znaleźć Rutee!

Posuwając się po omacku, na ślepo przekopywał się przez zarośla, dwukrotnie napotykał nieprzebytą gestwinę. Chwiejnym krokiem brnął wzdłuż przeszkody, dopóki nie znalazł jakiegoś przejścia. Kreciło mu się w głowie i nie mógł myśleć; wiedział tylko, że musi znaleźć Rutee.

Klatka zatoczyła w powietrzu szeroki łuk, gdy obcy ją cisnął. Rutee przeżyła parę chwil paniki. Rzuciła ją, gdy wieżąc ją klatka ładowała gwałtownie na gestej pokrywie roślinności tłumiącej upadek. Miażdżące uderzenie, którego się spodziewała, zostało znacznie złagodzone. Być może to uratowało jej życie; na razie.

Leżała na podłodze. Polamane galezie, które przebiły się przez grubą drucianą siatkę, były w nią wymierzone. Obie ręce przycisnęła do brzucha. Bol... dziecko... już niedługo. Była w pułapce.

Na kilka chwil opanował ją strach, gdy wokół rozległ się szalony hałas. Później uderzył podmuch wiatru. Tylko dzięki temu, że leżała na boku, na krótko zobaczyła statek, który był jej więzieniem. Statek obcych zniknął z niezwykłą wprost szybkością.

Jony. Widziała go, jak biegł w dół schodów, jak wydostał się na zewnątrz statku.

-Jony - słabym głosem wyszeptała jego imię, jęcząc, gdy znow zaatakował ją nieubłagany ból.

Gdy parcie ustąpiło, Rutee poruszyła się, usiadła. Doczołgała się do drzwi, starając się poprzez siatkę dosięgnąć rękami zatrzasku, choć od dawna wiedziała, że to bezowocne



usilowania. Nadal, tak jak poprzednio w laboratorium, tkwila w pulapce. I tylko ta uparta chec zycia, ktora opanowala ja od czasu uwiezienia, sprawiala, ze Rutee nie przestawala manipulowac przy zamku.

W koncu bole znow ja pochwycily. Przywarla do podlogi i zaplakala, nienawidzac sie za swoja wlasna slabosc. Jony, gdzie byl Jony? Robilo sie coraz ciemniej, zbieraly sie chmury. Zaczelo padac i grad padajacych kropli przejal ja dreszczem.

Bol znowu oslabl, wiec zbierajac wszystkie sily, Rutee krzyknela wprost w zawieruche:

-Jony!

Jedyna odpowiedzia bylo kolejne, lodowate uderzenie ulewy. Bylo tak zimno, tak zimno... Nie pamietala, by kiedykolwiek byla tak zmarznieta. Powinno byc jakies ubranie, by sie okryc, cos, co chroniloby przed chlodem. Bylo kiedys cos takiego, lecz kiedy, gdzie? Rutee zaplakala. Poczula bol glowy, gdy usilowala sobie przypomniec. Byla przemarznieta i obolala. Musiala dostac sie tam, gdzie jest cieplo, musiala, gdyz... gdyz... Nie mogla przypomniec sobie tej przyczyny, poniewaz bol powrocil i pograzyl ja w mekach.

Jony jednak uslyszal tamten krzyk, uslyszal go mimo szalenstwa wichury. Zaczal znow myslec, zaprzestal chaotycznego biegania, poszukiwan pozbawionych planu. Z rozmyslem zawrocil, torujac sobie droge na prawo, ignorujac zapore, jaka stanowila przemoczona gestwina roslinnosci.

Rutee byla gdzies przed nim. Musial ja odnalezc. Skoncentrowal sie na tej jednej mysli i z taka intensywnoscia, jaka poprzednio zmusila Wielkiego, by postapil zgodnie z jego, Jony'ego, wola, by nie wyrzucal Rutee na smietnisko. Bloto oblepialo go prawie po kolana, nie przestawal drzec. Pierwszy raz w zyciu byl na zewnatrz, na dworze. Nie rozgladal sie wcale wokol z jakims wiekszym zaciekawieniem. Cala jego wola skierowana byla na jedno: znalezc Rutee. Potrzebowala go. Fale jej wezwania osiagaly sile bolu; nie umialby jednak ujac tego w slowa, mogl tylko odczuwac.

Dwa razy zatrzymywal sie, kladac rece na uszy, jak poprzednio, kiedy instynktownie chronil je przed grzmiotem startujacego statku. Byly tam mysli, uczucia... Ale nie mialy one nic wspolnego z Rutee. Byly tak dziwne jak te, ktore czasami miewal, gdy Wielcy sie gromadzili. W pierwszej chwili pelzl z powrotem w zarosla, pewien, ze jeden z wrogow go tropi. Wyczul jednak roznice. Nie, zaden Wielki nie podazal za nim; statek szcieszliwie odlecial.

Raz i drugi Jony mial uczucie jakiegos kontaktu, uczucie, ktorego nie umial wytlumaczyc i uparcie staral sie nie dopuscic go do siebie. Musial sie trzymac mysli o Rutee, inaczej nigdy jej w tym dzikim miejscu nie odnajdzie.

Jony zachwial sie, a jego posiniaczona reka znalazla oparcie na pniu drzewa. Rutee! Byla blisko i cierpiala! Cierpiala taki bol, ze Jony sam chcial zgiac sie wpol. Tak blyskawiczna i

pełna współodczuwania była reakcja jego nerwow! Musiał przeczekać chwilę, która wydawała się trwać bez końca. Poplakując, głośno i chrapliwie lapał oddech. Jej ból zelzał; mógł iść dalej.

Doszedł do miejsca, skąd nawet w ciemnościach burzy mógł dostrzec wielki kształt klatki. Nie znajdowała się na ziemi, lecz tkwiła zawieszona wśród połamanych galezi i listowia. Rutee była tylko małym, bladym klebkiem wewnątrz klatki. Jony wiedział, że potrafi otworzyć zamek, jeżeli zdoła go dosięgnąć. Kiedy się zbliżył, zdał sobie sprawę, że samo dno klatki było wysoko ponad nim.

Musiał się jakos wspinać po zarosłach i drucianej siatce. Dwa razy skakał, chwytając się galezi, ślizgając się na mokrym podłożu i tracąc oparcie. I dwa razy odpadał, raniąc się bolesnie, gdy galezie uginały się pod jego ciężarem. Na nodze miał głęboką, krwawiącą bruzdę wyoraną przez złamany konar. Jego ręce i ramiona były obolale od ogromnego wysiłku, by podciągnąć się wyżej.

Tak długo ponawiał swe usiłowania, aż w końcu dotarł do siatki. Tam przywarł, niezdolny wyrzec słowo, gdyż chwycił go skurcz bólu promieniujący od Rutee. Zwisając tak rozpaczliwie, musiał trzymać się kurczowo, zanim odważył się znowu poruszyć.

Gdy wspinał się po klatce, by dostać się do mechanizmu zamka, ta drgnęła i pochyliła się do przodu pod wpływem jego ciężaru. To, że klatka mogła runąć i zmiążyć go, nie przyszło mu do głowy; było tam teraz miejsce tylko na jedną myśl, że musi dosięgnąć zamka i wypuścić Rutee.

Słyszał jej krzyki, a później jego ręka zacisnęła się na zamku, którego ona nie mogła dosięgnąć. Jony przywarł na płask do siatki, podczas gdy klatka drżała. Tak... teraz... w ten sposób!

Poprzez odgłosy sztormu usłyszał ciche szcęknięcie uwolnionego mechanizmu. Drzwi pod jego ciężarem otworzyły się i zakolysały. Przez chwilę Jony wisiał na jednej ręce, a serce mu łomotało. Wreszcie palce jego nóg uczepiły się drucianej siatki, rękami zaś objął drzwi. Klatka jednak przechylała się coraz bardziej.

Pod wpływem strachu zamarł w bezruchu, świadomy teraz, że wszystko może runąć w dół. Rutee poruszała się na czworakach ku krawędzi otworu.

Tylko na wpol uswiadomiła sobie nadejście Jony'ego. Gdy ostatnie bóle osłabły, zrozumiała, w jakim się znalazła niebezpieczeństwie. Jony nie zwracał uwagi na jej rozkazy, by zejść na dół i odsunąć się na bok; możliwe, że wcale ich nie słyszał.

Przywarł teraz do drzwi i trwał tam przyklejony, wieszając nad ciemną otchłania, o której rozmiarach Rutee nie miała pojęcia. Musiała teraz myśleć nie tylko o swoim uwolnieniu, lecz także i o tym, by uratować Jony'ego.

Ostrożnie przerzuciła połowę ocieźnego ciała poprzez krawędź przechylonej klatki, szukając po omacku jakiegoś punktu oparcia. Dwa razy natrafiała stopami na galezie, lecz zbyt łatwo się uginały, by mogła zawierzyć im swój ciężar. Za trzecim razem jej stopa zatrzymała się na powierzchni, która nie ślizgała się i nie kiwała, toteż Rutee odważyła się mocniej oprzeć.

Trzeba było działać. Wyglądało na to, że pochylona do przodu klatka zeslizgnie się i jeżeli oboje pozostaną tam gdzie teraz, może to znaczyć, że i ona, i Jony zostaną zgniećeni.

Wiatr na chwilę zelżał, deszcz jednak nie ustawał. Za pierwszym razem, kiedy usiłowała przemówić, wydobyła z siebie tylko chrapliwe krakanie, spróbowała jednak znowu.

-Jony, przesuwaj się w lewo.

Jak trudno było myśleć. Jej umysł wydawał się zmacony jak wtedy, gdy obcy zaczęli z nią robić doświadczenia. Nie odważyła się pozostawić dłużej tam, gdzie była, aby przekonać się, czy Jony usłyszał i posłuchał. Ciężar ich obojga wywierany na przód klatki pochylał ją i pociągał w dół.

Teraz, kiedy obie jej stopy miały mocne oparcie, zdecydowała się zwolnić uchwyt i puścić klatkę, opuszczając jedną i drugą rękę w poszukiwaniu mocnego oparcia. Kiedy je znalazła, rozejrzała się wokół.

Jony ruszył z miejsca. Opuszczył się już do dolnej krawędzi klatki i macał poniżej, poszukując oparcia dla stop. Rutee była ciekawa, czy udałoby jej się go dosięgnąć, ale w tej chwili było to z pewnością niemożliwe. Teraz, gdy bole znowu ją pochwyciły, mogła tylko trzymać się kurczowo i trwać w swojej pozycji, zaciskając chwyt z całej siły.

Jony wiedział, że klatka się przewraca. Puścił jej krawędź i osuwając się, lapał się rozpaczliwie wszystkiego po drodze. Maz z rozgniecionych liści sprawiła, że jego ręce stały się śliskie, a uchwyt niepewny. W końcu uderzył w zbitą masę gaszczu, która zachwiała się, ale utrzymała go. Klatka upadła, a Jony drżał teraz mocno, nie tylko z zimna i siekacego deszczu, ale i z wrażenia wywołanego uniknięciem niebezpieczeństwa. Nie odważył się poruszyć. Krzyknął jednak, gdy coś chwyciło go mocno za kostkę.

Miał właśnie zacząć wściekle kopac, kiedy usłyszał głos Rutee:

-Jony!

Z okrzykiem opuścił się w dół i kiedy przycisnęła go mocno do siebie, poczuł jej chłodne ciało przy swoim. Od dawna już nie byli tak blisko siebie jak teraz. Blisko siebie i bezpiecznie! W kółko powtarzał jej imię, wtulając głowę pod jej ramię i moszcząc się tam jak w gniazdku.

Ale Rutee nie była ta sama, cierpiała. Nawet teraz, gdy przywarł do niej, jej ciałem szarpnął nagły skurcz i krzyknęła. Znowu mógł wyczuć jej ból.

-Rutee! - Strach byl tak silny, ze Jony niemal czul jego gorzki smak w ustach. - Rutee, ty jestes ranna!

-Ja... ja musze znalezc jakies miejsce, Jony, bezpieczne miejsce - dobiegaly jej urywane slowa. - Predko, Jony... prosze... predko...

Bylo jednak ciemno. Gdzie znajdowaly sie jakies bezpieczne miejsca tu, na zewnatrz? O zewnetrznym swiecie Jony wiedzial tylko dzieki temu, ze Rutee zdazyla mu o nim opowiedziec, zanim, dawno temu, Wielcy nie oderwali go od niej i nie umiescili samego w klatce. Teraz zewnetrzny swiat zaczal wywierac na nim wrazenie, zadziwiac swa innoscia, na ktora nie zwracal uwagi przedtem, skupiony na poszukiwaniu Rutee.

-Jony. - Reka Rutee zaciskala sie wokol jego ramion mocno, az do bolu, ale nie sprzeciwial sie temu usciskowi.

-Ty... ty bedziesz musial pomoc... pomoc mi...

-Tak, musimy przedostac sie na dol, Rutee. To trudne...

Jony nie pamietal potem zadnych szczegolow tego zejścia. Fakt, ze tego w ogole dokonali (Jony zrozumial to duzo pozniej) graniczyl z cudem. Nawet stojac juz na blotnistej ziemi, nie byli bezpieczni. Bylo tak ciemno, ze gdzie by nie spojrzec, widac bylo tylko gleboki cien. Musieli tez posuwac sie powoli, poniewaz Rutee bardzo cierpiala. Kiedy nadchodzily bole, zmuszona byla stawac, by je przeczekac. Jony wzial jej reke w swoje dlonie.

-Rutee, pozwol, ze sam tam pojde. Ty tu zaczekaj. Moze uda mi sie znalezc bezpieczne miejsce...

-Nie...

Jony jednak wyrwal sie jej i przebiegl przez niewielka otwarta przestrzen do cienia, ktory sobie upatrzyl. Nie wiedzial, dlaczego wybral ten wlasnie kierunek, ale wybor ten wydawal sie sprawa najwyzszej wagi.

W panujacym mroku posuwal sie po omacku po suchym zaglebieniu. Kiedys, w odleglej przeszlosci, upadlo tu drzewo bedace istnym olbrzymem wsrod drzew. Sterczaca w gore masa korzeni wznosila sie ku niebu, a pod nimi byla gleboka jama, ponad ktora wily i splataly sie pnacza. Obejmowaly niby siecia rosnace w poblizu mlode drzewka i tworzyly dach, ktory, choc nie calkiem wodoszczelny, oslanial troche przed wiatrem i deszczem. Naniesione liscie tworzyly rodzaj grubego materaca. Nogi Jony'ego zapadaly sie po kostki w miakkich lisciach, gdy badal wybrane miejsce.

-Chodz, Rutee, chodz... - Z cala sila swego niewielkiego, lecz umiesnionego ciala na poly ja wspieral, na poly prowadzil ku tej prymitywnej kryjowce.

Rutee lezala na lisciach, jeczac. Jony staral sie obsypac ja nimi, zeby ja troche ogrzac. Stracila je; jej obrzmiale ciało wilo sie w nowych bolach. Jony kucnal przy niej. Rutee, Rutee cierpiala! Powinien jej pomoc, ale nie wiedzial jak. Dwukrotnie doczolgal sie do krawedzi ich niedznego schronienia i wpatrywatal sie w mrok i deszcz. Nie bylo widokow na zadna pomoc. Rutee byla ranna, i to powaznie! Wyczuwal jej bol.

Swiat cierpienia zamkнал sie wokol Rutee. Nie zdawala juz sobie sprawy z obecności Jony'ego, z tego gdzie lezala, z niczego oprócz bolu wypelniajacego jej udreczone ciało.

Jony zaczął poplakiwac. Miał ochotę uderzyc, zranic kogos lub cos, tak jak zraniono Rutee. Wielcy - to oni zrobili!

W chwili rozpaczy cos na kształt malego ziarenka nienawisci zagniezdziło sie w nim i zakielkowalo. Niech tylko Wielcy zaczną ich szukac, niech zaczną! Dłoni Jony'ego zamknęła sie na wielkim kamieniu; zaciskajac palce, szarpnal mocno i wyrwal go spod ziemi i lisci. Kurczowo przyciskal te toporna bron do siebie, wyobrazajac sobie, jak kamien trafia w szpetna twarz Wielkiego: trach... trach... trach!

Lecz ta gra wyobrazni, która odrozniala go od innych rowiesnikow o sterowanych umyslach, uwiadamiatal mu równocześnie, ze jego próby skonczyłyby sie fiaskiem. Wielki mógł go zgniec między swymi wijacymi sie palcami, tak ze nic by z niego nie pozostaló.

-Rutee! pochylił sie nad nia nizej, wolajac blagalnie. - Prosze, Rutee...

Jek byl jedyna odpowiedzia. Musial cos zrobic, musial! Jony wyczolgal sie na zewnatrz, niezdolny by dluzej sluchac, zgietym ramieniem zakryl oczy, jak gdyby chcial wymazac widok Rutee, który zdawal sie plonac w jego glowie.

Wystawil twarz na wiatr i deszcz i choc wiedzial, ze nie bylo tam nikogo, kto by go uslyszal i pomogl, mimo wszystko zawolal:

-Prosze... pomozcie Rutee... prosze!

Czyjas swiadomosc, Jony odwrocil sie. W ciemnosciach nie mógł zobaczyc, ale wiedzial. Wiedzial, ze ktos, cos, bylo tam w glebi, w cieniu, obserwujac, nasluchujac. Umysl, ktorego obecność chłopiec wyczuwal, nie nalezatal do zadnego z Wielkich. Jony zmarszczyl sie zakłopotany, ze nie moze zrozumiec mysli, która napotkal. Bylo to tak, jakby cos blyskawicznie przemknelo i w mgnieniu oka zniknelo z pola widzenia. Tylko jednego byl pewien: to, co bylo swiadkiem jego niedoli, czymkolwiek bylo, nie mialo zamiaru go skrzywdzic.

Biorac gleboki oddech, Jony zmusil sie do zrobienia najpierw jednego, potem dwoch krokow w kierunku, gdzie cien byl glebszy.

-Ty... prosze, czy mozesz pomoc? - powiedzial blagalnie. Przez chwile przestal odbierac uczucie obecności i myslal, ze obserwator odszedl, rozplynal sie w nieznanym.

Wowczas kształt drgnal i ruszył do przodu, powluczac nogami. Mimo słabego światła Jony dostrzegł, że był on duży (nie tak duży jak Wielcy, ale chyba że dwa razy większy od niego). Chłopiec przygryzł zębami dolną wargę. Wiedział, że to, najpierw zaciekawione, teraz podeszło, bo chciało... Chciało pomóc!

Jony był tego tak pewien, jak pewien był własnej niedoli czy bólu Rutee.

-Proszę - rzekł niepewnie. Może nie mogło ani usłyszeć, ani, jeśli słyszało, zrozumieć jego słów. Kiedy ruszyło, by stanąć czy też przykucnąć naprzeciw niego, poczuł otaczającą go zewsząd dobrą wolę.

Nie, to nie był Wielki. Stworzenie to w żaden sposób nie przypominało znienawidzonych wrogów. Miało okrągłe ciało, pokryte futrem nakrapianym w jasne i ciemne łatki. Jony musiał się w niego starannie wpatrywać, gdyż wyglądało jak część gąszczy. Jego cztery nogi były grube i mocne. Przybysz przykucnął na dwóch tylnych łapach, podczas gdy przednie zwisały mu nad okrągłym brzuchem. Stopy przednich łap kończyły się pazurami, dziwnie przypominając kształtem ludzkie dłonie, chociaż ich naga skóra była bardzo ciemna. Szerokie ramiona zwieńczone były okrągłą głową osadzoną na krótkiej, grubej szyi. Ponad pyskiem zakończonym guzikowatym nosem jasniali ogromne, świecące w ciemnościach oczy, zwrócone teraz na Jony'ego, przyglądające mu się.

Jony odważył się ruszyć, wyciągając rękę w stronę reki przybysza. Futro pod jego palcami było wilgotne, lecz bardzo miękkie. Jony nie czuł już strachu, miał raczej uczucie, że nadeszła pomoc. Zacieśnił uścisk na łapie, choć jego mała dłoń nie mogła jej objąć. Czuł silne i twarde mięśnie pod pokrytą futrem skórą.

-Rutee? - powiedział.

Od strony przybysza dobiegł dziwny odgłos przypominający skomlenie, a dźwięk ten niosł przesłanie odbierane przez umysł Jony'ego. Tak, to była pomoc! Jony odwrócił się w stronę jamy. Stwor podniósł się, wyraźnie gorując nad chłopcem i powluczac nogami ruszył naprzód. Jedną z ciemnoskórych rak spoczęła na ramieniu Jony'ego. Ten ciężki uścisk był ogromnie krzepiący.

Jakże ciasna była ich licha kryjówka. Jony musiał się głęboko wsunąć w masę zmurszałych korzeni, by przybysz mógł się wcisnąć do wnętrza. Okrągła głowa zwisała nisko, a pysk prawie dotykał Rutee, gdy stwor wolno wodził nosem po ciele wijące się w bólach kobiety.

-Jony? - Rutee leżała teraz z szeroko otwartymi oczyma, ale nawet nie próbowała zobaczyć chłopca. Nie okazała też żadnego zdziwienia, kiedy jej wzrok napotkał weszacego przybysza. Zaczęła gwałtownie, miarowo tłuc reka. Jony złapał ją za przegub i scisnął

mocno. Zadrzał, kiedy jej ból wypełnił jego ciało.

Stworzył coś teraz, manipulując swoimi czarnymi łapami. Jony nie był pewien co, lecz jego wiara w pomoc była ślepa i nieugięta. Rutee wydała z siebie krzyk, a ten rozdzierający dźwięk rozległ się w jego głowie, niemal ją rozsadzając. Zamknął oczy i najchętniej zatkałby sobie uszy rękami, ale Rutee ścisnęła teraz jego rękę z całej siły.

Wtedy nadbiegł inny dźwięk - słaby, żalony płacz! Jony, zdziwiony, odważył się spojrzeć jeszcze raz. Czarne łapy trzymały coś, co wyrwano się, wydając z siebie ten głos. Stworzył pochylił okrągły łeb, obwąchując dokładnie to, co trzymał w łapach. Uznał najwidoczniej tę czynność za ważniejszą od oględzin. Potem podał Jony'emu coś wijącego się. Rutee opuściła rękę i leżała dysząc ciężko, powoli. Jony wbrew swojej woli wziął dziecko. Przybysz odwrócił się szybko do Rutee, znowu weszac. Rutee ponownie słabo krzyknęła, a jej ciało gwałtownie drgnęło.

Po raz drugi łapy trzymały dziecko, a nos je obwąchiwał. Lecz teraz spomiędzy mocnych zębów pokazał się długi język. Jony był wstrząsnięty - miał zamiar jesc! Zanim zdążył zaprotestować, zobaczył, że język myje dziecko - dokładnie, od stóp do głów. Po kolejnym badawczym obwąchaniu przybysz delikatnie ułożył niemowlę obok Rutee, na liściach.

Jony ledwie sobie uswiadamił, że trzyma już jedno dziecko w rękach, choć płakało i skrecając się, ocierało o jego podrapaną przez kolczaste zarośla skórę. Łapy wyciągnęły się i Jony podał dziecko, które też zostało wylizane i położone.

Ciemności gestniały w jamie, nie na tyle jednak, by Rutee była Jony nie mógł dostrzec zamkniętych oczu Rutee. Jej głowa opadła na bok. Jony zwrócił swą myśl tam gdzie zawsze, tak jak to instynktownie robił, odkąd sięgał pamięcią. Nie, nie było tam pustki. Rutee żyła!

Dzieci leżały po obu jej bokach, tam gdzie troskliwie ułożył je przybysz Teraz łapy zagrabiały liście, nanosząc całe ich nareczka na Rutee i bliźnięta. Jony pojął. Było zimno i deszcz stałe saczył się do środka. Trzeba było okryć, osłonić Rutee i niemowlęta. Zabrał się do roboty.

Wyczuł pochwałę obcego. Tak było dobrze. Kiedy Rutee i dzieci były już okryte, kudłaty zaczął się wycofywać.

-Nie! - Jony nie mógł zostać sam. Co zrobiłby, gdyby Rutee była znowu chora i ranna? A dzieci - nie wiedział, co z nimi począć! Musi koniecznie zatrzymać obcego.

Łapy opadły na ramiona Jony'ego, przytrzymując go bardzo mocno, podczas gdy wielkie, świecące oczy wpatrywały się w chłopca. Jony chciał odwrócić głowę, by uniknąć tego uporczywego spojrzenia, gdyż mglisto czuł, że nie może pochwycić jakiegось bardzo ważnej myśli, że przelotnie dotknięta, umyka mu.

Uspokoil sie. Odejscie tego stworzenia miało swój cel: trzeba było załatwić coś ważnego. Jony szybko przytaknął, jak gdyby upewniając się co do znaczenia znanego sobie usuwano słowa. Nie pozostanie sam na długo. Prosił o pomoc i pomoc nadejdzie.

Jony rozważał myśl o pomocy. Nigdy, od czasu kiedy przemocą odłączono go od Rutee i umieszczono samego w klatce, nie prosił o nią. Wiedział, bo Rutee wyjaśniła mu to dokładnie, że nie można ufać nawet sobie podobnym przedstawicielom własnego gatunku. Myślał oni jedynie w taki sposób, na jaki pozwalają im Wielcy. Rutee była niepodatna na rozkazy myślowe obcych; on tak samo. Nigdy nie był tym, kogo mogliby użyć Wielcy - to była główna nauka, która dzięki Rutee wyniósł ze swego dzieciństwa.

Jego świat stanowiły klatki i ta część laboratorium, która mógł dostrzec poza ich ścianami. Rutee jednak opowiadała mu o zewnętrznym świecie. Mieszkała tam kiedyś, zanim przybyli Wielcy i zamknęli ją wraz z pozostałymi w klatkach. Jony, jak wiele razy przedtem, zaczął się cofać myślą, powracać ku temu, czego uczyła go Rutee. Kiedy umieszcili go w klatce samego, stale przypominał sobie jej pouczenia.

Byli mali i słabi, a Wielcy mieli sposoby, by ranić i zmuszać ich do posłuszeństwa. Lecz z Rutee i z Bronem było inaczej. Nie mógł oczywiście pamiętać Brona, choć Rutee tak dużo o nim opowiadała, że Jony czasami wierzył ze pamięta.

-Rutee i Bron, i wielu ludzi (znacznie więcej niż ta garstka, która przetrwała w klatkach) żyło kiedyś na zewnątrz. Potem nadeszli Wielcy, wypuścili na nich ten śmierdzący gaz, uspili i zabrali tych, których chcieli.

Później Wielcy zaczęli zakładać swym więźniom to, co Rutee nazywała urządzeniem sterującym. Niektórzy - Bron był jednym z nich - sprzeciwiali się, więc usuwano ich na smietnisko. Lecz większość po założeniu urządzeń reagowała tak, jak oczekiwali tego Wielcy.

Niektórych zabierano z klatek i Wielcy robili z nimi straszne rzeczy, a skończywszy, wrzucali ich do smietnika. Lecz dzieci takie jak Jony i niektórych dorosłych takich jak Rutee - zatrzymywano. Dla Wielkich nie byli ludźmi, byli tylko przedmiotami służącymi do użytku.

Rutee stale mu powtarzała, że nie wolno mu pozwolić na to, by go wykorzystano, że nie był rzeczą. Był Jonem i nie istniała druga taka sama osoba, tak jak nie było nikogo podobnego do Rutee. Jony, przypominając sobie to wszystko, poruszył się i przyjrzał bliżej bliźniom.

Ich małe, wilgotne, pomarszczone twarzyczki nie przypominały Rutee. I była ich dwojka. Czy to znaczyło, że są takie same? Głowa Rutee poruszyła się niespokojnie i Jony natychmiast stał się czujny.

-Wody - powiedziała słabym głosem, nie otwierając jednak oczu.



Woda? Na zewnątrz jamy padalo i bylo dosyc wody, ale Jony nie mial pojecia, jak ja przyniesc. Wyczolgal sie z dolu; zdawalo mu sie przy tym, ze blyska, choc moglo to byc tylko zludzenie wywolane kontrastem z panujacymi w jamie ciemnosciami. Woda?

Rozejrzal sie dookola. Niedaleko bylo miejsce, gdzie wyrastaly wielkie liscie, kazdy co najmniej szerokosci dloni Jony'ego. Zwinal jeden z nich i trzymal w reku za zagiete krawedzie, a deszcz strumyczkiem splywal do srodka po ogonku. Zebral tyle wody, ile mogli doniesc nie wylewajac. Lekko uniosl glowe Rutee, przykladajac koniuszek zwinie tego liscia do jej warg, tak ze wilgoc po trochu splywala do ust. Przelknela zachlannie, a on powtarzal bez konca swe wypady po wode. Za ostatnim razem kiedy wrocil miala otwarte oczy i patrzyla przytomnie.

-Jony?

-Pij. - Podsunal jej lisc. Kiedy probowala wyzej podniesc glowe, jedno z dzieci zakwililo. Zaskoczona spojrzala w dol na czerwona twarzyczke.

-Dziecko! - Powoli uniosla reke, dotykajac malego policzka czubkiem palca.

Jony szarpnal sie do tyłu, upuszczajac lisc. Nie wiedzial dokladnie dlaczego, ale poczul sie opuszczony, kiedy zobaczyl, w jaki sposob Rutee spoglada na malego przybysza. Rutee zawsze stanowila wieksza czesc zycia Jony'ego, zawsze byla. Teraz pojawilo sie tych dwoje dzieci...

-Masz dwoje - powiedzial szorstko - dwoje dzieci.

Rutee wygladala na zdziwiona, kiedy podazajac za ruchem jego reki spojrzala w druga strone.

-Dwoje? - powtorzyla pytajaco. - Ale, Jony, jak...?

Byl tu taki poczciwina - wyrzucal z siebie slowa zadowolony, ze Rutee znow patrzy wprost na niego, a nie na ktoregos z intruzow. - Przyszedl i pomogl...

Nie byl pewien, co wlasciwie zrobil przybysz, wiedzial tylko, ze byl tu, wylizal dzieci i ulozyl je obok Rutee.

-Poczciwina? - znow powtorzyla jego slowa. - Co masz na mysli, Jony?

Uzyl wszelkich mozliwych slow, starajac sie opisac pokryte futrem stworzenie, ktore odpowiedzialo na jego wolanie o pomoc.

-Nie rozumiem powiedziala Rutee, kiedy skonczyl. - Jestes pewien, ze nie bylo to jedynie cos, o czym pomyslales? Och, Jony, co to, ktoz to mogl byc?... Jony! - Jej oczy byly wielkie, przerazone. Nie patrzyla juz wcale na Jony'ego, lecz na cos za nim. W odpowiedzi

poczul narastajacy skurcz strachu przed nieznanym. Wykrecil glowe na tyle, by widziec wejscie do jamy.

Obcy powrocil i, przykucniety, przypatrywal sie im.

-To on, Rutee, ten, ktory przyszedl z pomoca. Strach opuscil Jony'ego w chwili, kiedy dostrzegl te swiecace oczy.

Kobieta jednak obserwowala przybysza z niepokojem. Powoli zaczela wyczuwac pocieche i pomoc, ktore przynosil obcy. I ona, ktora w pelnym grozy przerazeniu, w nieustannym strachu, nauczyla sie patrzec na swiat jak na potencjalnego wroga - teraz odetchnela z ulga. Rutee nie wiedziala, czym lub kim byla ta istota, lecz miala wewnetrzna pewnosc, ze nie uczyni ona krzywdy ani jej, ani dzieciom, lecz przeciwnie - pomoze. Oslabiona, ulozyla sie z powrotem na swym legowisku z lisci, pozwalajac przybyszowi dzialac.

Chociaz, pewnie z powodu swej masywnej postury wydawal sie niezreczny, jego wielkie cialo poruszalo sie zwawo. Tym razem nie probowal wepchnac sie do ich kryjowki; zamiast tego upuscil jakis klab, ktory niosl zwiniety i przycisniety lapa do piersi, i pchnal w strone Jony'ego.

Posluszny temu oczywistemu znakowi, chlopiec przyciagnal to do siebie. Galazki byly polamane, mialy ostre odarte z kory konce, lecz wciaz jeszcze tkwilo na nich sporo jasnozielonych kulek. Stwor oderwal jedna i wpakowal sobie do rozdziawionego pyska. Znaczenie tego gestu byl oczywiste: to jest jedzenie.

Dla Jony'ego jedzeniem zawsze byly kostki mdlej brazowej masy, ktora Wielcy, w regularnych odstepach czasu, wrzucali przez specjalny otwor do jego klatki. Teraz widok jedzacego stwora uprzytomnil mu nagle, ze jest glodny. W rzeczywistosci jego glod graniczyl z bolem Rzucil sie rwac najblizsze kulki dla siebie.

-Nie, Jony! - zaprotestowala Rutee. Jak mogl mu wytлумaczyc, ze to, co bylo dobre dla obcych w ich wlasnym swiecie, moglo stac sie smiertelna trucizna dla kogos z innej planety? Powinna, musiala go ostrzec.

Kulka byla juz w ustach Jony'ego. Rozgryzl ja. Odrobina soku trysnela, zwilzajac jego brudna brode. Polknal, zanim zdazyla mu ja wyrwac.

-Rutee - popatrzyl na nia rozpromieniony. - Dobre, lepsze niz pokarm w klatkach. Dobre!

Odrywal teraz kulki z galazek szybko, niedbale, a te ktore zebral, zaczal w nia wmuszac.

-Jedz, Rutee.

Kobieta pozadliwie spojrzala na owoce. Od dawna juz nie probowala niczego z wyjatkiem pozbawionych smaku racji, ktore wprawdzie utrzymywaly ja przy zyciu, ale nie mialy

zadnego aromatu. Poddala sie wreszcie. Skonczyly sie juz kostki podawane do klitek; statek odlecial, a oni byli tutaj. Albo przezyja, zywiac sie miejscowym jedzeniem, albo beda glodowali. Jej wola zycia byla tak silna, ze wziala jeden z owocow od Jony'ego i wgryzla sie w niego powoli.

Slodki i wilgotny, byl nawet lepszy dla jej wyschnietych ust niz woda deszczowa, ktora przynosil jej Jony. Byl jak... jak co? Jej umysl przywoolywal niejasne wspomnienia z dawnego zycia. Nie, nie mogla znalezc nic dla porownania. Owoce pozbawiony pestek, caly nadawal sie do zjedzenia. Przelknela i czujac jeszcze glod siegnela po wiecej.

Wspolnie z Jonem obrali galazki z owocow. Dopiero kiedy ostatnia kulka zniknela, Rutee przypomniała sobie o ofiarodawcy. Dziwne stworzenie o ociezalym wygladzie nadal siedzialo przykucniete obserwujac ich. Deszcz przestal padac, na dworze wyraźnie pojasnialo.

Jony wyprostowal noge i syknal. Rutee spostrzegla otwarta rane na jego skorze; kiedy sie poruszyl, widac bylo wyraźnie swieze krople krwi.

-Jony - usilowala dzwignac sie na ramieniu. Kiedy sie poruszyla, jedno z niemowlat glosno zaplakalo. Oszolomiona, Rutee poczula, ze swiat wokol niej zawirowal.

Zobaczyla wielka reke (lub moze raczej lape?) siegajaca do wnetrza ich niewielkiego schronienia. Reka zacisnela sie mocno wokol kostki Jony'ego i odciagnela go.

Chlopiec nie bronil sie. Nawet wowczas, kiedy lezal na wyciagnietych ramionach stworza, Jony nie bal sie. Nie poczul tez przyplywu odrazy, ktora zawsze w nim wzbierala, ilekroć dotykaly go sliskie rece Wielkich. Nie szamotal sie, gdy przybysz prostowal jego noge i obwachiwal rozdarzte cialo, tak jak przedtem obwachiwal cialo Rutee.

Byl jednak zdziwiony, kiedy dlugi, szorstki jezyk dotknal rozdartej skory i zaczal sie posuwac wzdluz rany. Jony wzdrygnal sie, ale trzymany mocno nie ruszyl sie i nie odsunal z zasiegu jezyka, ktory zaglebil sie w ranie. Stwor, tak jak przedtem wylizywal niemowleta od stop do glow, tak teraz przemywal krwawa bruzde na jego nodze. Przybysz podniosl glowe, schowal jezyk, ale nie uwolnil Jony'ego. Przycisnal go do swej szerokiej, kudlatej piersi; jego potezne ramie trzymalo Jony'ego jak w kolysce. Ciezko kroczac, oddalil sie od kryjowki pod zwalonym drzewem. Jony wywijal sie, starajac sie uwolnic, by wrocic do Rutee. Ale nie bylo sposobu, by rozewrzec krepujacy uscisk.

Nie uszli daleko, kiedy przybysz przystanal, siegajac ku ziemi, by zerwac jakas roslina o dlugich lisciach. Pysk ponad glowa Jony'ego otworzyl sie, zeby obdarly szczytowe liscie z pedu i schrupaly je. Jony poczul dziwny zapach, zobaczyl krople soku w kacikach pelnych ust. Potem stworzenie wyplulo na reke przezuta papke. Dotknelo miazgi koncem jezyka i, chyba zadowolone, szybko nalozyl je na rozdarta skore Jony'ego. Chlopiec probowal pozbyc sie tego okladu, dopoki cala rana nie zostala pokryta gruba warstwa. Teraz palenie

ustalo, a razem z nim znikl piekacy bol, ktorego Jony, zaprzatniety mysla o Rutee, byl tylko na wpol swiadomy.

-Jony, Jony, co on ci zrobil? - Rutee dowlokla sie jakos do krawedzi jamy i wygladala na zewnatrz. - Jony!

-Wszystko w porzadku - porwal sie ja uspokajac. - Ten pocziwiec wlasnie oblozyl moja noge jakimis przezutymi liscmi. Zobacz. - Przekrecil sie troche, tak ze mogl pokazac oklad na nodze. - Na samym poczatku troche bolalo, ale teraz juz nie.

Przybysz postawil Jony'ego lagodnie na ziemi. Owszem, chlopiec troche kulal, ale rana przestala krwawic. Odwrocil sie teraz, oszczedzajac chora noge i podniosl wzrok ku przypominajacej pysk twarzy ponad soba.

-Dzikuje... - Slosa prawdopodobnie nic dla obcego nie znaczyly, wiec Jony skoncentrowal sie tak mocno jak wowczas, kiedy chcial ocalic Rutee od smietniska, na wyrazeniu swej wdziecznosci.

Zaraz tez poczul, ze ich mysli na mgnienie zetknely sie i przybysz zrozumial. Wtedy jedno z dzieci zaplakalo glosno. Rutee cofnela sie do jamy, podniosla dzieci i przytulila do siebie, nucac cicho, dopoki placz nie przeszedl w ciche kwilenie. Jony przygladal sie temu. Znow powrocil cien zalu dreczacego go z powodu zaabsorbowania Rutee malcami. I choc nie wiedzial dlaczego, zyczyl sobie, by ta dwojka natretow zniknela.

Poczul na ramieniu cieply dotyk. Wydalo mu sie, ze widzi usmiech na pysku, jezeli te grube wargi mogly w ogole ulozyc sie w cos na ksztalt usmiechu. Jony usmiechnal sie rowniez i scisnal lape, ktora mocnym, opiekunczym gestem objela jego mniejsza i slabsza dlon.

### III

Jasne swiatlo slonca padalo na pieniacy sie strumien, ktory wyplywal spod malych wodospadow i toczyl sie dalej przez waska doline. Te same silne promienie ogrzewaly skaly, szybko wysuszajac wszelkie dolatujace tu bryzgi piany. Jony lezal na brzuchu, z glowa oparta na splecionych przed soba ramionach, dzieki czemu mogl obserwowac Mabe i Geogee'a, ktorzy nurkowali pod spadajaca woda i piskliwie pokrzykujac na siebie, robili wiecej halasu niz para ptakow vor. Nie byli sami. Dwoje mlodych z Ludu pluskalo sie kolo nich. Lecz Hunf i Uga bardziej byli zajeci polowem, probujac wydobywac smakowite kaski gniezdzące sie pod kamieniami w korycie potoku.

W blasku slonca ich laciaste futro nakrapiane w jasne i ciemne plamy bez zadnego wyraznego wzoru wygladalo nieporzadnie. Wszystkie plamy byly zielonozoltego koloru, lecz roznorodnosc odcieni byla tak wielka, ze zarysy postaci, nawet na otwartej przestrzeni, byly prawie niedostrzegalne. Tylko na glowach kolor byl rowno rozlozony - jasniejszy na pysku, a ciemniejszy wokol wielkich oczu. Jony i bliznieta nie byli - ku swemu rozgoryczeniu! - wyposazeni w tak doskonale okrycie ciala. Jony mial! na sobie krotka spodniczke z burego,

szorstkiego materiału wysmarowanego sokiem z jagod i pnaczy, po to by przypominał cieniowaniem futro Ludu. W porównaniu z miękkim futrem jego towarzyszy był to stroj wysoce niedoskonały i tak też oceniał go Jony.

Leżał spokojnie, lecz jego czujny umysł pracował nieustannie. Od dłuższego czasu dzielili życie Ludu, lecz Jony nie potrafiłby powiedzieć od jak dawna. Członkowie klanu, potężnie zbudowani i siejący postrach (nawet liczące dopiero dwa sezony młode mogło pokonać Jony'ego w przyjacielskich zapasach), mieli też swoich wrogów. Jony wcześniej odkrył, że jego wewnętrzny zmysł ostrzegawczy przewyższa na swój sposób zdolności Ludu pod tym względem.

Próbował teraz obliczyć, ile por minęło od czasu, gdy Rutee zmarła od kaszlu. Jony zdawał sobie teraz sprawę, że po urodzeniu bliźniąt nigdy już nie odzyskała sił. Lecz trzymała się życia, dopóki bliźnieta nie dorosły do wieku, w jakim był Jony, kiedy oboje uciekali od Wielkich. W tym czasie on sam bardzo wyrosł i był wyższy niż Rutee, a prawie tak wysoki jak Voak przewodzący temu klanowi. To właśnie towarzyszka Voaka, Yaa, odnalazła ich wtedy, ocaliła Rutee i przywiodła ich do klanu. Kiedy Rutee odeszła, Yaa przejęła wychowanie Maby i Geogee'a, jak gdyby były to jej własne młode.

Jony wysłał swe myśli "na zwiady". Nie wykrył niczego poza normalnymi przejawami toczącego się wokół życia. Pozwolił swemu umysłowi zagłębić się w nurtujące go teraz pragnienie dalszych odkryć.

Klan miał swoje ustalone tereny łowieckie. Jego członkowie byli na ogół wegetarianami, od czasu do czasu przejawiali jednak upodobanie do stworzeń wodnych czy też do grubych jak palec larw znajdujących w zmurszałym drewnie niektórych zwalonych drzew. W czasie ostatniej pory na obszarze odwiedzanym przez rod Voaka i Yai panowała susza. Wysuszonej ziemi zmusiła ich do przeniesienia się na wzgorza, ponad którymi wznosiły się dalekie, podtrzymujące czasze nieba góry.

Szli, gderając i prychnając. Lud bowiem był raczej osiadłym plemieniem, nie ufającym zmianom i nie lubiącym ich. Lecz Jony z zadowoleniem powitał zmianę miejsca. Było w nim coś, co gnało go naprzód, jakaś ciekawość charakteryzująca go nie mniej niż zbity warkocz ciemnych włosów czy spalona słońcem na brąz skóra. Zawsze pragnął poznać to, co leży trochę dalej.

Podczas przeprawy natknęli się na coś, co zdumiało Jony'ego. Przypominało to strumień, lecz wodę zastępował tu kamień (lub coś równie twardego jak skały wokół). Najdziwniejsze, że biegło to z nizin ku wzgórzom. Wierzch tego tworu był jednolicie gładki, lecz miejscami nawiana ziemia pietrzyła się na powierzchni podobnie jak zwaly piasku nanoszone przez wodę przy brzegach strumienia.

Jony biegł po tej powierzchni przez jakiś czas; podniecał go szybki ruch, nie krepowany gąszczem czy kamieniami. W mowie znaków używanej przez Lud (Jony, podobnie jak

rodzaj, z którego się wywodził, nie mógł odtworzyć dźwięków tej chrząkającej mowy) próbował zadawać pytania o tę dziwną skalistą rzekę. Tego dnia towarzyszył Trushowi. Był on młodym Yai w tamtym odległym czasie, kiedy przyszła ona z pomocą Rutee.

Ku ogromnemu zdumieniu Jony'ego, Trush odwrócił głowę i zdecydowanie zaczął oddalać się od skalistej rzeki, odmawiając jakiegokolwiek odpowiedzi na pytania Jony'ego. Zachowywał się tak, jak gdyby nikomu nie wolno było patrzeć na coś takiego ani rozmawiać o tym. Jego niezadowolenie zmusiło chłopca do posłuchu; musiał się cofnąć. Od tamtego czasu przesładowało go wspomnienie tej dziwnej rzeki i chęć, by się o niej czegoś bliższego dowiedzieć.

Dzięki zdolności określenia położenia, której wyuczył go Lud, Jony był pewien, że rzeka skal rzeczywiście wnika głęboko we wzgorza i nie może leżeć daleko od ich obecnego miejsca postoju. Gdyby udało mu się namówić Mabe i Geogee'a, by porzucili wodę i przyłączyli się do innych młodych w obozowisku, rozpocząłby penetrację terenu na własną rękę.

Jednakże nie chcąc wzniecąc dokuczliwej ciekawości bliźniat, nie mógł robić nic, co mogłoby obudzić ich podejrzliwość. Jony westchnął. On sam uważał się za równie ostrożnego i rozważnego jak Voak, lecz co do bliźniat, to ruszały one do akcji jak szalone, nie myśląc ani przez chwilę. Oboje też pozbawieni byli jego zdolności wyczuwania niebezpieczeństwa i możliwości wpływania na niektóre inne umysły, która on sam osiągał przez koncentrację.

Nie oznaczało to, że potrafił wywierać wpływ na Lud, umysły jego członków były zbyt odmienne. Jony nigdy nie mógł w nie wniknąć tak jak to robił z umysłem Wielkiego w krytycznych chwilach ucieczki. Może (często omawiał to z Rutee), może stosując urządzenia sterujące mózgiem innych, Wielcy w pewien sposób stawali się sami podatni na podobne naciski. Jednak żadne z bliźniat nie miało takiej zdolności. Gdy Jony podrosł, Rutee wyjaśniła mu (było to tuż przed śmiercią, - kiedy obiecał jej opiekować się dziećmi), że ich ojciec był całkowicie sterowany mentalnie. Sądziła, że z tego powodu bliźniata mogły być bardziej podatne na wpływy.

Wymogła na Jonym obietnicę, że on sam nigdy nie będzie próbował użyć swojej mocy, by wpływać na umysły Maby czy Geogee'a. Takie postępowanie było złem. Była tak zmartwiona, mówiąc o tym, że Jony przyrzekł bez wahania. Jednak wiele razy, rozdrażniony ich lekceważeniem własnego i cudzego bezpieczeństwa, wolałby, by nie wymogła na nim takiej obietnicy. Chcąc nimi kierować, musiał stosować metody perswazji, a im były starsze, tym bardziej oburzały się na jego rozkazy. Jony poruszył się niecierpliwie; skala stała się zbyt gorąca, by można było na niej dłużej wytrzymać. Usiadł więc i zawołał:

-Hej, wy dwoje, wylazcie już!

Maba zaśmiała się i skoczyła do tyłu, a jej szczuple ciało skryło się za zasłoną wody. Geogee kołysał się w wodzie w górę i w dół i robił miny.

-Chodz i zlap nas! - zawyl.

Ale choc lekcewazyli rozkazy Jony'ego, liczyli sie jednak z Huufem i Uga. Huuf stanal za Geogee'em i za mknal go w swoich ramionach. Nie zwazajac na wscieklewycie i kopanie, spokojnie zanosl go na brzeg i rzucil na trawe opodal miejsca, gdzie lezala zwinieta spodniczka chlopca. Uga zniknela za pienista zaslona i blyskawicznie wynurzyła sie z powrotem. Nie niosla wrzeszczacej Maby, lecz prowadzila, trzymajac ja mocno za dlugie sploty wlosow.

-Jony! - Maba wrzasnela, jak tylko wydoszala sie spoza sciany wody. - Kaz jej przestac! To mnie boli!

-Rob, co ci kaza - odpowiedzial z zadowoleniem - a nie bedzie cie bolalo. Czas juz wracac i ty o tym wiesz,

A moze i nie wiedziala. Zadne z nich trojga nie posiadalo wlasciwego Ludowi poczucia czasu, ktore pozwalalo mu spokojnie i pogodnie przemieszczac sie przez dni, pory jedzenia, pory drzemki, plecenia sieci, przygotowywania legowisk na noc.

Lud uzywal wielu narzedzi. Wiazali siatki, w ktorych nosili owoce i jadalne korzenie. Kazdy tez cenil sobie bardzo kij taki jak ten, po ktory teraz siegnal Jony. Byly one starannie wykonane ze specjalnie wybranych grubych galezi lub pni mlodych drzewek. Jeden z koncow byl zakrzywiony, a hak ten sluzyl do przyciagania galezi z owocami. Drugi, zaostzony przez cierpliwe pocieranie miedzy kamieniami, sluzyl do wykopywania korzeni i wydobywania larw. Mogl tez sluzyc jako bron. Voak usmiercil takim kijem ptaka vor. Musial jednak ten kij potem wyrzucic, gdyz rzecz, ktora zabija, nie moze byc po raz drugi uzyta.

Lud posiadal tez swe wlasne, naturalne uzbrojenie.

Niezwykla sila ich mocno umiesnionych ramion, a takze ich kly wystarczaly, by uczynic z nich straszliwych przeciwnikow. Tylko ptaki vor, ktore mogly atakowac w locie, i smaa, szybkonogie, poruszajace sie z predkoscia blyskawicy plazy, przedstawialy jakies realne zagrozenie. Byly tez, oczywiscie, Czerwone Glow. Jony widzial je tylko raz, ale nawet teraz drzal na samo wspomnienie. Wygladaly one (dla nie wtajemniczonych) jak wysokie rosliny z ogromnymi, plonacymi szkarlatem kulami kwiatow, po jednej na kazdym pedzie. W ciagu dnia byly zakorzenione w ziemi - rosly. O zmroku ich zycie ulegalo zmianie. Stopy, bedace rowniez korzeniami, wijac sie, wydobywaly sie i ze swych dolkow w darni, a rosliny przygotowywaly sie, by schwytac i pozrec kazda zyjaca istote, ktora udalo im sie spotkac. Z dolnych czesci ich kulistych glow wydobywal sie lekki, zoltawy proszek, a jego szybkie falowanie przypominalo powiewajace w powietrzu liscie. Wdychanie tego pylu powodowalo u ofiar utrate czucia. Czerwone Glow braly zwiotczale cialo i owijaly w kolczaste liscie, za pomoca ktorych wysysaly z niego soki. Skoro tylko ten przerazajacy posilek zostal skonczony, resztki byly wrzucane do pustych teraz dolkow korzeniowych, jakby na znak, ze odpadki po straszliwym posilku stracily juz wartosc odzywcza.

Lud nie znalazł sposobu obrony przed Czerwonymi Glowami. Najlepsze co można było zrobić, to po prostu unikać ich. Na szczęście miały takie ubarwienie, że dawały się łatwo dostrzec. Były one pierwszym wrogiem, którego wypatrywano podczas zwiadow na nieznanym terenie.

Jony obserwował, jak Maba i Geogee wycierają się do sucha pekami trawy i opasują spodniczkami. Rutee nauczyła ich wyplatać je z rozdzielonego na cienkie pasm włókna stosowanego przez Lud także do robienia sieci. Dodatkowo cała trójka miała okrycia z kwadratowych kawałków ciasniej splecionego materiału, z dodatkiem pior ptaka vor, które wciągali na siebie w okresach chłodu.

Jony zeskoczył ze skalnej polki i w kilku susach przeciał strumień. Uga i Huuf zmierzali do kępy drzew, która oznaczała ich obecne obozowisko. Oboje niesli pełne siatki; widac było, że poranek poświęcili pożyteczniejszym celom niż zwykła zabawa w wodzie.

-Pozwolisz im, żeby nas wyciągnęli - Maba patrzyła na Jony'ego spode łba, z wysuniętą dolną wargą. - Myślisz, że oni są od nas mądrejsi.

Geogee, z równie nachmurzona miną, przytaknął zgodnie.

Bliznieta były do siebie podobne z jasnych włosów prawie białych tam gdzie wyblakły od słońca, i z rysów twarzy. Jony nigdy nie mógł w nich dopatrzeć się niczego z Rutee.

Ale Rutee zawsze mówiła, że on sam przypomina swojego ojca. Często marzyło mu się, że Maba mogłaby mieć ciemne włosy Rutee, jej twarz. Zdarzało się, że mimo koncentracji nie mógł sobie w ogóle przypomnieć Rutee; został tylko mglisty kształt, do którego tesknął bezustannie czując tępy ból.

-Oni wiedzą więcej od was odparł krótko. - Byłoby lepiej, gdybyście ich choć trochę naśladowali.

-Dlaczego? - spytał Geogee. - My to nie oni. Dlaczego musimy się zachowywać tak jak oni?

Jony zmarszczył się w odpowiedzi. Wiele już razy przez to przechodził podczas minionych por. Im starsze stawały się bliznieta, tym bardziej były skłonne do pytań, wątpliwości i kłótni. Czasami musiał nawet dać im klapsa, podobnie jak dawniej Voak jemu, kiedy raz czy dwa zachował się głupio i bezmyślnie.

-Zachowujemy się tak jak oni, ponieważ oni wiedzą, jak tu żyć. To jest ich świat i oni najlepiej go znają.

-Gdzie jest w takim razie nasz świat? I czemu nie możemy tam pojechać? - Maba zadała pytanie, na które wielokrotnie już musiał odpowiadać.



-Nie wiem, gdzie jest nasz świat. Wiecie, jak tu przybyliśmy. Wielcy trzymali nas, Rutee i mnie, w swoim latającym statku. Wydostaliśmy się stamtąd. Rutee widziała, jak ich statek odleciał z powrotem w niebo. My zostaliśmy tutaj, co jest o wiele lepsze od przebywania w klatkach Wielkich. A teraz zbierajcie się, Yaa czeka.

-Yaa zawsze czeka - Maba nie dała się uciszyć tym ostrzeżeniem. - Ona chce, żebym znowu plotła siatkę. Nie rozumiem, dlaczego muszę to robić. A ty tymczasem wybierzesz się tam. - Zatoczyła reka szeroki krąg, wskazując wzgorza widniejące przed nimi. Ja też chcę tam pojsć.

-Tak - przytaknął Geogee. - Huuf idzie, więc i my też możemy...

-Huuf - Jony starał się teraz mówić z całym naciskiem - jest czujny przez cały czas. Nie ucieka i nie chowa się ani nie udaje zaginionego, by cały klan go potem poszukiwał.

Maba zaśmiała się i przerwała mu.

To było śmieszne, mimo że Yaa przyłożyła mu parę klapsów, jak wróciliśmy. My chcemy wszędzie chodzić i wszystko widzieć, Jony, a nie zawsze tylko sterczec tam gdzie Lud. Oni naprawdę nie lubią robić nic innego.

Miała oczywiście rację. Oboje musieli się uczyć ostrożności, a nie potrafili, czy nie chcieli, w żaden sposób zrozumieć, że nieznane niesie ze sobą niebezpieczeństwo. Jon był w innej sytuacji. Był o wiele starszy i miał swój wrodzony zmysł ostrzegający przed niebezpieczeństwem. Gdyby bliźnieta też go miały, nie musiałby się tak martwić o nie. Ale nie było w nich najmniejszego nawet śladu tego daru.

-Poczekajcie, aż będziecie starsi - zaczął, kiedy wtracił się Geogee.

-Za każdym razem to mówisz. Rosniemy, a ty to w kolko powtarzasz. Ty nas po prostu nigdy nie puszczasz, Ale posłuchaj, Jony, jestem prawie tak duży jak ty. Któregoś dnia po prostu odejdziesz, żeby wszystko zobaczyć samemu. Ani Voak, ani Yaa, ani tym bardziej ty, nie zatrzymacie mnie wtedy. Zobaczysz!

Maba uśmiechnęła się, a Jony nie wierzył w jej uśmiechowi. Widział nieraz ten jej wyraz twarzy i na ogół oznaczał on nadchodzące kłopoty. Mogł jednak polegać na Yai; jak tylko bliźniaki znajdą się w obozie, nie spuści już z nich oka.

Dziwna rzecz oboje, Maba i Geogee, przeszli resztę drogi spokojnie, nie narzekając i nie zadając dalszych pytań. Jony zostawiając ich pod dobrym, wszystkowiedzącym okiem Yai, przeszedł sam na przeciwległy kraniec obozowiska, gdzie gromadził się krąg samców nie mających jeszcze swoich samic. Klan był niewielki, ściśle połączony więzami krwi. Jeżeli któryś z młodszych samców zapragnął partnerki, musiał czekać na zgromadzenie klanu, które odbywało się przed nadejściem chłodów i wtedy starać się oderwać samice od innej rodzinnej grupki i nakłonić ją, by przyłączyła się do niego. Trzech najstarszych właśnie

niecierpliwie oczekiwało tej przyjemnej odmiany w swym życiu. Lecz była też czwórka młodszych samców, które podobnie jak Jony nie interesowały się jeszcze takimi życiowymi komplikacjami.

Jony chrupał kostkę z orzeszków ziemnych zmieszanych z sokiem z roślin będąc ich głównym, jadany w południe, posiłkiem. Było to dość smaczną jedzeniem, ale z niecierpliwością oczekiwał na wieczorny posiłek i podział dodatkowych przysmaków z rannego polowu.

Trush miał nieszczęście złamać dwa dni temu swój kij i spędził cały ranek na poszukiwaniach odpowiedniego surowca na nowy. Udalo mu się znaleźć młode drzewko ze stosownym haczykowatym zagieciem i teraz zajęty był cierpliwym pocieraniem grubszego końca o kamień, by uzyskać ostry szpic.

Otik przydzwigał cały stos kamieni; przebierał teraz swój zbiór, starannie wypróbując przydatność poszczególnych sztuk do scierania. Gylfi pracował nad muszla olbrzymiego pelzacza; najpierw wydłubywał całe mięso (przysmak wielce ceniony przez cały klan), a później układał kości w gnieździe żat. Owady w ciągu nocy obierały usługę wewnątrz muszli z najdrobniejszych szczątków organicznych. Gylfi otrzymywał twarde jak kamień mięso, nad którą rozciągał kawałek wysuszonej i uwędzonej skóry ptaka vor, przechowywanej jak skarb w tym właśnie celu.

Rozsmarowywał teraz sok z pnaczy (nieprzyjemny w użyciu z powodu swej ogromnej kleistości) po krawędziach muszli i naciągał na nią napreżoną skórę, obwiązując ją powrosłem z trawy. Chodziło o to, by zapobiec zeslizgnięciu się skóry, zanim roślinny sok całkiem nie zaschnie. Była to wymagająca cierpliwości i staranności praca i Jony wiedział, jak dumny był z niej Gylfi. Kiedy już sok wyschnie, będzie mógł grać na swym pięknym bebnie.

Lud nie śpiewał, chyba że wydawane przez nich pohukujące, gardłowe nawoływania wzięte za śpiew. Miał jednak zadziwiające upodobanie do tańca. Każda pełnia księżyca przywodziła ich do tego - i podskakiwali, tupali, tupali i podskakiwali bez końca. Jony zazwyczaj uważał te zebrania za nudne. Przez chwilę przypatrywał się, a potem rozglądał się za swoim legowiskiem. Częściej zdarzało się, że proponował utrzymanie straży za któregoś z członków klanu, który dzięki temu mógł cieszyć się zabawą.

Czuł się bezpieczny z trójką swych towarzyszy zaprzatniętych własnymi sprawami, ale też i trochę winny z powodu tego, co zamierzał zrobić. Koncząc swoją garść okruchów, dał znak Trushowi, że idzie na rekonesans. Ten, kompletnie pochłonięty swym zajęciem, zgarbił się tylko.

Rzut oka na obozowisko upewnił Jony'ego, że Maba i Geogee pletli siatki, siedząc po bokach Yai. Wymknął się więc spieszenie, mając nadzieję, że żadne z nich go nie widziało.

Jony znajdował czasem pewną przyjemność w przebywaniu w samotności. Dzięki zdolności określenia swego położenia, gdy znalazł się na obcym terenie, potrafił wyznaczyć swój szlak i nigdy nie obawiał się zgubienia. Świat wokół niego był niewyczerpanym źródłem rzeczy cudownych i ciekawych. Przeróżne formy życia przyciągały uwagę: od latających czy pełzających owadów po rośliny o liściach i kwiatach bądź zadziwiających oko, bądź też cieszących je swym pięknem. Pod wpływem impulsu zerwał teraz grono pomarańczowoczerwonych kwiatów nie większych niż paznokiec małego palca, o łśniących płatkach i mocnym, słodkim zapachu i wetknął te gałązki we włosy nad uchem, tylko dlatego, że kolor na chwilę zachwycił jego oczy.

Lud raczej nie przejawiał większego zainteresowania roślinnością, chyba że dostarczała pokarmu lub materiału na jakieś narzędzie czy też stanowiła przeszkodę i sprawiała kłopoty. Lecz Jony i bliźnieta często zrywali i nosili kwiaty. Kolory i zapachy zaspokajały jakas ich tęsknotę, której nie rozumieli.

Jony odwrócił się i zaczął wspinać się w górę, kierując się stale na południe. Gdyby któregoś dnia udało mu się znaleźć kamienną rzekę, mógłby może nawet przesledzić jej bieg do samego źródła. Nigdzie indziej nie widział tak wygładzonych kamieni, ułożonych na ziemi w dziwnych linach. Sprawiały wrażenie, że nie ułożyły się tam w sposób naturalny, lecz raczej zostały umieszczone w jakimś celu. Przez kogo, po co?

Osiągnął szczyt wzgórza. Stąd mógł wytyczyć swój szlak. Gdy unosił zaostrzony koniec kija, aby oskrobać pień drzewa, spojrzal w dół, a to, co zobaczył, zaparło mu dech i sprawiło w zdumienie.

Było tam... co? Jony nie znalazł określenia. W pierwszej chwili odczuł dreszcz przerażenia, niejasne wspomnienie statku Wielkich. W sekundę później wiedział już, że to nie jest statek Wielkich stojący cicho niby skała. Stosy skał jednak nie mogły przypadkiem wznosić się na kształt wież. Wyniosłe palce z kamienia były zbyt doskonałe, ułożone według pewnego wzoru. Nie, to ktoś użył skał i kładł jedną na drugiej, wznosił budowle o prostych krawędziach, kopce, wieże.

Kamienna rzeka dochodziła do krawędzi tej budowli, prosta i równa, płytko pokryta naniesionymi smugami ziemi. Dla Jony'ego stało się oczywiste, że było to z całą pewnością źródło tamtej rzeki. Tak więc i ona także została przez kogoś zrobiona, lecz jak i dlaczego?

Trzymał się w ukryciu, a posuwając się naprzód, wykorzystywał każdy skrawek gąszczu, każdą grupkę drzew. Równocześnie jego dodatkowy zmysł był w pogotowiu; sondując, poszukując jakiegos śladu myśli - myśli pokrewnej myślom Wielkich. Tylko ludzie podobni do jego dawnych wrogów mogliby wymyśleć to, co leżało przed nim. Tworzenie z kamienia nie leżało w naturze Ludu.

Zadne poszukiwania czynione przez jego umysł nie przyniosły rezultatu. Nie wykrył śladów życia innych niż te, które zawsze były wokół: owadów, drobnych latających stworzeń.

Nawet niepewny sposób myślenia Ludu czy z groźenie obecnością smaa były niewyczuwalne. Nie, nie było żadnego życia w tych pietrzących się przed nim stosach kamieni. Jony zaczął być tego pewny. Ruszył więc z większą ufnością i z rozbudzonym zaciekawieniem, które musiał zaspokoić.

#### IV

Na koniec Jony wkroczył śmiało na kamienną rzekę i szedł pewnie w kierunku widniejących przed nim skalnych budowli. Były one różnych rozmiarów: niektóre równe jego wzrostowi, inne tak wysokie, że musiał odchylić głowę do tyłu, żeby zobaczyć ich dotykające nieba wierzchołki. Kamienna rzeka wiodła go teraz pomiędzy skrajnymi budynkami. Jony zawahał się. Bardzo chciał prowadzić poszukiwania, ciągle jednak był ostrożny. Jeszcze raz wsłuchał się bacznie, czy nie nadbiega jakiś dający się wyczuć znak sygnalizujący niebezpieczeństwo. Czy Lud wiedział o tym miejscu? Dziwna reakcja Trusha, kiedy pierwszy raz natknęli się na kamienną rzekę, pozostawała żywo w pamięci Jony'ego. Nie odciągał on chłopca stamtąd, po prostu zignorował dziwne znalezisko. Dlaczego?

W kamiennych stosach zauważył liczne dziury. Były one tak regularne, jak gdyby zostały celowo wydrążone, a nie dlatego, że jakiś kamień sam z biegiem czasu odpadł ze swego miejsca. Trzymając kij w pogotowiu, jak gdyby się skradł po terenach myśliwskich smaa, Jony posuwał się ostrożnie krok po kroku, rzucając spojrzenia na boki i utrzymując swój dodatkowy zmysł ostrzegawczy w pełnej gotowości.

Większe dziury przypominały mu nieco wejścia do jaskiń; zbyt regularne były jednak i ich kształty, i odstępki, w jakich się powtarzały, by można je było uznać za pieczary, w których Lud chronił się w okresach chłodu. Odruchowo Jony wszedł do najbliższej i rozejrzał się po wnętrzu.

Pewna ilość światła dochodząca z innych, mniejszych od wejściowego, otworów była wystarczająca, by dostrzec ;Otwartą przestrzeń i dalsze wejścia. Zmysł Jony'ego pochwycił wrażenie pustki. Poczul się osmielony i poszedł dalej. Sterty jakiejś nieokreślonej masy leżały na podłodze. Dźgnął ostrożnie jedną z nich zaostrożonym końcem kija. Cały stos zapadł się i rozsypał w tumanach kurzu.

Jony kichnął i szybko się cofnął. Nie zwracał uwagi na lekko kwaskowaty, nie przypominający żadnego ze znanych zapachów. Jego ciekawość nie ustępowała; A te większe kamienne stosy rozmieszczone wzdłuż rzeki, czy wszystkie wyglądały podobnie?

Spostrzegł kilka odnog pnaczy i parę kęp szorstkiej trawy, której udało się zakorzenić w skalnych szczelinach. Szesc małych ptaków, widocznie pchanych nagłą potrzebą ucieczki, poderwało się do lotu z występu skalnego w górę. Był to przecież ich zwykły sposób zachowania, więc Jony, zawstydzony swoją gwałtowną reakcją na ich krzyk skargi, ruszył śmielszym krokiem.

Napotkał inne, mniejsze rzeki z kamienia, odnogi tej, wzdłuż której podszedł, i podobnie jak ona obstawione kamiennymi budowlami; miały one otwory wejściowe, lecz stały ciche i opuszczone. Jedyne znaki życia, to ślady jakichś drobnych stworzeń na nawianej ziemi. Najwyraźniej uważały to miejsce za bezpieczną kryjówkę.

Wreszcie rzeka wydostawała się na otwartą przestrzeń, kończąc swój bieg u stop największego ze wszystkich stosów. Bryły wygładzonego kamienia były tu ułożone jak występy skalne u wodospadu, tak że człowiek mógł się nich z łatwością wspinać. Jony rozpoczął wspinaczkę, kierując się ku otworowi na szczycie, który był cztery, może pięć razy większy od dotychczas spotykanych. Gdy był blisko, nagle przystanął, bo oto w cieniu wejścia widniejącego nad jego głową ktoś stał, ktoś czekał.

Jony przysiadł, trzymając kij w pogotowiu i przyglądał się stojącemu. Był on od niego wyższy, ale... to nie był Wielki, jak w pierwszej chwili wydawało się Jony'emu pod wpływem dawnych wspomnień. Nie, ta twarz...

Jej twarz! Jony szybko doszedł do tego wniosku przyjrzawszy się jej dokładnie. Choć wielka, przypominała Rutee. Była jednak... kamieniem!

Jony odgadł prawdę. Ci, którzy ułożyli ten stos, zmienili jednego spośród siebie w kamień. Albo też potrafili kształtować kamień, tak jak Lud osiągał zadany kształt, modelując młode drzewka. Myśl o tak cudownej umiejętności zaparła mu dech.

Musiał podejść wprost do postaci i odważyć się dotknąć jej chłodnej powierzchni, zanim upewnił się, że jego domysły były prawdziwe. W dotyku kamień nie był szorstki, lecz gładki. Wodząc ręką po krzywiznach, tak wysoko, jak mógł sięgnąć, doznawał przyjemnego uczucia. Nawet jednak stojąc na palcach, nie mógł sięgnąć wyżej niż do brody figury.

Patrząc z bliska, mógł spostrzec, że kiedyś na szaro-biały materiał, z którego była wykonana statua, nałożone były inne kolory. W fałdach jej ubrania pozostały niewyraźne ślady błękitu. A wokół szyi widniały wyrzeźbione liczne ogniwa, ciągle jeszcze żółte.

Jej włosy nie opadały swobodnie jak u Rutee czy Maby, lecz upięte wysoko w kok przedłużały głowę. Jedną z rąk była wygięta w nadgarstku pod dziwnym kątem - czubki palców skierowane w niebo, wyprostowana dłoń ku patrzącemu. Pod wpływem impulsu Jony przyłożył rękę do tamtej, dłoń do dłoni.

-Nie!

Potykał się, odsunął się od kobiety z kamienia. Zmieszał się. Coż to mogło oznaczać? Spodziewał się napotkać chłodny kamień tak jak dotychczas. Lecz gdy położył swoją rękę właśnie tam, na tej drugiej ręce, opanowało nim uczucie, którego nie mógł ani zrozumieć, ani wytłumaczyć.

Jony ostrożnie badał figurę w najdrobniejszych szczegółach. Druga ręka leżała na piersi

dłonia do wewnątrz. Spokojna, nieruchoma twarz, która w jego myślach nakładala się na twarz Rutee, była tak odwrócona, że oczy mogły spoglądać w dół kamiennej rzeki, jak gdyby wypatrywały kogoś, kto dotychczas nie nadszedł.

Nie było w niej oczywiście życia. Jony zdecydował się delikatnie dotknąć wyciągniętej dłoni samym czubkiem swojego kija. Nic się nie stało. Musiało mu się wcześniej coś przewidzieć. Uznał jednak, że nie pragnie powtórzyć tego doświadczenia.

Zamiast tego zaczął lukiem okrazać kobietę, na ile pozwalała szerokość wejścia. Cokolwiek by było w miejscu leżącym za kobiecą postacią - kierował się tam właśnie, do wnętrza największego ze wszystkich kamiennych stosów. Najpierw szedł bardzo wolno, bo mrok wewnątrz wy dawał się jego nieprzyzwyczajonym do mroku oczom ciemnością. Potem zobaczył, że wkracza na rozległą przestrzeń, wzdłuż której ciągną się wysokie rzędy okrągłych kamieni ułożonych jedno na drugim. Przypominały one pnie wielkich drzew. Ich górne partie znikaly w mroku, gdzieś wysoko nad jego głową.

Jony zadrzał. Miejsce to przynosiło wspomnienia dawnych leków. Sądząc po rozmiarach, wydawało się ono stworzone dla Wielkich, a nie dla istot jego wzrostu, a jednak kamienna kobieta, choć wysoka, wyglądała jak Rutee i nie miała w sobie przerażającej obcości dawnego wroga. Ta właśnie myśl, jak również jego nieustająca ciekawość, osmieliły go.

Tak jak rzeka kamieni wiodła prosto do tego kamiennego stosu, tak linie kolumn również tworzyły rodzaj przewodnika. Widział już teraz przed sobą w oddali więcej światła. Jony przyspieszył kroku, a jego białe stopy posuwały się, szurając w miękkim dywanie kurzu.

Tu, wysoko w górze, zobaczył otwór innego rodzaju - o wiele większy, wychodzący na niebo. Tuż przed nim liczne występy skalne podtrzymywały pojedynczy, szeroki kamienny blok. Nie był on jednak szarobiałym jak cała reszta, lecz pokryty różnokolorowymi plamkami położonymi na ciemnym, prawie czarnym tle. Jony przyglądał się mu z bliska, nie mogąc odróżnić żadnego wzoru, podobnie jak na plamiastym futrze Ludu. Jednak te żywe kolory (w najmniejszym stopniu nie zbladłe jak tamte na posagu kobiety) musiały mieć swoje znaczenie. Były to drobne cetki, jedne szeroko rozrzucone, inne luźno zgrupowane tu i tam. Wiele z nich isniło, jakby padało na nie światło słoneczne, choć żaden promień słońca nie dochodził z otworu na górze.

Obchodząc kamień dookoła, Jony stwierdził, że w ten sposób pomalowane były wszystkie jego cztery strony. A jednak ani raz położenie, ani ilość plamek czy też ich, z pozoru chaotyczne, rozrzucenie nie powtarzały się. Nie mógł zobaczyć wierzchołka kamienia, gdyż gzymsy wznosiły się wysoko ponad jego głowę. Czy tak samo było na szczycie? I co to miało za znaczenie?

Jony odważył się wreszcie wspiąć. Ostatni występ, na którym spoczywał kamień, był na tyle szeroki, że pozwolił na obejście go dookoła bez konieczności bezpośredniego stykania się z powierzchnią. Od czasu dziwnego doznania przy kontakcie z kamienną kobietą był

ostrożny. Mogł teraz wyraźnie zobaczyć, że nie było tu żadnego wzoru ze Isniących cetek. Był tam...

Szarpnął się do tyłu, prawie stracił równowagę i osunął się po występkach w dół. Czyżby, bardzo mgliście, widział twarz?

Jeżeli tak, to była to druga kamienna postać, upewniał sam siebie. Nie wyrzuci mu przecież żadnej krzywdy, jeżeli jej nie dotknie. Zdecydowanie odsunął od siebie niepokój i z powrotem zbliżył się do kamienia.

Kurz leżał na powierzchni, kurz, który nie przysłaniał nakrapianych boków. Zmiotł go kijem najdokładniej jak mógł. Drewno ślizgało się gładko.

Zbliżył się do bloku na odległość wyciągniętej ręki, Tam! Wewnątrz kamienia! Blok - z góry przejrzysty jak wody strumienia, tak że można było patrzeć w dół na to, co leżało wewnątrz - był pusty, niczym martwy pień drzewa z dziuplą w środku.

Zdobywszy się na odwagę, Jony wyciągnął rękę, lekko puknął w pokrywe palcami i odskoczył. Tym razem nie doznał żadnego dziwnego odczucia, ale dotknięcie upewniło go, że, choć przezroczysta, okrywa była z litego materiału.

Jego ostrożność na tyle osłabła, że przycisnął się bliżej, by zobaczyć, co leży wewnątrz. Z pewnością tam, w głębi kamienia, była jakaś postać. Jony pochylił się nisko i przyglądał się. Ciało - z wyjątkiem rąk i twarzy - owinięte było pasami materiału, który słabo fosforyzował, trochę tak jak świeciły oczy Ludu w ciemności.

Nie był to jednak nikt z Ludu. Ręce były z kształtu bardziej podobne do jego rąk, tylko większe, bo i cała postać była większa. Spoczywały wysoko na piersiach z palcami luzno obejmującymi kij, nieco przypominający jego własny, tyle że nie miał on haczykowatego zakrzywienia na końcu i był przyćmionego, czerwonego koloru. Jony nie mógł odróżnić rysów twarzy spiącego (jeżeli był to ktoś spiący), gdyż przykrywała ją maska, na której nie odznaczały się ani oczy, ani nos czy usta.

Czy był to martwy człowiek zostawiony tak przez swój lud? Jony rozejrzał się po wielkiej, zakurzonej sali. Jeżeli tak, to ten obcy musiał tu leżeć przez długi, długi czas. Lud chował swoich zmarłych w jaskiniach, zostawiając im jedzenie na Nocną Podróż i mocny, nowy kij na drogę. Rutee była tak samo pochowana.

Jony nie wiedział, co czeka ludzi po śmierci. Rutee zawsze mówiła, że umrzeć to tak, jak obudzić się w innym, lepszym miejscu. Tam każdy spotka tych, których kochał. Nawet umierając, zawołała raz: Bron! a w jej głosie zabrzmiało powitanie.

Nie wiedział, czy Lud wierzy w to samo, ale pogrzeby odprawiano tam starannie. Także oni mogli uważać śmierć za bramę do innego miejsca i czasu. Ktoś musiał dolożyć niemałych staran, by tego obcego umieścić w takim miejscu. Nie wolno go niepokoić!

Jony opuszczył się na podłogę wielkiej sali. Jak długo tu spał ten zamaskowany mężczyzna (czy kobieta)? Stojąc tam, obserwując te jasne punkty na kamieniu, Jony z lekką się skulił. Wydawało mu się nagle, że długie, długie odcinki czasu klebia się nad nim wszystkie naraz, a jest ich tyle i wiszą tak gesto, że nie można oddychać.

Wziął głęboki oddech i pobiegł do wyjścia, a przesuwnąjąc się obok kamiennej kobiety nie obdarzył jej nawet spojrzeniem. Na dworze poczuł ulgę, lecz to uczucie usidlenia przez czas wciąż go nie opuszczało. Chciał teraz znaleźć się z dala od tego miejsca, z powrotem w otwartym świecie Ludu.

Tupocząc pedził w dół rzeki z kamienia, jak gdyby scigany przez jednego z Wielkich we własnej osobie. Czuł klucie w boku, kiedy wydostał się na otwartą przestrzeń, z dala od tamtych martwych kopców spiętrzonych kamieni; przemknawszy przez rzekę, wpadł na znana, przyjazna ziemię.

Nie zatrzymywał się w biegu, dopóki osiągnął grzbietu, skąd po raz pierwszy dostrzegł kamienne budowle. Potem dysząc odwrócił się, by spojrzeć za siebie. Zbliżał się zachód. Cienie wypelzały, tak jakby w godzinach jasnego dnia czekały ukryte w kamiennych kopcach. Jony zadrzał. Nie był pewien, co mu się właściwie przydarzyło, czuł tylko przygniatający ciężar. Trush miał zupełną rację: rzeka, kamienne stosy - należało je omijać.

Gdy jego oddech się uspokoił, Jony skierował się do obozowiska, przez cały czas mając przed oczyma zamkniętą w kamieniu spiacą postać w czerwonej masce. Nadal dreczyła go ciekawość. Kto to był? Dlaczego tam leżał? Jak gdyby czekał... Na co czekał?

Jony energicznie poruszył głową, otrzasając się w ten sposób z niepokojących myśli. Zobaczył przed sobą pęczki ciężkie od bladezielonych owoców i przysposobił hak swojego kija, by sięgnąć je na dół. Nie wracał przynajmniej z pustymi rękami. Postanowił nikomu nie opowiadać o swojej popołudniowej przygodzie.

Nie był pewien, czy kiedykolwiek powróci do tego kamiennego świata. Może wystarczyło zobaczyć go raz, może tak było lepiej? Ostatecznie stwierdził, że nie ma zamiar szybko powtórzyć tej wyprawy.

W chwili kiedy właśnie sięgał po owoce, z zamysłem wyrwał go jego dodatkowy zmysł ostrzegawczy. Coś się stało, był pilnie potrzebny!

Jony zaczął biec najszybciej, jak mu na to pozwalał nierówny grunt. Przeczynał, że kłopot jest gdzieś niedaleko, przed nim i z pewnością go dotyczy. Atak smaa na obozowisko? Pomyslał o największym ze znanych sobie niebezpieczeństw, chociaż wrog ten rzadko pojawiał się w tej części kraju. Była i inna, na swój sposób gorsza możliwość, że powrócił statek Wielkich!

Opanował go dawny strach. Ani on, ani Rutee nigdy się nie dowiedzieli, co doprowadziło do szybkiego odlotu statku obcych, tuż po ich własnej ucieczce. Czyby statek wrócił, by ich



pochwycić? Żadna bron będąca w posiadaniu Ludu nie byłaby dość skuteczna, by im się przeciwstawić. Zbyt wiele razy słyszał opowieść Rutee o tym, jak łatwo opanowali kolonię, która była jej domem.

Jony nie doszedł jeszcze do obozu, kiedy Trush pojawił się przed nim, w ten dziwny sposób, w jaki Lud potrafi to zrobić dzięki swemu ubarwieniu, które upodabniało go do otaczającej roślinności, idealnie maskując zarysy ciała. Trush trzymał w pogotowiu kij, a gestykulując drugą ręką, sygnalizował wiadomość, której Jony się nie spodziewał.

-Mały... jasny... futro... pojsć!

Gegee, Maba lub oboje! Jony nadmiernie ufał, że Yaa ich dopilnuje. Podniósł dwa palce, aby zasygnalizować pytanie o bliźnięta. Trush przytaknął na to szybkim pochyleniem pyska, będącym u Ludu gestem potwierdzenia.

Jony, ciężko dysząc, stał naprzeciwko Trusha jak wryty. Pierwszą myślą, która wpadła mu do głowy, było przypuszczenie, że dzieci musiały się wymknąć, by iść za nim, i być może zgubiły się w okolicach gorskiego grzbietu. W przeciwieństwie do Ludu, który doskonale widział w ciemnościach, on widział w nocy o wiele gorzej.

-Ktoredy? - zapytał w języku gestów.

Koncem kija Trush wskazał ponad ramieniem Jony'ego w kierunku grzbietu, z którego chłopiec właśnie przyszedł. A więc bliźnięta poszły jego śladem! Czy doszły do miejsca, gdzie Pietrzyły się kamienne stosy? Jony myślał o licznych tam kryjówkach, ale też i o innych niebezpieczeństwach czających się w szybko zapadających ciemnościach. Pamiętając niechęć Trusha do kamiennej rzeki, Jony bał się, że Lud nie będzie chętny do pomocy, może mu jej nawet zupełnie odmówić.

Trush, zarzucając kij na ramię, ruszył przodem z opuszczonymi oczyma, jak gdyby odczytywał jakiś ślad! Jony nie był tak sprawnym tropicielem, trzymał się więc z tyłu. Bardzo chciał dowiedzieć się, od jak dawna dzieci nie było, ale Lud nigdy nie mierzył czasu.

Podążając za ciężką sylwetką Trusha, Jony raz jeszcze wspinał się na grzbiet. Kiedy osiągnął szczyt, Trush stał tam już zupełnie bez ruchu.

-Gdzie? - spytał Jony, gestykulując. Okrągły łeb odwrócił się lekko, a wielkie oczy wpatrywały się bez zmruczenia. Jony, nie pierwszy już raz, rozpaczliwie pragnął czytać w umyśle kryjącym się za tymi oczami, poznać myśli tego drugiego.

Wyczuł jedynie silne zaniepokojenie, tak jakby Trush zmuszony wbrew swojej woli stawiał czoło niebezpieczeństwu, walczył teraz ze sobą, starając się znaleźć wyjście z tej pułapki.

Powoli, z na wpol odwróconą twarzą, uniesionym kijem wskazał na odległe kamienne budowle. Nie wykonał nawet żadnego gestu ręką, żeby potwierdzić swoją odpowiedź.

Jony wziął głęboki oddech. W coraz bliższym świetle kamienne stopy miały odstreczający wygląd, czego nie zauważył wcześniej, gdy były rozjasnione słońcem. Jak gdy z nadejściem ciemności budziło się dawne zło. Jony zdecydowanie odepchnął od siebie takie fantazje i skupił myśli na poszukiwaniach.

Tak! Był tam umysł - to Geogee, gdzieś z przodu. Jony wsparł się na kij. Gdybyz tylko nie obiecał Rutee nie zniewalać umysłów żadnego z bliźniat, mógłby je stamtąd wyprowadzić! Z niepokojem szukał dalej - gdzie jest Maba? Model jej myślenia był dla niego zazwyczaj tak jasny jak wypisany na twarzy, dlaczegoż więc nie mógł go teraz umiejscowić!

Strach odżył. Tylko brak świadomości mógł uniemożliwić kontakt z umysłem. Czy Maba była ranna, czy może nie żyła?

Zanim zdążył się zorientować, co robi, gorączkowo zbiegał już z góry. Nie spodziewał się, że Trush podąży za nim. Jeżeli bliźnieta były w kamiennych stosach, on sam musi je znaleźć i przyprowadzić z powrotem w bezpieczne miejsce.

Jego stopy dudniły glucho po kamiennej rzece, a kij trzymał przed sobą, w pogotowiu. Choć wcześniej ciekawość przywiodła go do tego miejsca, teraz wstydził się tego, zły był na siebie. Bliźnieta musiały go widzieć, jak wychodził i, jak zwykle, długo nie myślał, poszły za nim. ;Ktoż odgadnie, co mogły napotkać w tych kamiennych jaskiniach, tak teraz pełnych cieni?

W pośpiechu Jony minal pierwsze, mniejsze kamienne jaskinie. Zmusił się, by zwolnić. Był to czas poszukiwan za pomocą myśli, a nie bezowocnego biegania na ślepo w mroku.

Naraz udało mu się nawiązać kontakt z Geogee'em. Dobiegło go uczucie nagłego, silnego strachu; Geogee się bał. Skoro nie wolno było jemu, Jony'emu, rozkazywać umysłowi malca, mógł wszakże przywołać go tą drogą; Kontakt między umysłami byłby przewodnikiem przez nieznaną niebezpieczeństwa.

-Geogee! - przywołał w myślach możliwie najwyrazniejszy obraz chłopca. - Geogee, gdzie jesteś?

Strach stworzył barierę. Geogee był tak targany przerażeniem, że nie myślał w uporządkowany sposób, które Jony mógłby pochwycić i zanalizować. Zniekształcone połączenie przybrało postać miotających się dziko, skierowanych na wszystkie strony szarpnieć.

Jony nie mógł utrzymać normalnego kontaktu, ale mógł użyć osrodka niepokoju jako przewodnika. Sondował więc zawzięcie, a droga, którą odkrywał, nie wiodła go do olbrzymiego stosu, gdzie trwali w oczekiwaniu kamienna kobieta i spiący mężczyzna, lecz w dół, ku jednemu z mniejszych i o wiele węższych kamiennych strumieni. Tu budowle leżące na drugim brzegu wydawały się nachylać nad nim, jak gdyby gotowe w każdej chwili uwolnić się, rozpaść na pojedyncze bryły skalne, a wałać się w dół, zmieszc go z

powierzchni.

Jony musiał przewycieczyc rosnący niepokój, by nie stracić kontaktu z tym osrodkiem niespokojnych myśli który oznaczał Geogee'a. Zbliżał się doń z każdym krokiem, w każdym razie był o tym mocno przekonany. Nagle głowa odwróciła się, jakby szarpnięta, w prawo. Tam!

Jak wszystkie inne otwory i ten był nie ogrodzony; było tam też żadnej kamiennej postaci, która stojąc u wejścia, witalaby lub zegnała przybysza. Wewnątrz było pełnie ciemno. Pierwszy raz Jony zawołał, podnosząc głos:

-Geogee!

Imię chłopca odbiło się głuchym echem, aż Jony pozalował, że krzyknął. Jednakże w odpowiedzi coś poderwało się z glebi, dopadło go, objęło w pol ramionami, wieziąc w szalenczym uścisku i z całej siły przyciskając doń głowę.

Geogee tak się przy tym trząsł, że ten jego nagły atak o mało nie powalił Jony'ego. Starszy chłopiec w odpowiedzi objął ramiona młodszego ciasnym uściskiem. Kiedy drzenie małego trochę zelzało, Jony znow się odezwał:

-Geogee - powtórzył imię chłopca spokojnie i zdecydowanie, mając nadzieję, że przełamie przerazenie przepelniające Geogee'a i wydobędzie od niego potrzebną wiadomość. - Geogee, gdzie jest Maba?

Geogee zapłakał z cicha. Nie spojrzał nawet w górę na Jony'ego, przycisnął tylko mocniej twarz do jego piersi. Jony starał się zachować spokój. Musiał pokonać opór, dowiedzieć się, co się stało, by móc odnaleźć dziewczynkę.

-Gdzie... jest... Maba? - Mówił, oddzielając wyrazy, powoli, z naciskiem.

Geogee jęknął, odpowiedział jednak.

-Zabrała ją sciana. Polknęła ją!

V

Jony nie miał wątpliwości, że Geogee wierzy w to, co wiedział. Ale sciana, która polyka? Jony próbował przełamać strach. Niczego bardziej nie gnał, jak uciec teraz z Geogee'em, uwolnić się od tego, które w mroku przyoblekało się w złe wspomnienie klatek i bardziej niepokoiło niż jakakolwiek pułapka. Lecz była przecież Maba. Nie mógł jej tam zostawić. Najpierw musiał uspokoić Geogee'a, żeby uzyskać od niego rozsądniejsze wyjaśnienia. Złapał chłopca za warkocz, mocno i zdecydowanie odciągając go od siebie, tak by w panującym tu słabym świetle mógł zobaczyć jego wstrząsnietą przerażeniem twarz. Rutee zmusiła go do przysięgi, że nigdy nie użyje swego wpływu na umysły dzieci. Nie mogła jednak

przewidzieć tej sytuacji. Jony musiał uwolnić Geogee'a od dostatecznie już długo dlawiącego chłopca dzięki leku, by dowiedzieć się, co się stało. Bo inaczej... inaczej Maba będzie zgubiona. Przewycieczając własne obawy, Jony wpatrywał się uporczywie w oczy chłopca utkwione gdzieś tępo, jak gdyby Geogee został uwięziony w tamtej chwili grozy. Jor użył swego mentalnego dotyku, kojąc umysł dziecka, starając się przelamać barierę strachu.

Młodszy zamrugał, skrzywił usta. Jony skupiał się. On był tutaj, Geogee nie był sam, obaj muszą odnaleźć Mabe. Tak jak poprzednio przemawiał, kładąc nacisk na słowa, w podobny sposób teraz przekazywał swe myśli.

Szalency ucisk Geogee'a powoli słabł. Jony wiedział, że zwycięży opór. Zmuszając się do spokoju, walczył z własną niecierpliwością. Czemu traci tu czas, co może dziać się z Maba? Zdecydowanie odsunął od siebie te myśli; najpilniejszym zadaniem było dowiedzieć się wszystkiego, co wiedział Geogee.

Po chwili zapytał krótko:

-Maba?

Geogee rozluźnił ucisk, odsunął się. Jego twarz by teraz spokojna, lecz przypominała Jony'emu twarz mentalnie sterowanych z czasu klatek. Przecież nie zniewolił Geogee'a całkowicie, a zrobił tylko to, co musiał: sięgnął w głąb, poza dreczący chłopca strach.

-Tam - Geogee wskazał na ciemniejszą część jaskini i drugie wejście. My byliśmy tam...

Jony zwilżył suche wargi koncem języka. Iść w tamtą ciemność... Ale tak być musi. Wyciągnął kij przed siebie, w końcu mógł nim sondować cienie, nie był tak całkiem bezbronny. Jego zmysł mówił mu, że nie było tam, w tych kamiennych stosach, żadnego żywego, dającego się rozpoznać wroga. A jednak to stamtąd właśnie nadchodziła jakaś dziwna świadomość, która była dla niego rodzajem nie znanego dotychczas ostrzeżenia.

-Chodźmy tam, z powrotem - Geogee już odchodził, tupiąc w ciemności. Jony pośpieszył za nim.

Przeszli przez dwie kamienne sale, gdzie otwory w ścianach przepuszczały minimalną ilość światła. Potem Geogee zatrzymał się w trzeciej, stając naprzeciwko czegoś, co sprawiało wrażenie litej budowli z kamienia. A jednak młodszy chłopiec posuwał się naprzód w jej stronę, jak gdyby widział wejście dla Jony'ego niewidoczne.

-Maba Geogee wskazał miejsce - położyła swoją rękę dokładnie tu. Mówiąc to, płaska dłoń nacisnęła na kamień.

Rozległ się tępy zgrzyt. Pchnięcie Geogee'a poruszyło nie tylko nacisnięty blok, poruszyły się też te powyżej i poniżej. Chłopiec, straciwszy równowagę, potknął się i wpadł w wielką,

czarna dziura, która ziała tam teraz otworem. Jony wycelował kijem w to miejsce. Kamienie, które zakolysały się z powrotem, by zamknąć Geogee'a, zatrzymały się, zostawiając spora szczelinę.

Jony słyszał, jak Geogee krzyczy. Podważał kamienie kijem jak szalony. Odsunęły się trochę szerzej, lecz widział, że kij nie może im sprostać.

Jakikolwiek sekret ukrywała skala - nie było innej rady, musiał tam wejść.

Po omacku przekroczył wejście, usłyszał, jak kamienie skrzypiąc zamknęły się za nim. Ogarnęła go panika. To była klatka, gorsza niż tamte klatki Wielkich. Panowały ciemności, a ściana była lita, masywna. Stojąc na krawędzi swej nowej klatki, zrobił krok do przodu. Jego noga nie natknęła się na żadną powierzchnię, tam niczego nie było!

Z krzykiem Jony upadł w tę nicosc. Nie był to wielki upadek. Ciężko ładując, znalazł się na pochyłości, po której nadal się zsuwał, choć walczył kijem, próbował znaleźć jakiś uchwyt, by powstrzymać ten zeszły wciąż w dół i w dół. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że nie zsuwa się po chropowatej powierzchni kamienia, która musiałaby przecież zderzyć mu skroń. Czuł pod sobą coś miękkiego co poddawało się pod badającym naciskiem palców, uginając się, a następnie unosząc z powrotem. Tak jakby obmyślając ten dziwny sposób podróżowania, zastosowano wszelkie możliwe środki zabezpieczające przed uszkodzeniem ciała.

Wciąż w dół i w dół; Jony nie miał sposobu, by ocenić, jak daleko sięga ten zeszły.

-Geogee! - krzyknął, nasłuchując odpowiedzi.

Nadeszła w końcu: cichy, słaby głos dobiegający gdzieś z daleka. Natychmiast wysłał swą sondującą myśl.

Geogee znów był pogrążony w strachu i zamyśleniu, ale zdrowy i cały. Jeżeli był gdzieś koniec tego kreciego tunelu, Jony odnajdzie tam Geogee'a, a najpewniej i Mabe.

Nie próbował nawet zgadywać, jakie było przeznaczenie tego zjazdu. Czy była to dawno temu założona pułapka na tych, którzy wtargnęli do kamiennych stosów? Czy w każdym z nich była taka sama? Jeżeli tak, to jacy wrogowie zagrozili tym ludziom?

W oddali Jony zobaczył szarawy blask światła. Ucieszył się. Samo wydobyć się z przytłaczających ciemności wystarczyło, by podnieść go na duchu. Poza tym nie zsuwał się już tak szybko, gdyż kąt nachylenia tunelu był łagodniejszy. Światło dochodzące z okrągłego otworu, który miał przed sobą, wyjaśniało. Jony zaczął mieć nadzieję, że zbliża się do końca tego koszmarnej zjazdu.

Widział teraz lepiej i mógł użyć kija jako hamulca, nie wypadł więc gwałtownie z otworu, a kucnął u wyjścia, rozglądając się ostrożnie.

-Jony! - Geogee, przykucniety na podłodze ogromnego pomieszczenia, brudnymi rekami rozmazywał łzy na policzkach. Nie było tu wyjścia na zewnątrz. Jony był pewien, że znajdują się głęboko pod ziemią, w jakiejś pieczarze. Nie mógł zobaczyć ani też pojąć, skąd dochodzi światło, ale z wdzięcznością przyjmował jego istnienie.

Przed sobą usłyszał nagle cichy odgłos upadku na podłogę. Cos... odwrócił się od Geogee'a, stając twarzą do otwierającego się szeroko pomieszczenia. Maba! Tedy!

Pochylił się nad Geogee'em, poderwał go na nogi.

-Chodź!

Musiał znaleźć Mabe, a potem wyjście. Wspiecie się droga, która się tu zsunął, wydawało się niemożliwe. Zniecierpliwiony odrzucił ten pomysł. Niech tylko znajdzie Mabe, może wtedy dalsze poszukiwania wskażą mu drogę ucieczki.

-Jony, chce stąd wyjść! - W głosie Geogee'a zadźwięczała piskliwa nuta.

Jony mógł użyć swego uspokajającego wpływu, ale musiał się teraz bez reszty skupić na odnalezieniu Maby.

-Wydostaniemy się - uspokoił chłopca zapewnieniem, które mogło być klamliwe, ale które musiało mu w tej chwili wystarczyć. - Najpierw znajdziemy Mabe.

-Gdzie ona jest? - Geogee domagał się odpowiedzi rozglądając się, jak gdyby Maba była w zasięgu wzroku.

-Tedy. - Przynajmniej tak się Jony'emu zdawało. Trzymał chłopca za ramię, ponaglając go. W końcu Geogee namyslił się i ruszył. Kiedy wydostali się na środek otwartej przestrzeni, Jony zauważył, że była ona znacznie większa niż z początku przypuszczał i ciągnęła się daleko, daleko w przód. Spostrzegł inne otwory w ścianach, podobne do tego, przez który się tu dostali. Wydawało się, że był to centralny punkt, w którym zbiegały się liczne wejścia.

Panowała tam całkowita cisza, martwota nie spotykana w cienistych stosach na powierzchni, gdzie żyły drobi stworzonka, kryjąc się we własnych małych jaskiniach. Jony niecierpliwie potrząsnął głową. Miał dziwne odczucie, że ta martwota tłumi też myśli, że coraz trudniej jest utrzymać nic wiodąc go ku Mabe. Jak daleko odeszła? Przestraszył się, kiedy Geogee nagle krzyknął: - Maba!

Wolanie odbiło się wielokrotnym echem, tak że miało się wrażenie, że wielu chłopców głośno nawołuje. Geogee pisnął i przysunął się bliżej Jony'ego.

Proszę cię - powiedział - nie podoba mi się miejsce, Jony. Maba, gdzie ona jest?

Jony zastanawiał się, czy dziewczynka nie blakła przez cały czas, oddalając się coraz

bardziej od nich. W: dział, że jest tu gdzieś, ale kiedy ja dogonia?

Tu, gdzie otwarta przestrzeń, przez którą biegli truchtem, zaczęła się zewzać, otwory w ścianach nie pojawiały się już. Posuwali się teraz między dwiema ścianami. Równocześnie szare światło pojaśniało, zmieniając odcień. Właśnie wtedy Jony zobaczył przed sobą barierę. Rozniła się ściana po bokach, gdyż lekko łuskała, a w środku miała pionową szczelinę. Wyjście, które będą mogli sforsować? Miał nadzieję, że tak. Maba? - jego umysł wysłał zawołanie. Z ulgą poczuł, że nareszcie jest blisko, może tuż za barierą.

Kiedy tam dotarł, zobaczył, że szczelina rzeczywiście zaznacza wyjście. Nie było jednak sposobu, by je otworzyć. Spróbował znowu użyć swego kija, wkładając jego rozlupany koniec w szczelinę, używając go jako dźwigni, na którą naciskał z całej siły.

Wolno, opornie szczelina poszerzała się, drzwi się otwierały. Z tego wysiłku ręce Jony'ego były mokre od potu. Geogee przyłączył swe wale siły, pomagając Jony'emu. Centymetr po centymetrze rozsuwali ją, dopóki nie uzyskali otworu dość szerokiego, by obaj mogli się przesliznąć.

Jony zatrzymał się. Kontrast pomiędzy tym, co teraz zobaczył, a surowym korytarzem, który wiodł tutaj, był tak ogromny, że trzeba było chwili czasu, by wzrok mógł się przystosować. Obfitość kolorów biła w oczy, ludzkie wzrok. Wstęgi jaskrawych kolorów biegły wzdłuż ścian, a pomiędzy kamiennymi kolumnami takimi, jakie Jony widział wtedy w największym stosie, piętrzyły się ciasno, od podłogi aż ponad głowy, kolorowe pudła, każde innego koloru. Niektóre z nich były przejrzyste, jak to mieszczące Spiacego, tak że widac było wiele poukładanych wewnątrz przedmiotów.

Blask, łśnienie i jaskrawy przepych tego miejsca męczyły Jony'ego. Nie było śladu Maby, a przecież była tu; jego zmysł mu to mówił. Zgubiła się pewnie w tym zatłoczonym miejscu.

-Maba! - podniósł głos do najgłośniejszego krzyku, na jaki mógł się zdobyć.

-Jony? - Jej cicha odpowiedź skierowała go w lewo, wzdłuż malowanej ściany. Teraz, kiedy mógł skupić wzrok na szczegółach, zauważył, że kolory tworzą obrazy; Niedaleko siedziała Maba, z nogami wyciągniętymi przed siebie, wpatrzona bacznie w coś tuż przed sobą.

-Maba! - Geogee oderwał się od boku Jony'ego i pobiegł do swej siostry bliźniaczki. - Co...?

Wskazała coś podniesioną ręką, nie patrząc wcale w kierunku brata. Jej głos był ożywiony, pełen entuzjazmu.

-Geogee, Jony, patrzcie! Ludzie jak my! Widzicie? Malowidła na ścianach miały dziwny wygląd. Nie tkwiły na płaskiej powierzchni, lecz w jakiś sposób z niej wystawały, stwarzając pozór, że część postaci znajduje się w kamiennej ścianie, a część poza nią.

Fragment wybrany przez Mabe ukazywał grupkę kobiet, które robiły coś dziwnego rekoma, coś, czego Jon nie mógł pojąć. Przed nimi znajdowały się różnego kształtu i rozmiaru pudełka usiane różnobarwnymi kropkami. Rece kobiet wydawały się spoczywać na niektórych kropkach. Dookoła, na poziomie stop kobiet, pietryły się różne przedmioty. Spośród nich z całą pewnością mógł rozpoznać tylko jedną: zwoj tkanej materii, o wiele doskonalszej niż ich spodniczki czy sploty Ludu. Niektóre z przedmiotów kojarzyły mu się nieprzyjemnie z podobnymi, używanymi w laboratorium Wielkich; te jednak były żywszej koloru i miały przyjemniejszy dla oka kształt.

Spojrzał na następny obraz. Widnieli tam mężczyzn, a każdy z nich trzymał w ręku czerwony pret, taki jaki Jony widział w rękach spiącego. Jeden z mężczyzn kierował swój pret ku widocznej na obrazie chropawej skale, a z końca pretu wypływał promień światła, uderzając w niekształtną bryłę. Nieco dalej znajdowała się bliźniaczo podobna skala, mająca jednak jeden bok wygładzony, przycięty w kwadrat. Jony domyslił się, że ci z obozu używali swych świetlnych promieni do ciecienia kamienia, skoro nawet Lud używał ostrych kamieni do przycinania drewna do zadanych rozmiarów.

Wiedział o takim wykorzystaniu promienia, wiedział ze wspomnień z laboratorium statku. Była to jednak umiejętność posiadana przez Wielkich, a więc zła. Jony przyglądał się obrazowi. Mężczyźni ci z grymasem na twarzy przypominali tych mentalnie sterowanych, z klatek.

-Spojrz! - Maba podniosła kawalek tkaniny leżący obok niej na podłodze i dumnie powiewała nim w kierunku Jony'ego.

Materia ta zwisała z jej rąk we wdziecznych faldach i Jony zauważył, że ten kawalek tkaniny nie był ordynarny, szorstki i ciężki jak ich własne topornie utkane spodniczki, lecz gładki, miękki, piękny. Kolor był czysto zielony jak liście pewnych roślin, a na tym tle układał się faliste wzór złożony z pęków drobnych kwiatków. Reka Jony'ego powędrowała w górę, do ucha, lecz gałązka, która tam zatknął wcześniej, nie uchwalała się. Chciał ją porównać do tej namalowanej na materiale, wydawały mu się bowiem bardzo podobne.

-Włóż to na siebie, tak jak ona... - Maba wstała. Zrzuciła swoją spodniczkę i szamotała się, usiłując udrapować na sobie zielony materiał na wzór kobiety z obrazu, która pokazywała. Jony poczuł, jak gdzieś w głębi jego dodatkowy zmysł drgnął ostrzegawczo. Nie miał ochoty patrzeć, jak Maba owija swe szczupłe, brązowe ciało w ten materiał i paraduje dumnie, tam i z powrotem, przed tym obrazem. To było niestosowne.

Nie! Pod wpływem instynktu Jony rzucił się, chwytając materiał, zanim Maba zdołała go mocniej przytrzymać. Widząc, co zamierza Jony, krzyknęła i zaczęła uciągnąć do siebie. Rozległ się trzask. Materiał przerwał tak że większa jego część została w rękach Jony'ego, a trzymała tylko sam koniec.

Tkanina była tak miękka, że niemal przywierała do jego skóry. Gwałtownym ruchem



zwinal ja i odrzucil od siebie.

Maba przygladala sie z niedowierzaniem trzymanemu skrawkowi. Potem upuscila go, rzucila sie na Jony'ego i zaczela go okladac dlonmi zacisnietymi w piesci.

-Ty, ty, zniszczyles to! - dyszala. - Porwales to! Jony upuscil material, wzial ja, wciaz mlocaca piesciami, za ramiona i odprowadzil na bok. Dziewczynka krzyczala z czystej zlosci; potrzasal wiec nia mocno, dopoki jej krzyk nie zamienil sie w placz.

Rozmazywala lzy po twarzy, jak gdyby zla na siebie za to, ze plakala, i dalej patrzyla na Jony'ego wsciekly wzrokiem.

-Zniszczyles to - powtorzyla z oczami plonacymi gniewem.

-Posluchaj! - Jony znow nia potrzasnal. - Sluchaj mnie teraz, Maba. Pamietasz, co sie stalo z Luho? Pamietasz?

Uporczywie wpatrywyl sie w jej oczy.

-Zjadla cos zoltego, co ladnie pachnialo.

-A potem?

-Byla... byla chora, bardzo chora. I umarla - glos Maby zamarl. Potem wscieklosc znow pojawila sie na jej twarzy. - Ale ja nie jadlam nic zoltego, Jony. Ja mialam cos bardzo przyjemnego.

-A czy Luho nie myslala, ze ma cos przyjemnego? - mowiac dalej, mial nadzieje wyjasnic sprawe, apelujac do jej rozsadku.

-Tak, ale tamto roslo, Jony. To bylo cos zywego. Moje nie bylo zywe. Oni to zrobili. - Machnela w kierunku kobiety na scianie. To nie zrobiloby mi krzywdy.

-Nie wiesz tego, Mabo. Luho nie sluchala, kiedy jej mowiono, ze z dziwnymi rzeczami trzeba sie ostroznie obchodzic. To miejsce nie nalezy do Ludu, ani do takich jak my.

-Ale oni sa tacy, Jony! Spojrz na nich, sam zobaczysz! Moze Rutee mylila sie, moze statek przywiozl ja z powrotem na jej wlasna ziemie. - Maba mowila coraz szybciej i szybciej.

Jony potrzasnal glowa.

-Nie, Rutee bylaby to wiedziala. Lud nie zyl nigdy w jej wlasnym swiecie. Pomysl o skoczkach, Mabo. Pamietasz, jak one lapia te male cegosze?

-One, one moga sie zmniejszac i chowaja czesc swojego ciala tak, ze wygladaja jak

cegosze - odpowiedziała. - Ty myslisz... - odwróciła głowę i raz jeszcze wpatrzyła się badawczo w ścianę - myslisz, że ci ludzie mogą być jak skoczki, mogą sprawić, że będą wyglądać jak my? Jony, skąd oni mogą wiedzieć o nas? To miejsce jest stare. Musiało już tu być, zanim Rutee i ty wyszliście ze statku, zanim my się urodziliśmy.

-Nie sądzę, by chcieli nas złapać, ale uważam, że choć bardziej przypominają nas niż Wielkich, to mogą być w rzeczywistości tak od nas różni jak skoczki od cegoszy. Rozumiesz?

Spojrzała znowu na niego, a potem jeszcze raz na malowaną ścianę.

-Tak. A jeśli się mylisz? Jeśli oni naprawdę są naszego rodzaju? - Rozluźnił uchwyt i Maba odsunęła się od niego. Jony, te pudła, tam - z zapalem wskazywał szeregi kolorowych szescianów. Można je otworzyć. W środku jest pełno różnych rzeczy. A inne? Chodź tylko i patrz, Jony! Złapała go za rękę i pociągnęła w kierunku najbliższego szescianu. Zanim tam doszli, nadbiegł pedem Geogee.

-Patrzcie, co znalazłem! krzyknął. Wymachiwał czerwonym pretem ponad głową, krecąc nim wokół tal ze światło lśniło i odbijało się od powierzchni.

Jony, znowu wiedziony tylko instynktem, pochwycił go. Ich ręce spotkały się na powierzchni preta. Z jego końca wystrzelił promień tak jasny, że Jony na chwilę oslepił. Usłyszał piski bliźniat. Coś upadło z metalicznym brzękiem, kiedy zatoczył się na ścianę, obronnym gestem przyciskając rękę do oczu.

-Geogee - udało mu się jakos wydobyć głos -zostaw to, zostaw to!

-Nic nie widzę, Jony... - głos Geogee'a przeszedł w wrzask - Jony! Maba!

-Juz dobrze - odpowiedziała mu Maba. - To ja, Geogee. Weź mnie za rękę. To ta rzecz. Ona, Jony... - jej głos zadrzał. - Tam, gdzie padło to światło... nie ma nic! Jony, co się stało?

Jony zamrugał, oczy łzawiły, ale widziały, tylko jakby przez mgłę. Czerwony pret leżał na podłodze. Obszedł go ostrożnie dookoła, by zbliżyć się do dzieci. Maba objęła brata i trzymała go mocno w ramionach; patrzyła jednak gdzieś poza nim i Jony podążył za jej wzrokiem.

Tam, gdzie dwie warstwy szescianów ułożone były jedna na drugiej, nie było już - jak powiedziała Maba nic. Moc tego tnącego światła była na pewno zagrożeniem, które wydawało mu się teraz gorsze od wszelkich wynalazków stosowanych przez Wielkich.

Czy bliźniata pojęły nauczki? Niczego więcej nie można było dotykać. Nie wiadomo, co mogła wyzwolic jakas ich nieostrożność. A gdyby Maba znalazła się na linii tego promienia? Jony wzdygnął się i zrobiło mu się mdło na samą myśl podsuwana przez wyobraźnię.

Podniosl kij i zwrocil sie do blizniat:

-Musimy sie stad wydostac - powiedzial krotko. A poniewaz nie widzial mozliwosci, zeby wydostac sie przez tamten otwor, z ktorego droga prowadzila zeslizgiem w dol, musieli wiec przeszukac do konca to miejsce wygladajace na magazyn. Nie bedzie jednak zadnego otwierania pudel, zadnego dotykania rzeczy nalezacych do ludzi z kamiennych stosow. Nic dziwnego, ze Trush okazywal tak wyrazna niechec do sladow pozostawionych przez tych ludzi!

Bliznieta wyraznie juz teraz pokonane przylaczyly sie do niego ochoczo. Szli razem miedzy szeregami pojemnikow, mijali te o przejrzystych bokach, z dziwnymi przedmiotami wewnatrz starajacymi sie ich usidlic, przyciagnac ich zainteresowanie.

Obrazy na mijanych scianach zmienialy sie nieustannie. Tamte ukazywaly ludzi uczestniczacych w na wpol tylko zrozumialych czynnosciach, te tutaj przedstawialy sceny spoza tego miasta, ziemie znana calej trojce z wlasnych wedrowek. Nagle Jony'ego zatrzymal widok zywej sceny.

-Statek z nieba! Wielcy byli tu juz przedtem!

Jednak gdy przypatrzyl sie z bliska, nie byl tak calkiem pewny... Statek wygladal nieco inaczej i Jony nie moglby na to przysiac. On sam widzial go tylko przez krotka chwile. Wystarczal sam fakt, ze ci ludzie takze uzywali statkow. W jego pojeciu to laczylo ich z Wielkimi i dziwila go juz niezwykla bron czy tez narzedzie znalezione przez Geogee'a.

-Jony! - Maba tylko zerknela na obraz, ktory tal go poruszył. Znowu ich wyprzedzila i pokazywala teraz na inny. - Patrzcie, tu jest Lud!

I rzeczywiscie, byli tam i wydawali sie jak zywi, gotowi wyjsc ze sciany i przylaczyc sie do nich, Trush lub Voak czy Yaa. Ale... - Jony zacisnal usta i mocniej scisnal kij - oni chodzili na czworakach, czego Lud nie robil, chyba ze oparcie dla stop bylo marne albo trzeba bylo nagle przyspieszyc, pobiec. A wokol ich cial byly pasy, z ktorych zwisaly powrozy. Przedstawiony tu Lud, to wiezniowie; niektorzy byli namalowani w klatkach!

Jony warknal z wscieklosci. Dokladnie tak jak myslal, ci ktorzy tu zamieszkiwali, mieli taka sama zla nature jak Wielcy, mimo ze wygladali tak jak on. Lud swego czasu im uciekl i, podobnie jak on i Rutee, zdobył wolnosc. Zlo. Czul teraz zapach zla, podobny do odoru wypelniajacego powietrze w poblizu Czerwonych Glow.

-Co oni robia? - spytala Maba wciaz pochlonieta obrazem. - Dlaczego Lud ma te rzeczy na sobie?

-Poniewaz - wycedzil Jony przez zeby - sa wiezniami, wiezniami zlych. Tak jak kiedys my. Och, wydostanmy sie stad!

Popchnal ja. Musi byc stad jakies wyjście i trzeba je znalezc!

VI

Dotarli wreszcie do konca tej olbrzymiej przestrzeni. Była ona tak zaladowana, ze Jony'emu trudno bylo ocenic jej rzeczywiste rozmiary. Stanely teraz przed nimi nastepne lśniace drzwi, bliźniaczo podobne do tych, ktore sforsowali na poczatku. Ku jego zdziwieniu, kiedy zastanawial sie wlasnie, czy jego zmaltretowany kij wytrzyma kolejny silny napor, Maba ruszyła pewnie naprzod. Stojac na palcach, wyciagnela obie rece najdalej jak mogła, dosiegajac nimi lekkiego zagłębienia.-Maba! - Jony chcial ja wlasnie złapac i odciagnac z powrotem, kiedy zobaczyl, ze drzwi powoli odsuwaja sie. Pochwycili dochodzacy z wnetrza sciany zgrzyt, jedyny dzwiek, jaki w tych podziemiach slyszeli, z wyjatkiem halasow, ktore sami robili.

Szczelina byla juz dosc szeroka dla Maby i Geogee'a, Jony nie dowierzal. Odwrocil sie, złapal za stos kolorowych pudel, chwytajac to, ktore udalo sie wyrwac, i zaklinowal nim otwarta szczeline drzwi.

Przeszli do kolejnego oswietlonego szarym swiatlem pomieszczenia o jasnych scianach. Jednakze to wznosilo sie i Jony mial nadzieje, ze w koncu dotra do powierzchni i wyjda na wolnosc. Nie mial pojecia, co to bylo za miejsce, wiedzial tylko, ze ci, ktorzy budowali te sciany przy uzyciu swych pretow, zgromadzili tu przedmioty przez siebie zrobione, ktore przypuszczalnie cenili.

Z tylu rozlegl sie trzask; Jony odwrocil sie gwałtownie. Dostrzegl, ze pudlo, ktorym zakleszczyl szczeline, zostalo zmiazdzone przez ciezar zamykajacej sie plyty i tylko resztki nie pozwolily drzwiom na zupelne zamkniecie sie.

Maba, skad Maba znala tajemnice drzwi'? Stanowilo to dla niego niemala zagadke. Zapytal ja o to wprost.

-Widzialam tam taka linie - odparla zdecydowanie. - Pierwsza sciana otworzyła sie, kiedy polozylam na tej linii rece. - Uśmiechnela sie w ten swoj szczegolny sposob, jak zawsze wtedy, kiedy uwazala, ze jest sprytna. Maba byla nazbyt skora do wiary w swe wlasne mozliwosci, a brak jej bylo ostroznosci, ktora Jony wyrobil sobie w klatkach.

-Jony - Geogee borykal sie najwyrazniej z jakas nie dajaca mu spokoju mysla. - Ten Lud na scianie; wiedziales, ze to sa wiezniowie, jak ty i Rutee. Ale ci drudzy wygladali jak my, a nie jak Wielcy. Jezeli byli tacy jak my, to dlaczego zamykali Lud, trzymali w klatkach, kazali nosic te rzemienie na szyi?

-Slyszales, co mowilem Mabile - Jony udzielil najlepszej odpowiedzi, na jaka mogl sie zdobyc. - Sam fakt, ze ci na obrazach wygladaja tak jak my, nie znaczy, ze sa tacy jak my w srodku. Wiemy, ze Wielcy sa zli, a ze wygladaja inaczej od nas, wiec od poczatku nauczylismy sie tego, ze trzeba sie ich bac. Ale ludzie mentalnie sterowani sa zupelnie tacy

sami jak my, a jednak postępują tak, jak kazał im Wielcy. Nie możemy im nigdy ufać.

-To ci na obrazach są mentalnie sterowani? - napierał się Geogee.

-Nie wiem.

Jony nie mógł jakos uwierzyć, że to właśnie obcy Wielcy byli twórcami tych budowli. W pierwszej chwili zaniepokoił go wprowadzenie obrazu statku, ale później przypomniał sobie, co mówiła mu Rutee - otoż ludzie, z których się wywodził, też mieli takie statki. Właśnie przez przestworza ona i Bron przybyli kiedyś na planetę, skąd potem porwali ich Wielcy. Mogły być różne rodzaje statków. Na ściennych obrazach nie było najmniejszego śladu Wielkich.

Jedynego czego był w tym momencie pewny, to zagrożenie, jakie niesło to miejsce. Im szybciej wyjdą stąd na otwartą, znajomą przestrzeń, tym lepiej.

-Jestem zmęczona powiedziała nagle Maba - i nie mogę już dłużej tak szybko iść. Jony. Jestem głodna.

-Ja też jestem głodny, Jony - poparł ją Geogee zdecydowanie. - Chce się stąd już wydostać. Idziemy stale pod górę, a wyjścia nie widać.

Miał rację. Wprowadzenie chodnika wznosił się ciągle, lecz Jony nie wiedział, jak nisko opuścili się na samym początku, zjeżdżając w dół tunelem.

-Już niedługo wyjdziemy - starał się, by to zapewnienie zabrzmiało przekonująco. Cały kłopot tkwił w tym, że nie był przekonany, czy mówi prawdę, czy nie. I on był głodny, spragniony. Chciałby biec, ale dzieci wlokły się z tyłu i mógł je tylko zachęcać, żeby, choć wolno, posuwały się naprzód.

-Jestem zmęczona - powtórzyła Maba z większym naciskiem. - Nie sądzę, żebym tak mogła iść i iść. Jony.

-Oczywiście, że możesz - dodawał jej otuchy. - Tak sobie świetnie radzisz z drzwiami, Mabo. Jeżeli natkniemy się na następne, będziemy potrzebowali twojej pomocy.

Nadal nie wyglądała na przekonaną i rzeczywiście bardzo wolno piała się pod górę. Geogee przescignął ją i był daleko z przodu, więc Jony musiał zawołać go z powrotem. Co niepokoiło starszego chłopca, to owo dziwne światło wypełniające podziemne korytarze, które stawało się coraz bladejsze, w miarę jak wznosili się wyżej.

-Słuchajcie - odezwał się ostro. - Ty, Mabo, trzymaj to.

Podał jej na pol rozlupane drzewce; kiedy się wydostana, będzie musiał zrobić nowe. Kiedy dziewczynka zacisnęła dłoń na końcu kija, Jony zarządził:

-Geogee, zaczekaj tam, gdzie jestes. - Kiedy dogonili niecierpliwego chlopca, Jony ustawil go obok siostry. - Zlap sie za to, o tu, i niech zadne z was nie puszcza kija. Chce wiedziec, gdzie jestescie w tych ciemnosciach.

Sam chwycil za drugi, zakrzywiony koniec i ruszyl przodem. Ostatni odcinek wspinaczki byl najbardziej stromy i Jony prowadzil wolno, bojac sie, ze ktoreś z blizniat moze rozluznic uchwyt laczący je z pozostała. W koncu zobaczyl przed soba wyjscie (z zadowoleniem stwierdzil, nie bylo tam zadnych zasuwajacych sie plyt). Czuc bylo swieze powietrze, lecz sciany wokol nich nadal sie wznosily. Bylo dosc ciemno, totez Jony poruszal sie bardzo wolno.

Na koniec spostrzegl przed soba drobne iskierki jaskrawego swiatla. Trudno bylo powiedziec, czy oznaczaly one jakies wieksze niebezpieczenstwo, czy tez nie. Ale teraz czym sie kierowac, mial cos, co go wiodlo. Pola kijem wszyscy troje znalezi sie teraz w miejscu, w k Jony byl juz poprzednio, w wielkim kamiennym s w samym sercu tego zakazanego miejsca.

Te kolorowe cetki, jaskrawe w swietle dnia, w ciemnosciach wrecz ozywaly: jedne iskrzyly sie, inne plonely rownym blaskiem. Jony spogladal na to miejsce z niechecia, choc wiedzial przynajmniej, gdzie sie znalezi. - Co to jest? - zapytal Geogee.

-Nie wiem - krotko odparl Jony. - Stad my latwo sie wydostac. Chodźcie!

Przeszli skrajem wystepow podtrzymujacych pojemnik ze spiacym i szli dalej po ciemku dookola kamiennej kobiety. Tym sposobem znalezi sie z powrotem na kamiennej rzece, która wyprowadzi ich z tej strefy niebezpieczenstwa.

A byla to niebezpieczna strefa. Jony czul na swej skorze cos wiecej niz tylko ostry chlod nocnego powietrza.

Odczuwal jak gdyby jakas emanacje, cos promieniowalo z tych spietrzonych bryl, budzac jego zmysl ostrzegawczy. Nie odbieral jednak konkretnego sygnalu, poza uczuciem ogolnego niepokoju, checi, by znalezi sie tak daleko stad, jak to tylko mozliwe.

Maba potknela sie i upadla. Usiadla na ziemi.

-Ja, ja nie moze wstac, Jony. Noga mnie boli i jestem strasznie zmeczona.

Zostawalo tylko jedno do zrobienia. Jony szturchnal Geogee'a drzewcem.

-Nies to i trzymaj sie blisko mnie - rozkazal. Pochylil sie i podniosl dziewczynke.

Choc wygladala na tak drobna i chuda, byla dosc ciezka, a Jony tez byl zmeczony. Wiedzial jednak, ze nie uda mu sie jej teraz sklonic, zeby szla sama. Byli juz dokladnie na srodku sciezki wiodacej ich miedzy budowlami z kamienia. I choc noc byla ciemna, byl to

wystarczający drogowskaz, by wyprowadzić ich stąd. Geogee ciągnął drzewce za sobą, a rekojesc turkotła po kamieniach. Trzymał się jednak blisko Jony'ego. Może i on wyczuł tę nieokreśloną grozę, która Jony był tego pewien - stanowiła nieodłączną część tego miejsca. Idąc chwiejnym krokiem, mijali jedną odnogę po drugiej. Dwa razy Jony stawał, sadzał Mabe na ziemi i odpoczywał przez parę chwil, po czym znowu ją podnosił. Zwisiała bezwładnie na jego rękach i nie odzywała się słowem.

Możliwe, że spała, lecz jeśli tak, to nie był to naturalny sen. Niepokój Jony'ego rosnął.

Maba trzymała tamten materiał, owijała się nim. I przebywała dłużej od nich dwóch w tym magazynie z dziwnymi rzeczami obcych. Czy to jej zadziwiające otwieranie kamiennych wrot wywarło na nią taki wpływ, że leżała teraz bezwładna, osłabiona?

Dyszał urywanie, kiedy przechodzili pomiędzy ostatnimi stosami. Nie było księżycy tej nocy, a Jony musiał odnaleźć gorski grzbiet, na który trzeba było wejść, aby odnaleźć obozisko klanu. Zdawał sobie sprawę, że może błądzić po omacku i zgubić się.

Gdy oddalili się od rzeki, położył Mabe na ziemi, złapał za kij i przyciągnął Geogee'a do siebie. Chłopiec natychmiast kucnął obok siostry. Jony stał, badając ciemny masyw gorski. Choć nie mógł się komunikować z Ludem za pomocą przesyłania myśli, wiedział, że w wypadku starczającej silniejszej koncentracji zdoła ich w pewien sposób przywołać. Tak jak jego błaganie przywołało Yae wówczas, gdy wzywał pomocy dla Rutee.

Skoncentrował się najmocniej jak potrafił. Lud tylko podróżuje nocami, lecz byli już poprzednio w drodze szukając bliźniat i mogli ciągle jeszcze znajdować się niedaleko. Trush wiedział, że Jony wyruszył na poszukiwania w tym kierunku.

Tak! Jony wydal z siebie westchnienie ulgi. Ktoś z Ludu był niezbyt daleko stąd - Trush lub może ktoś inny. Pochwycił obcy model myślenia, nieznaną wzor, którego nie potrafił odczytać. Ponownie skoncentrował się na próbie wezwania pomocy.

Ku jego zdziwieniu i rozczarowaniu czas mijał, a w odpowiedzi na jego wołanie nie wynurzyła się z gąszczu żadna pokryta futrem postać. Czy to dlatego, że on i bliźniata byli w tej kamiennej siedzibie? Czy Lud aż do tego stopnia żywił niechęć do tego miejsca, że odrzuca teraz Jony'ego i bliźniatę w taki sam sposób, w jaki Trush odrzucał istnienie kamiennej rzeki i odwracał się od niej na sam widok?

Jony pomyślał o tym obrazie na ścianie, gdzie Lud był w petach i w klatkach. Udalo im się jakoś wydostać na wolność. Jednakże Jony i bliźniata fizycznie przypominali ich niegdysiejszych ciemnieńców, a cała ich trójka powróciła do miejsca niewoli Ludu. Czyżby Lud teraz uważał, że Jony i bliźniata oraz ich dawni wrogowie to jedno?

Myśl ta zabolęła jak nagły cios. Od pierwszej chwili, kiedy Yaa nadeszła, wylonila się z burzy, by pomóc Rutee, Jony uznał Lud za mądrzejszą, silniejszą i lepszą od wszelkich innych form żywych istot, które znał, z wyjątkiem samej Rutee. Nie byli jak puste skorupy

mentalnie sterowanych. W rzeczywistości, o ile Jony się orientował, nie można było sterować ich umysłami. Nic nie wiedzieli go też z gruboskornym lekceważeniem jako istoty myślącej, tak jak robili to Wielcy.

Nie, na swój sposób Lud był całym światem, jaki Jony znalazł i uznawał za właściwy i dobry. Mieli oni tyle wspólnego z widzianymi na obrazie mieszkańcami klatek, co Jony z tym plemieniem, które ich wiozło.

-Jestem tutaj - myślał z całą siłą na jaką mógł się zdobyć. To ja, Jony, ten którego znacie... to jestem JA!

Nie wiedział, ile z jego myślowych sygnałów mógł odbierać Lud, czy było to dla nich tak samo trudne, jak nadanie myśli w odwrotnym kierunku. W tej chwili mógł tylko mieć nadzieję, że uda mu się w jakiś sposób wpłynąć na stojącego na czatach obserwatora, że Lud nie wyprze się jego i bliźniat.

W miarę jak chwile mijały, jego nadzieje wyraźnie topniały. Dzieci nie mogły pozostawać na otwartym terenie w nocnym chłodziu. Jony musiał znaleźć jakieś schronienie. Wszędzie jednak, tylko nie tam, skąd właśnie uciekli.

Jony, jestem głodny - powiedział żalownie Geogee - no i Maba. Ona śpi. Ale tak śmiesznie oddycha, Jony. Ja chcę do Yai. Proszę cię, Jony, chodźmy już!

Jony kleknął, by znowu wziąć Mabe na ręce. Jej ciało było chłodne w porównaniu z jego ciałem. Dyszała płytko. Jony zadrżał. Jak Rutee chora na kaszel? Lecz ta choroba atakowała w okresie chłodu. Równie mocno jak Geogee pragnął obecności Yai, lecz czy odwagi się sam przeprawić z dziećmi przez gąszcz?

Nie można było pozostać tu dłużej bez schronienia. Dźwignął się jakos na nogi, wziął znowu Mabe na Geogee trzymał kij.

-Wstawaj - wykrztusił Jony. Geogee nie ruszył się.

-Jest ciemno - zaprotestował - i strasznie stromo, Ruszaj się! Jony wypowiedział to jak rozkaz.

Nie mógł nieść jeszcze i Geogee'a. Nie był nawet pewny, czy wespnie się na grzbiet z ciężącym mu bezwładnym ciałem dziewczynki. Milczący strażnik nadal tam był. Przypuszczalnie członkom klanu nie wolno było tak blisko podchodzić do rzeki z kamienia.

Jony zaczął się wspinać. Geogee wdrapywał się ni przed nim. W tym nierównym terenie starszy chłopiec musiał dobić wszystkich swoich sił, wypróbować najpierw nogą każde kolejne stopnięcie, zanim zdecydował się przenieść na nią cały ciężar ciała.

Brak światła nie pozwalał mu zobaczyć więcej ponad to, co leżało w najbliższej odległości,



na wysokosci jego oczu. Wspinaczka ciagnela sie cale wieki, choc nie stawal, by odpoczac. Czul, ze jesli odwazylby sie przystanac, nie znalazlby potem sily, by ruszyc dalej.

Zbity gaszcz zarosli siegal po uda i Jony przedzierał sie na slepo, omijając największe krzaki. Obserwator nadal wyczekiwał. W gore, krok po kroku, Jony ukonczyl jakos te wspinaczke, wchodzac chwiejnym krokiem na sam szczyt. Stanal dyszac ciezko. Uniosl glowe i rozejrzal sie dookola, starajac sie dostrzec tego, czyja obecność wyczuwał.

Tak jak kształt ich postaci trudny był do odroznienia w dzien, tak w nocy Lud był niemal zupełnie niedostrzegalny. Wreszcie Jony spostrzegł lśniące kregi oczu. Nie probowal posunac sie do przodu. Calą inicjatywa musiała teraz nalezec do drugiej strony.

Geogee podszedł bliżej.

-To Voak! - wykrzyknął glosno.

Jony rozpoznal już przywodce klanu; wysuwał sie on na otwarty teren pod nocnym niebem. Tam Voak przystanął, wpatrując sie w trojke, nie czyniac zadnego gestu pomocy, czy chocby rozpoznania.

Geogee zatrzymal sie.

-Voak? - zapytał bardzo niepewnym glosem. Najwyrazniej zachowanie Voaka najpierw go zdziwilo, a potem zbilo z tropu.

Voak nie był już sam. Jony wyczul innych poruszających sie tu i tam. Lud zbierał sie wokół przywodcy, trudny do zauważenia, z wyjątkiem nieporuszonych oczu. Wyczuwalo sie bijaca od nich rezerwe i ostroznosc, co zaniepokoiło Jony'ego. A poniewaz nie mógł dotrzec do nich mysia, musiał teraz czekac, pozwalając, by to, co sie stanie, wyjasnilo przyczynę, dla ktorej zostali odcięci od ciepłego uczucia bliskosci, przynależności do klanu.

Voak uniosł swój kij, dając znak. Potykając sie, Jony posłusznie wystąpił. Ktos z członkow klanu wysunął sie, by zabrac od niego Mabe. Jony i Geogee postepowali za nimi, idac na własnych nogach; Jony'emu nie umknął przy tym fakt, że Voak zabral jego, Jony'ego, kij, wyrywając go bez trudu Geogee'owi.

Szli chwiejnym krokiem, a Lud otaczał ich ciasno w sposob, który nie oznaczal ochrony, lecz raczej sprawiał wrażenie prowadzenia wiezniów. Szli wiec w milczeniu ku obozowisku obok strumienia.

Voak wykonął teraz swym kijem inny ruch oznaczający udanie sie na spoczynek. Ten, który niosł Mabe, podał ja teraz Yai, a ta zanosła ja do rodzinnego gniazda. Jony odczul pewna ulge. Nadal wierzył, że Yaa zaopiekuje dziewczynka. Nie wiedzial, co dolegalo Mabe. Drecz; go uporczywa myśl, że mogła nabawic sie jakiejś chorob związanej z tym kamiennym miejscem i obawiał sie jej groźnych skutkow.

Geogee przyszedł i skulił się obok niego pod wspólnym przykryciem.

-Jony - rozległ się w ciemności najcichszy z szeptów, podczas gdy Jony prostował swe obolałe nogi, starając znaleźć pociechę w tym, że byli w końcu z powrotem w obozie. - Jony, co się dzieje? Czemu Lud nas tak nienawidzi?

Nienawidza ich? Jony nie był pewien, czy to właśnie nienawisc tak nagle wytworzyła barierę między nimi, jedynymi istotami, jakie znali. Coś się stało ze swobodnymi więzami łączącymi ich dotąd z Ludem, coś istotnego, a może i strasznego. Powinien raczej poczekać na wyjaśnienia, a nie zgadywać.

-Może nas nie nienawidza - starał się jakos pocieszyć Geogee'a. - Mogliśmy złamać jedno z praw klanu, idąc do tamtego miejsca. Jeżeli tak właśnie było, odbedzie się sąd.

Geogee zadrzał tak, że Jony poczuł, jak ciało malca całe dygocze.

-Beda nas bic biczami z pnaczy! - przypomniał sobie ostatnia ciepła pora, kiedy odbyła się rozprawa przeciwko Tigonowi. Tigon postąpił głupio i lekkomyślnie, naprowadzając jaszczurę smaa na ich ślad. Jaszczur zaczął ich tropić, a Tigon został za swój czyn wychłostany.

-Jeżeli beda bic - odparł mu Jony - to tylko mnie. To ja byłem tym, który poszedł do kamiennego miejsca; wy tylko poszłicie w ślad za mną.

-Nie - Geogee pociągnął nosem. - Mysmy widzieli, jak ty już stamtąd wychodzisz. Ale chcieliśmy zobaczyć, co jest w środku. Wiedzieliśmy, że źle robimy.

-Jeżeli ja nie zrobiłbym tego pierwszy - ciągnął Jony - i nie wybrałbym się na kamienną rzekę na poszukiwania, nie poszlibyście za mną. Jeśli Voak uważa, że postąpiliśmy źle, powiem mu, że tak właśnie wygląda prawda. A teraz staraj się już zasnąć, Geogee.

Mimo całego zmęczenia Jony nie zasnął od razu. Po wiedział Geogee'owi całą prawdę. Lud był rozsądny i bardzo sprawiedliwy. Zrozumieją, że jeżeli musi być wymierzona jakaś kara, to raczej jemu niż bliźniom. Poszły tylko w ślad za nim, bo były zaciekawione jego przedsięwzięciem. Za swoją ciekawość musi odpowiadać sam.

Po chwili zasnął i zaczął snuć. Znow stał tam przy bloku, na którym iskrzyły się te cętki kolorowych ogniów, do złudzenia przypominające gwiazdy migoczące na niebie w bezchmurną noc. Z kamiennej skrzyni powoli podniósł się spiący. Unosił rękę do czerwonej maski, by odkryć twarz; Jony mógł więc patrzeć wprost na jego zakryte dotąd rysy.

Jony wzbraniał się; jednak jakaś wola, silniejsza od jego własnej, zmuszała go, żeby się przyjrzał. Po chwili twarz pod maską...! Była taka sama, jaka widywał czasu do czasu mglisto odbijająca się w kałuży wody jego własna twarz! A wówczas tamten wyciągnął do przodu swój pret i starał się sklonić Jony'ego, by go pochwycił.

Jony wiedział, że jeżeli to zrobi, wypełni go potęga. Byłby tak potężny, że jego wola decydowałaby o wszystkim. Lud, a nawet Maba i Geogee, byłiby dla niego niczym mentalnie sterowani dla Wielkich.

Jedną część jego istoty dziko, zawzięcie, aż do bólu, pragnęła wziąć ową pretę w posiadanie. Gdzieś z wnętrza, z samej glebi duszy, jakby ukryty na dnie, podnosił się głos mówiący, że taka potęga należy mu się, że on jeden godzien jest tego, by mieć ją i władać. Jednakże druga część pamiętała laboratorium Wielkich. Jonym wstrząsała siła toczącej się w nim walki. Było ich jakby dwóch zmagających się w jednym ciele. W jednej chwili jego ręka wyciągała się, by pochwycić pretę, w następnej odpychała go.

-Jony! Jony!

Oszolomiony zbudził się ze snu na dźwięk swego imienia. Wokół panowała szarość wczesnego poranka. Lecz nie był w kamiennym miejscu. Nad nimi było poczciwe, dobrze znane sklepienie gałęzi drzew. Potem zobaczył Geogee'a. Brudna twarz chłopca była wykrzywiona strachem.

-Jony! - położył ręce na ramionach Jony'ego, potrząsał nim.

-Już dobrze - Jony powoli wracał do siebie po tamtej walce. Mimo chłodu jego skóra była nieprzyjemnie spocona. Czuł się słaby, jak gdyby wykonał jakieś zadanie, które wyczerpało jego siły do ostatnich granic.

-Mówiłeś "Nie, nie!" - powiedział Geogee.

-To był zły sen - szybko odpowiedział Jony tylko zły sen.

Sam nie mógł jednak tak łatwo uwolnić swej pamięci.

Cos z tej dwoistości pozostało w jego umyśle. Pragnął potęgi pretę; nienawidził i bał się go. Nagle zapragnął obejrzeć spiącego znowu, upewnić się, że maska nadal leży na jego twarzy, że to nie on jak w tym omamie - jest tym, kto spał.

Mimo wczesnej pory ruch był w obozie, Lud już wstał. Nikt nie patrzył w stronę Jony'ego i Geogee'a, nikt nie zwrócił się do nich w mowie znaków, gestykulując palcami. Niedaleko leżała na ziemi ich porcja - kostka zlepionych orzechów. Jony dał część Geogee'owi, a resztę zjadł żarłocznie, bo tak bardzo był głodny.

Zbierał właśnie ostatnie okruchy w dłoni, gdy podniosłszy wzrok, zobaczył, że wszystkie samce z klanu gromadzą się wokół niego. Geogee cofnął się trochę, z jego twarzy można było wyraźnie odczytać ogarniający chłopca lek. Jony objął go za ramiona opiekuńczym gestem, uściśnął dla dodania otuchy. Potem używając obu rąk, zaczął dawać palcami znaki.

-Młode niewinne. Pojść mój trop.

Otoczająca go grupa stała nieporuszona, nie było żadnego znaku w odpowiedzi. Voak siegnął łapą, pochwycił Geogee'a za ramię, odciągnął chłopca od Jony'ego i wyprowadził go spoza kregu, popychając w kierunku samic.

Odpowiedz Voaka brzmiała:

-Młode zawsze idź w ślad. Starsi nie pokazują złej drogi, nie wolno.

Jony'emu trochę ulżyło ze względu na Geogee'a. Cokolwiek się stanie, winą spoczywa teraz, tylko na nim samym. Miał nadzieję, że Geogee najadł się dość strachu, by ta lekcja utkwiła mu w pamięci. Voak miał rację, skoro jakieś prawo klanu zostało złamane - tylko on, Jony, mógł być o to obwiniany.

-Powiedziana prawda - zasygnalizował. Później czekał, co nadejdzie. Smutno, a potem kara?

-Ty idź - odparł Voak.

Odwrocił się zdecydowanie, a Jony za nim. Nie sami. Towarzyszyli im Otik z młodszych samców i Kap ze starszych. Nikt nie zwrócił Jony'emu kija; wyciągnął z tego złowroźny wniosek. Gdziekolwiek mieli się udać, nie było to blisko obozu, gdyż każdy z jego towarzyszy był zaopatrzonej w siatkę z prowiantem na drogę.

Nie wiedząc ku czemu to wszystko zmierza i jeszcze bardziej tym przerażony, Jony wkraczał w ten poranek w jako dobrze strzeżony więzien.

## VII

Kierowali się znowu ku wyższym grzbietom gorskim, jednak nie w stronę kamiennej siedziby, a bardziej na północny wschód. Voak prowadził zdecydowanym krokiem, jakby dokładnie wiedział, dokąd zmierzają. Znajome widoki otwartych przestrzeni walczyły w Jony'm z omamami. Teraz łatwiej było mu uznać, że to, co go tak przerażyło, było tylko snem zrodzonym z wczorajszej dziwnej przygody. I mimo że nie wiedział, jakie są zamiary Ludu wobec niego, czuł pewną ulgę w swej udreće. Nie wróci do kamiennej budowli, aby stanąć przed zamaskowanym i wybierać między pretem a swobodą. Z ulgą wziął głęboki oddech, rozkoszował się dotykiem wilgotnych od rosy liści ocierających się o jego nogi, czystym powietrzem, które wciągał do płuc.

Chociaż Lud poruszał się niezgrabnie, to jednak Jony zmuszony był przyspieszyć, by nadążyć za swą strażą. Ten pospieszny trucht był niepodobny do zazwyczaj utrzymywanego tempa w czasie przemieszczania się klanu, gdyż w podróży szli oni szeroko rozciągnięta grupa, w pewnej odległości jeden od drugiego, poszukując jadalnych korzeni, jagód, ostrych kamieni.

Dzień był pogodny, a słońce jasne, ciepłe. Jony'emu było nawet za gorąco, kiedy wynurzyli się spod drzew na otwarty teren, gdzie trawa sięgała prawie po pas. Stworzenia

zyjace w tej miniaturowej trawiastej dzungli pierzchaly przed nimi szybkim, kretym lotem. Tu i owdzie wystrzelaly w gore wysokie pedy ozdobione blekitnymi kwiatami, wokol ktorych brzezaly owady.

Po drugiej stronie polaci traw zaczynal sie znowu gaszcz. Jony spodziewal sie, ze Voak bedzie torowal droge, przedzierajac sie przez zarosla. Tymczasem przywodca klanu skrecil ostro w lewo, podazajac wzdluz podnoza wzniesienia. Jony odczuwal pragnienie, ale nie zamierzal zwracac sie z zadna taka prosba do Voaka. Duma umocnila jego postanowienie, by o nic swych towarzyszy nie prosic.

Uszli juz niewielki odcinek, zanim Jony zauwazyl kamienie wystajace tu i owdzie z ziemi. Byly kwadratowe, choc dzialanie pogody wyzlobilo w nich wglebienia, zaokraglilo brzegi. Mimo reakcji Trusha na kamienna droge, niecheci okazywanej przez klan Jony'emu od kiedy przyznal sie do wyprawy do kamienniej siedziby wybudowanej przez obcych z obrazow - Voak zdawal sie kierowac w strone, gdzie pojawialy sie podobne pozostalosci. Przywodca zatrzymal sie tez, gdy zaczely sie przed nimi wznosic szeregi takich samych wystepow, po jakich Jony wspinal sie do miejsca, gdzie spiacy lezal w swej skrzyni. Ziemia czesciowo je przykrywala, a wzdluz nich wyrastaly mlode drzewka. Bylo calkiem oczywiste, ze kiedys sluzily do wspinania sie na zbocza grzbietu. Na kazdym wystepie, na ktory sie wzniosl, Voak z gluchym stuknieciem opuszczal swoj kij, jakby ten gest stanowil jakas niezbedna zapowiedz ich nadejscia.

Kapoor i Otik powtarzali ruchy Voaka, a ich wznosily sie i opadaly rownoczesnie. Wszyscy trzej wydawali dzwieki podobne do tych towarzyszacych tancom przy ksiezycu, a kiedy tak szli, tony wznosily sie i opadaly. Jony wyczuwal, ze i gesty, i dzwieki mialy broniec przed jakimis zagrozeniem, ktore wedlug nich czailo sie gdzies z przodu. Ich obecne zachowanie budzilo zdumienie. Walka z ptakami vor lub ze smaa odbywala sie w ciszy przy wtorce pojedynczych chrapliwych chrzakniec. Jony uzyl swego ostrzegawczego zmyslu, wysylajac poszukiwawcza mysl. Bez kija w reku czul sie jak obnazony, a postepowanie jego strazy tylko wzmagalo obawy chlopca. Ciagle nie mogl niczego pochwycic. Tak jak posrod kamiennych stosow, tak i tutaj odbieral wylacznie zwykle sygnaly zycia wystepujace wszedzie na otwartym powietrzu. Jony sprobował skupic sie na odbiorze jakiejs bardzo trudno uchwytniej emanacji. Byl to nikly slad obcej energii (choc nie byla to energia zrodzona z zycia). Cokolwiek czekalo tam przed nimi, nie bylo zywe w taki sposob, w jaki zawsze pojmowal zycie. Nie, to bylo...

Nagle naplynal strzep wspomnien i Jony zatrzymal sie. Ten doplyw energii przypominal to, co odczul, kiedy odwazyl sie dotknac dloni kobiety z kamienia! Jego straznicy byli tak zajeci rytmicznym dudnieniem kijami i choralnym nawolywaniem, ze obaj postapili o stopien wyzej zanim zauwazyli, ze Jony stanal. Nieznacznie sie odwrocili, kazdy z nich polozyl swa lape, zaciskajac mocno, na ramionach chlopca i wziawszy go miedzy siebie, poprowadzili dalej.

Nie bylo ucieczki od ich zespolonej gorliwosci. Musial stawic czolo temu, co mial przed soba, cokolwiek by to bylo, i co probowal swym zmyslem odkryc. Nie bylo to prawdziwe

zycie, tego byl pewien. Z Ludem nie mogli sie wprawdzie kontaktowac, a jedynie nawiadzac cieni porozumienia - tutaj nawet to bylo niemozliwe. Jednakze gdzieś tam istniala pewnego rodzaju sila, potega, na ktora reagoval jego zmysl.

W trakcie wspinaczki Jony odbieral niepokojuce uderzenia fal tej dziwnej mocy. Odnosil wrazenie, jakby jego ciało bylo zanurzone w substancji nie tak namacalnej jak woda jednak plynacej wartkim strumieniem, podobnie jak sporej wielkoscii rzeka. Czy Lud tez to wyczuwa, a moze dudnienie kijami i pohukiwania byly rodzajem tarczy ochronnej przeciwko temu?

Voak znalazl sie na szczycie dlugiego szeregu stopni. Przystanal, ale nie odwrocil glowy, zeby zobaczyc, w jakiej odleglosci postepuja za nim tamci. Przyspieszyl natomiast uderzenia kijem w naga skale, na ktorej stal. Nawolywal glosniej i szybciej.

Kiedy dolaczyli do starszego samca, Jony zauwazyl, ze gladka powierzchnia, na ktorej stal przywodca klanu byla ogromna. Jak rzeka z kamieni, plaszczyzna ta rozciagalala sie na podobienstwo jezyka wychodzacego spod ostatniego skalnego stopnia. Temu kamiennemu przejsciui uatorowano droge, przekopujac sie przez szczyt, kruszac skaly i ustawiajac po bokach kamienne mury, aby nie dopuscic do zasypania ziemia.

Niedaleko, z samego serca gory, wylanial sie siegajacy wysoko otwor. On rowniez byl obramowany blokami z kamienia. Musiala to byc robota tamtych mezczyzn namalowanych na scianie, Jony byl tego pewny. A jednak Lud, jak sie okazalo, mial zamiar tam wkroczyc.

Otik i Kapoor nasladowali szybkie uderzenia kijem, glosniejsze pokrzykiwania. Mozliwe, ze czekali na pojawienie sie kogos lub czegos. Lecz nie bylo tu zadnego ukrytego zycia, Jony bylby na to przysial; bylo tylko silniejsze poczucie tej mocy, ktorej nie rozumial.

Voak raz jeszcze rozpoczel marsz, tym razem ku widniejacemu przed nimi skalnemu otworowi. Tamci podazali jego sladem, w nie zmienionym od opuszczenia obozu kierunku. Jony poczul sie z lekka oszolomiony, mial takie wrazenie, ze nie moze juz jasno myslec.

Nad ich glowami widnialo teraz sklepienie bramy. Swiatlo tam dochodzace pozwalalo dostrzec tylko chodnik z kamieni, sciany wokol. Droga, dochodzaca w pozbawiona drzwi brame, zwezala sie raptownie.

Weszli tam, a gdy dzien pozostal za nimi, ciemnosci poczely gestniec. Brak swiatla nie przeszkadzal czlonkom klanu, lecz dezorientowal Jony'ego. Czyz nie bylo konca tym dzwiekiem, tej drodze?

Nagle jakby oniemieli w jednej sekundzie, sparalizowani jakimis niewidzialnym ciosem wszyscy trzej ucichli. Rece Jony'ego powedrowaly do uszu. Slyszal cos, jakies pulsowanie podobne do uderzen olbrzymiego kija nie mogacego zaznac spoczynku. Jony kiwal sie teraz, a jego ciało zdawalo sie giac w takt tego bicia i uslyszal potezny krzyk wydobywajacy sie z gardzieli Voaka. Dzwiek narastal i przyspieszyl, az w koncu uszy przestaly cokolwiek

rozróżniać; było tylko drganie, przenikająca go wibracja.

To co teraz nastąpiło, było równie zaskakujące jak ruchoma ściana w kamiennym podziemiu. Rozdarły się ciemności, pierzchy cienie, a spoza nich rozbłysło światło: czerwone światło, a nie szare, jak to, z którym Jony zetknął się w magazynach. Promieniowanie to również pulsowało, jak gdyby było częścią tej mocy, która spowolniła go teraz tak, że wirowało mu w głowie, a w ciele czuł mrowienie.

Droga była wolna, Voak wciąż teraz w ciszy szedł dalej. W czerwonym, jarzącym się świetle jego futro przybrało dziwne zabarwienie. Otaczała je poświata utkana z wielu kolorów, które wirowały, nikły, przenikały, łączyły się i stapiały w takim blasku, że trudno było je od siebie odróżnić. Tymczasem mrowienie wystawionej na promieniowanie, nagiej skóry Jony'ego już graniczyło z bólem.

Weszli do pomieszczenia nie różniącego się od tych podziemnych dróg, po których szedł z bliźniakami. Nie było jednak tak wielkie. A w samym jego środku...

Jony cofnął się. Była to odruchowa reakcja, na którą nie miał wpływu. Wszystko, od czego uciekł wtedy, kiedy wraz z Rutee uwolnili się ze statku, powróciło teraz i poczuł jak rozpala mu głowę. Środek tego okrągłego, wewnętrznego pomieszczenia czy też jaskini, w której stali, zajmowała klatka!

Nie mają chyba zamiaru go zamykać. O nie, już nigdy więcej w klatce! Niech go raczej zabijają!

-Nie! - wykrzyknął swój protest, obojętny czy Lud go rozumie, czy nie. Połączone siły Otika i Kapoora większe od jego oporu. Trzymali go znow za ramiona, popychali naprzód, choć walczył jak oszalały, by się uwolnić. Nie widział żadnego śladu otwartych drzwi do tego zakratowanego zamknięcia. Voak odsunął się na bok, przyglądając się bezowocnej samotności chłopca.

Wódz klanu rzucił swój kij na podłogę i przemówił gestykulując rozkazująco.

-Ty patrzec!

Jony podążył wzrokiem za ciemną łapą, która coś wskazywał. Będąc teraz bliżej mógł dostrzec, że klatka była już zajęta - przez kości! Poniżej ziejących pustymi oczodołami czaszek leżały szerokie obroze. Te czaszki, te kości nie należały do Ludu. Były zbyt drobne. Ktoż więc był tu więziony aż do śmierci w tym miejscu, gdzie tanczące światło miało odcień krwi? A samo to migoczące światło wydostające się z otworu w podłodze za klatką - czym było?

Voak ciężko przysiadł i wepchnął grube ramie pomiędzy prety szczelnie zamkniętej klatki. Jego palce zacisnęły się na najbliższej z szerokich obrozy. Kiedy przyciągnął ją do siebie, kości rozsypały się. Podniósł się, a obroza zwisała mu na reku niby ciężka, źle dopasowana

bransoleta.

Wodz klanu zaczął teraz wolno, przesadnymi ruchami rąk, nadawać w mowie znaków. Tak jakby to, co miał do zakomunikowania, było wiadomością najwyższej wagi i jakby chciał, by Jony wyraźnie to zrozumiał.

-Lud - kciukiem wskazał swe własne baryłkowate ciało - to - pokreślił obrożą dookoła i gestem pełnym nienawiści i obrzydzenia przyłożył ją do siebie, jak gdyby chciał zapisać na własnym karku. - My obrożą albo umrzeć. Oni - pokazał kości w klatce - wkładać obroże, korzystać Lud. Oni - zawałował się niepewny, czy Jony go rozumie - znaleźć złe rzeczy, złe dla ludzi. Oni umrzeć szybko, tylko mało zostać. Lud nie umrzeć, Lud się wyrwać. Włożyć obroże na ludzi, wtedy oni robić, co Lud każe. Oni już bardzo chorzy, umrzeć. Lud nie nosić obroże, nigdy więcej! - Jego końcowy gest zaprzeczenia przypominał pełną siłą pogrozkę. - Ty patrz! - Voak trzymał teraz obroże tuż przy twarzy Jony'ego, jakby dla pewności, by chłopak go dokładnie zrozumiał. Z krawędzi obroczy mocno scisniętej w palcach Voaka wyskoczył rząd sztywnych kolców. Przyglądając się im Jony domyślał się, i były one umieszczone wokół szyi tak, by wbijać się w ciało, gdy głowa próbowała się odchylić od wymuszonej, wyprostowanej pozycji. Voak pstryknął końcem palca najbliższy taki szpic. - Kiel - powiedział. - Ranic Lud, ' on chce... Ty - pełen przejęcia zlustrował Jony'ego badawczym spojrzeniem od stop do głów raz i drugi - ty bracie młody, być młody. Lud wziąć, pomagać, dawać jeść, dawać spać. Ale ty jak oni. Ty iść znaleźć obroże. Zmusić Lud robić, co ty mówić...

-Nie! - Jony głośno zaprotestował i starał się poruszać rękami, nadając najsilniejsze znaki zaprzeczenia, lecz tamtych dwóch nie oswobodziło go z uścisku na tyle, by mógł skutecznie wyprzec się przypisanych mu zamiarów.

Voak wydawał się go nie słuchać. Obracał tylko obroże w palcach, dokładnie się jej przypatrując. Naciśnięcie i obroża się otworzyła. Podczas gdy Otik i Kapoor trzymali Jony'ego unieruchomionego, Voak postąpił naprzód i zapisał ją na szyi chłopca. Obroża była luźna i leżała mu ramionach, a Jony pochylił głowę i wpatrywał się w nią pełen grozy.

-Ty nosić, ty pamiętać - Voak sygnalizował dalej. - Ty iść do nich znow, ty poczuć też kły. Lud nie zapomnieć. Ty nie zapomnieć!

Jony, uwolniony, sięgnął ręką, by szarpnąć obroże. Była wprawdzie luźna, lecz sam jej ciężar sprawiał mu wielką przykrość i dziwnie jakos zawstydział. Voak i tamci dwaj odwrócili się, jak gdyby osoba Jony'ego przestała ich obchodzić. Poszedł za nimi porażony innym, gorszym strachem, że zostawia go tu na zawsze, w miejscu, gdzie klatka stanowiła straszliwe ostrzeżenie przed próbą ujarzmienia Ludu.

Tam i z powrotem wodził palcami wokół obroży, szukając zapiecia, które Voak znalazł i otworzył. Ale tajemnica zamka wymykała mu się. Jony zrozumiał, że wódz wykonał dokładnie to, o czym mówił: chłopiec miał nosić ten symbol zniewolenia jako przestrożę.



Jezeli sprobowałby wrócić do kamiennego miejsca, mogłoby go spotkać coś jeszcze gorszego.

Nalozywszy na ten upokarzający znak niewoli, cała trójka straciła zainteresowanie dla Jony'ego. Kiedy osiągnęli szczyt i zaczęli schodzić w dół, nie obejrżeli się wcale. Jony miał uczucie, że dla Voaka i reszty nie był członkiem klanu, że przestał istnieć jako ktoś im równy.

Otepiałe zdziwienie ustąpiło miejsca wybuchowi gniewu. Voak i pozostali osadzili go, nie dając mu możliwości obrony. Co takiego zrobił? Poszedł do kamiennej siedziby, wszedł tam i znowu wyszedł z bliźniętami - i to wszystko!

A może, gdyby przyniósł ze sobą ten czerwony pret, który Geogee wtedy znalazł, wówczas...

Jony zatrzymał się. Jego sen! Takie odczucia miał w tym śnie. Z pretem w reku mógłby wydawać rozkazy, a oni słuchałyby go. Poczul, jak palce zaciskają się i spojrzał na swoją dłoń. W myślach przez chwilę wyobraził sobie, że trzyma pret. Gdyby tak było; rozpalony gniewem na ten ciężar, który nałożył na niego Voak, Jony mógłby nosić te bron obcych, użyć jej.

Nie! Chłopiec energicznie potrząsnął głową, jakby zaprzeczając, mógł odegnąć swe pragnienia, którym na chwilę uległ. Co byliby zrobił Wielkim, gdyby był od nich wówczas silniejszy, miał większą moc? Czymże w swym strachu przed powrotem Ludu do niewoli Voak różnił się od niego?

Tak, lecz na statku Jony miał do czynienia właśnie z tymi, którzy uwieźli ludzi i zgotowali im straszliwy los mentalnie sterowanych. A on sam nie zagrażał przecież Voakowi i pozostałym...

Ich niechęć musiała zostać wywołana fizycznym podobieństwem Jony'ego do tamtych ludzi do tych na ściennych malowidłach, do kobiety z kamienia. Lecz skąd Voak o tym wiedział? Mimo całej swojej awersji być może Lud badał kamienne miejsce, widział tamte obrazy i wyczekującą kobietę. Jony był jednak przekonany, że raczej nie. Cała ta kraina była dla Ludu nowa. Skąd więc Voak i pozostali wiedzieli, że Jony przypomina ich dawnych rogów? Pamięć o wydarzeniach może być przekazywana z pokolenia na pokolenie za pośrednictwem podań i mitów. Lecz jeśli Voak i inni pamiętali swych byłych panów z nienawiścią, dlaczego w takim razie Yaa w ogóle przyszła Rutee z pomocą? Jezeli ta dawna nienawiść do rodzaju ludzkiego wiązałyby się jedynie z wyglądem, Yaa zignorowałyby uciekinierów, zostawiając kobietę i dziecko samym sobie, skazanych na śmierć w tym obcym, wrogim świecie.

A jednak do czasu, kiedy on i bliźnięta powazyli się wyruszyć do kamiennej siedziby, cała ich trójka była przez Lud uznawana za swoich, spokojnie i bez pytań. Wydawało się, że

Jony i dzieci byli po prostu traktowani jak żywe istoty odmienne od nich samych. Czy Voak sądził, że poście do kamiennej siedziby obudziło w Jony'm pragnienie tej potęgi, za pomocą której panowali dawni ludzie?

Gdy tak rozpatrywał jedną po drugiej różne możliwości, starając się wytłumaczyć postępowanie, którego nie mógł zrozumieć, jego gniew ustąpił. Voak niesłusznie się go obawiał, lecz on, Jony, nie mógł wiedzieć, jaki to długotrwały lek i groza rządziły Ludem. Voakowi i innym mógł się teraz jawić jako wrog lub co najmniej ktoś, kto musi być pod nadzorem.

Co by się stało, gdyby Jony poszedł w ślad za nimi do obozu klanu? Nie sądził, żeby przypuścili na niego atak. Coraz bardziej upadając na duchu, Jony zaczął się domyślać, co mogłoby się zdarzyć. Podobnie jak to zrobili ostatniego wieczora, traktowałiby go tak, jak gdyby go nie było. Nigdy dotąd nie zaznał takiej kary. Zazwyczaj szybko wymierzali sprawiedliwość i zapominali o sprawie. Lecz przebywać z klanem, równocześnie do niego nie należąc... A co z Maba i Geogee'em? Czy i na nich spadnie to unicestwiające odium?

Jony opadł na najwyższy stopień. Tamci doszli tymczasem do podnoża wzniesienia. Nie obejrżeli się ani razu, nie okazali mu żadnego zainteresowania. Czuł się nawet bardziej samotny niż wówczas, kiedy siedział przycupnięty u boku Rutee, niezdolny, by ulżyć jej cierpieniom. Unosił rękę do tego upokarzającego pierścienia wokół szyi. Dopóki będzie to nosił, będzie się czuł, jakby był naprawdę w klatce, nawet jeśli cała ta kraina będzie stała przed nim otworem.

Voak z towarzyszami zniknęli, zdecydowanie krocząc z powrotem drogą, którą przyszli. Jony nie zrobił ani kroku, by zejść na dół, podążać ich śladem. Siedział z łokciami na kolanach, z głową wspartą na rękach. Zamknął oczy. Musiał się zastanowić.

Nie miało sensu unosić się gniewem. Voak i inni musieli postępować zgodnie z tym, co uważali za najlepsze dla klanu. Jony nie mógł oceniać ich działań, skoro tak niewiele wiedział, co się za nimi kryje. Staral się teraz przywołać, z najdrobniejszymi szczegółami, ten obraz na ścianie, gdzie ukazany był Lud w petach lub zamknięty w klatkach. Wówczas tak prędko koło niego przeszedł, że pozostało mu tylko niejasne wrażenie. Jedno było pewne, że przedstawiony tam Lud różnił się od klanu, który Jony znał. Żadna z namalowanych postaci nie chodziła wyprostowana, na dwóch nogach. Wszyscy stąpali po ziemi, używając tylnych i przednich łap. To była zasadnicza różnica, jaką mógł przywołać z pamięci.

Czy Lud zmienił się po odzyskaniu wolności? Czy był może zmuszony przez swych ciemziejczyli do zwierzęcych zachowań? Jony wzdrygnął się. Wielcy robili czasem te rzeczy z mentalnie sterowanymi. Rutee mówiła mu, że Wielcy nie uznawali ludzi za nic więcej niż zwierzęta, zwierzęta, które należy złamać, nagiąć i wykorzystać do własnych celów, panować nad nimi. Zgroze, jaka to w niej budziło, zaszczepiła i jemu, choć był taki mały. Nawet jeśli nie wiedział, jak wyglądało życie zanim Wielcy opanowali kolonie, zdawał sobie

przecież sprawę, że był inteligentna istota.

Czy Lud też był mentalnie sterowany? Czy może z równie wielką jak Rutee zgrozą wspominał traktowanie przez obcych z pogardą, jak zwierzęta? Czy ludzie z kamiennego miejsca byli spoza tego świata? Musieli zamieszkiwać tu przez dłuższy czas, by zbudować swoją siedzibę. A dokąd biegnie kamienna rzeka? Do drugiej kamiennej siedziby, leżącej w jakimś bardziej odległym miejscu? Mieli statki; to było na obrazach.

Jony poczuł ból głowy; był zarówno głodny, jak spragniony. Nie mógł się pozbyć uczucia ciężaru przygniatającego ramiona. W tych chwilach zamętu i rozpaczki wiedział, że nie może wrócić do obozowiska, w każdym razie nie teraz. Voak nazначił go symbolem zniewolenia. Musiał się jakos od tego uwolnić przed powrotem; uwolnić od obrozy w taki sposób, by Voak i pozostali nie mogli mu jej znowu nałożyć.

Usiadł wyprostowany. Świat rozciągający się poniżej wydawał się bardzo szeroki, rozległy i opustoszały! Od tamtej nocy, kiedy znalazła ich Yaa, nigdy jeszcze nie był z dala od Ludu. A przedtem, mimo że ich klatki były od siebie oddzielone, była zawsze Rutee. Myśleć teraz o sobie jako o kims absolutnie samotnym, to było uczucie niosące strach, strach nie przed czymś, co można by odczuć namacalnie, lecz w dziwny jakiś sposób przed ziemią i nie przed całym leżącym wokół niego światem.

Bezczynność nie rozwiąże jego problemów. Nie przyniesie też rozwiązania powrót w to miejsce, gdzie stała klatka- jeżeli udałoby się tam wrócić. Musiał znaleźć jedzenie, wodę i kij. Bez niego ręce wydawały się i bezużyteczne.

Nieproszony, niechciany poczuł, jak raz jeszcze biegnie mu przez myśl czerwony pret. A z nim potęga większa niż w jakimś kiju... NIE! Wargi Jony'ego ułożyły się, by wypowiedzieć to słowo. Musi udowodnić Voakowi, że on i tamci ludzie z kamiennych miejsc, to nie jest jedno. Musi tego dowiedzieć!

A teraz jedzenie, woda i narzędzia obrony - to najważniejsze. Z tym wszystkim byłby znowu sobą, mógłby myśleć, planować, znaleźć jakiś sposób, by uwolnić się od metalowej obreczy tak ciężkiej na szyi. Z czasem może uda mu się odkryć tajemnicę zamka i zrzucić obrozę z siebie. Ale przede wszystkim musiał wrócić do klanu tak, by zrozumieli, że nie zasłużył na takie piętno.

Ostrożnie opuszczał się po stopniach do drogi u podnóża grzbietu. Oboz leżał na lewo. Jony ostro skręcił w prawo.

## VIII

Strumień, na który natknął się Jony mógł być tym samym strumieniem tworzącym poniżej wodospad, gdzie pluśkali się i zabawiali Maba i Geogee. Tylko że teraz sprawy inaczej się przedstawiały. Idąc wolno, Jony poszukiwał pod odwróconymi, obmywanymi wodą kamieniami, muszli małych małży, by zaspokoić głód. Potem ze stulonych i dłoni napił się do

syta wody. Wedrując wzdłuż brzegu strumienia, znalazł gorzkawe liście, których gąsienice zerwały z dobrze sobie znanej rośliny wchodzącej w skład pożywienia klanu. Odsunął na boki wszystkie pytania, postanawiając skupić się na tym, co było tu i teraz; nie mógł jednak zapomnieć o ciężarze na szyi ani o tym, co on oznaczał.

Pożywienia wzdłuż strumienia było tak dużo, że Jony nie miał ochoty opuszczać jego brzegów. Znajdował też kawałki niesionego wodą drewna, które mogłoby nadawać się na kij. To dziwne, ale jakos nie dowierzał białym, wygładzonym wodą kształtom. Nie, powinien był odejść stąd, skierować się do miejsca, gdzie rosną prawdziwe drzewa, by tam wyszukać to, czego potrzebował.

W chwili gdy miał odejść od brzegu, między skalami na wprost dostrzegł coś jasno połyskującego. Podszedł z ciekawością. Kawałek drewna? Nie, wzdłuż jego boku złuszczyła się warstwa pokrywającego nalotu, powodując odblask słońca, który go zwabił. Nie przypominało to żadnego drewna, które znał.

W rzeczywistości mogło to nie być wcale drewniane. Gdy Jony wyciągnął go ze szczeliny, do której wpadł, a raczej został wtłoczony przez prądy wodne, prosty ten pret okazał się cięższy od wszystkich kijów, jakie kiedykolwiek miał w reku. Okrywająca go warstwa, widoczna wokół łuski naciecia, okazała się zaschnięta glina zmieszana z jakąś czerwoną substancją płamiącą ręce. Jony kucnął, wybrał kamień i zaczął odrapywać swoje znalezisko, a wytrwale starania ukazywały coraz więcej czegoś, co zdaniem, musiało być z pewnością metalem. Nie był pret dłuższy od tych czerwonych, śmiercionośnych z kamiennego miasta, lecz całkiem innego koloru. Nie przerywał czyszczenia - najpierw pocierał powierzchnię kamieniem, potem gąsienicami piasku. W końcu trzymał w coś, co przypominało kij członków klanu, choć było krótsze. Miało nawet jeden koniec zakrzywiony, lecz w zupełnie inny sposób, nie przypominający wcale użytecznych haków na kijach. Ta krzywizna miała zaokrąglony koniec, stanowiąca o wiele groźniejszą broń niż najostriejsze kije klanu, używane zarówno jako broń, jak i narzędzie.

Powierzchnia metalu pokryta była wgłębieniami. Gdy Jony unosił pret w górę, i rzucił nim w najbliższą wielką skałę, nie pękł ani się nie zgwał. Pozostawił natomiast na skałę ślad po uderzeniu. Jony zabrał się za dalsze czyszczenie; tym razem za pomocą liści scierał piasek i resztki czerwonego pyłu. Miał teraz być tego pewien - jakieś specjalnie wykonane narzędzie, przypuszczalnie przez ludzi kamiennej siedziby. Nie było ono jednak napelnione miedzią, jaka miała czerwone prety. Z kształtu był to po prostu kij, a w rzeczywistości prawdziwa dzida, o której zrobieniu nie miał nawet co marzyć.

Jony wodził palcami po leżącym na kolanach precie. Przyjemny w dotyku, dobrze leżał w reku, przylegając ściśle mimo wgłębien w metalu. Odpowiadała mu też waga i kształt zakończenia. Ostre krawędzie na czubku mogły mieć wiele zastosowań. Nie wziął tego z podziemnych magazynów, nie wydawało się więc zakazane. Dawno temu pewnie zostało zgubione lub wyrzucone jako bezużyteczne. Jony zatem podjął decyzję.

Dobre czy zle, nalezalo do niego. Znalazl to i oczyscil. Jezeli zmuszony jest teraz ruszac na samotna wedrowke w swiat, jest to najlepsza bron, jaka mozna miec...

Tylko... Cien na piasku przyniosl ostrzezenie! Jony tak byl zaabsorbowany znalezionym skarbem, ze zaniedbal swego najwazniejszego srodka obrony - nie nastawil umyslu na czuwanie. Nie mial nawet czasu, by zerwac sie na nogi i odeprzec atak nadchodzacy z powietrza.

Rozlegl sie pisk tak wysoki i przerazliwy, ze az go uszy zabolaly. Ptak vor skrzeczal, triumfujac glosno, rozpostarl szpony, wyginal glowe na wszystkie strony. Jony zamachnal sie dzida w szalenczej nadziei udaremnienia ataku. Ponad pierwszym napastnikiem widzial dwie inne sztuki tego samego gatunku szybujace w poblizu; byly to prawdopodobnie na wpol juz podrosniete mlode.

Gwaltowny zamach dzida zbiegl sie z nurkujacymi lotem drapieznika. Tylko czysty przypadek, a nie swiadomy zamiar, sprawil, ze Jony wycelowal ostrym zakrzywionym koncem. Cios byl tak gwaltowny, ze Jony przewrocil sie jak dlugi i lezal porazony strachem. Calkowicie bezbronny, mogl teraz tylko czekac, az vor uderzy, by zadac mu smierc.

Cios jednak wytracil ptaka z rownowagi, zachwiala linie jego lotu. Znow wydal z siebie wrzask, lecz juz nie triumfu, a cierpienia. Jedna z ogromnych nog luzno zwisala. Z glebokiej rany od ostrza tryskala krew.

Ciezko bijac skrzydlami, vor uniosl sie w powietrze. Jony pozbieral sie i oparl plecami o najblizsza skale. Dwa pozostale ptaki nurkowaly teraz, by spotkac swym sie ze towarzyszem. Nie bylo to jeszcze ocalenie, a tylko chwila wytchnienia.

Dzida ociekala krwia, lepila sie do rak. Zmienil na chwile uchwyt, wytarl reke o bok spodniczki. Trzy ptaki - skoro zaczely boj, nie zaprzestana. Nie mial zadnych szans.

Ranny ptak krzyczac, znowu nurkowal. Ale tym razem Jony byl gotowy. Poznal juz troche mozliwosci nowej broni. Trzeba by jednak wielkiego szczescia, by po raz drugi udalo sie zadac skuteczny cios. Zmusil sie, by zaczekac z uderzeniem az do ostatniej chwili, pozniej zamachnal sie z calej sily, celujac w wyginajaca sie szyje szalejacego ptaka.

Tym razem chybil celu, lecz zakrzywione ostrze uderzylo mocno w skrzydlo w poblizu jego nasady. Sila ciosu odrzucila ptaka. Teraz mogl uzywac tylko jednego skrzydla; machal nim jak szalony i wrzeszczal, robiac straszny zgielek. Nie mogac sie utrzymac w powietrzu, opadl pomiedzy skaly po drugiej stronie strumienia, tam walnal glucho o ziemie, wrzasnal, a krew chlusnela z obu ran. Jony, nie dowierzajac swemu ocaleniu, nie mial czasu sie temu przyrzec. Podniosl glowe, by obserwowac dwa pozostale ptaki. Rownoczesnie uruchomil swoj zmysl rozkazywania. Podobnie jak to bylo z Ludem, nie mogl sila narzucic swej zadnym zywym istotom tego swiata. Mogl jednak troche zbic je z tropu, sprawic zamet.

Para ptakow nadal krazyla mu nad glowa. Nie wyczuwal zadnych oznak zblizajacego sie

ataku. Moze dlatego, ze jeszcze mlode, ptaki te byly mniej pewne, ostrozniejsze od swego doroslego pobratymca. Jony wcisnal sie pomiedzy dwie skaly. Na otwartym terenie czul sie obnazony. I choc skaly siegaly mu zaledwie do ramion, stojac miedzy nimi czul sie bezpieczniej. Z bronia w reku wyczekiwal.

Nagle stezal. Jeden vor zdecydowal sie. Jony dostrzegl lekka zmiane w jego locie oznaczajaca atak. Choc mniejszy od rannej sztuki, ktora stale jeszcze krzyczala i podrygiwala tam, za woda, i on byl groznym przeciwnikiem. Jony mocno ujal dzide, wiedzac, ze znowu trzeba czekac. Jak dotad tylko swej doskonalej broni zawdzieczal ocalenie, tego byl zupełnie pewien. Ale nie mogl liczyc na to, ze szczescie nadal bedzie mu dopisywalo. Musi byc gotow do...

Vor runal w dol, tym razem cicho, bez ostrzezenia. Jony przygotowal sie do zadania ciosu. Pomyslal, ze szansa trafienia w szyje jest niewielka, ale poprzedni udany cios w skrzydlo podsunal mu teraz mysl, by ponowic taka obrone. Znow wiec zamachnal sie energicznie.

Raz jeszcze cios siegal celu. Vor wrzasnal i runal na skaly z gluchym uderzeniem. Jony wykorzystal okazje! Wyskoczyl spoza swej skalnej oslony i zadal ptakowi szereg ciosow. Jeden z nich trafil w miotajaca sie glowe i zmiazdzyl ja.

Ciezko dyszac, Jony wrocil do swej lichej kryjowki rozgladajac sie za trzecim i ostatnim ptakiem. W przeciwienstwie do swych wspoltowarzyszy nie zamierzal on toczyc walki. Zamiast tego, pohukujac zalosnie, zatoczył dwa kregi i odlecial. Jony wpatrywal sie w blizszy ptaka. ktory jeszcze drgal i w drugiego wciaz walczacego ze smiercia po drugiej stronie wody. Dwa ptaki vor! Ocalenie oszolomilo go. Bron lepila sie od krwi, jeszcze wiecej krwi bylo na nim i na skalach dookola. Lecz byl uratowany! Oslabiony oparl sie o kamienie.

Samce z klanu zabijaly atakujace ptaki vor, owszem. Ale zawsze zespolowo, dzialajac zgodnie z obmyslony planem obrony. Jony nigdy nie slyszal, by ktokolwiek z Ludu sam pokonal dwa takie drapiezniki.

Vor lezacy w poblizu znieruchomial w koncu. Natomiast tamten po drugiej stronie strumienia jeszcze slabo sie poruszal, ginal z uplywu krwi. Jony zmusil sie, zeby postapic kilka krokow naprzod i uzywajac ostrego zakonczenia dzidy, szturchnal cialo lezacego obok ptaka. Vor nie dawal zadnych oznak zycia.

Obrzydliwy odor i widok krwi przyprawil Jony'ego o mdlosci. Poszedl kawalek w gore strumienia. Tu nie tylko oczyscil swa nowa bron piaskiem i woda, lecz umyl spocone cialo i wyplukal zaplamiona spodniczke, tak by nie pozostal najmniejszy slad krwi jego ofiar.

Dostrzegl jakis ruch w dole strumienia. Bylo tam kilka padlinozercow, ktore zawsze przoduja w znajdowaniu cial martwych zwierzat, wiec i teraz spieszyly do lezacego w cieniu skal zabitego ptaka. Do jutra pozostana z niego tylko dobrze oczyszczone kosci. Jony zmierzyl wzrokiem zlowrogie szpony potwora. Moglby poczekac w poblizu, a kiedy

biesiadnicy zrobia swoje - zabrac to zdobyte w walce, a przydatne trofeum, na ktore zasluzyli.

Nagle na jego twarzy ukazal sie ponury usmiech. Choc Lud nie przyozdabial sie nigdy niczym, z wyjatkiem swych siatek z jedzeniem, Jony'emu zaswital pewien pomysl. Moze te szpony zawiesic na swojej obrozy. Jezeli kiedykolwiek powrocilby do klanu i moglby sie uwolnic od tego jarzma, ktore mu nalozyli, to sprawiloby mu wielka przyjemnosc, by do tego ciezaru, majacego byc dla niego kara i ostrzezeniem, dodac dowody swojej zdolnosc do samodzielnego przezycia.

Ta dzida nie ma takiej drugiej! Pieszczotliwie wodzil po niej rekami tam i z powrotem, omijajac ostre zakrzywienie na koncu. Potem zajal sie z wielka uwaga zbadaniem zaostrzonego haka. Byl on ukszaltowany na podobienstwo kla. Jony nie byl przez nature wyposazony w takie narzedzie walki, jakie tkwilo w szczekach Ludu. Lecz teraz mogl sie pochwalic posiadaniem kla i uzywac go nalezycie...

Rozsadek nakazywal wycofac sie w gore strumienia. Martwe ptaki moga przyciagnac nie tylko drobnych padlinozercow zaprzatnietych jedzeniem. Jony chcial sie tez uwolnic od zapachu krwi i smierci. Znajdzie sobie jakies miejsce, gdzie przygotuje legowisko na noc. I tylko nie wolno mu wiecej dopuscic do takiego stanu zapomnienia, by nie wiedziec, co sie wokol niego dzieje. Ta glupia pomyłka o malo co nie sprawila, ze to on sluzylby teraz za pozywienie smiercionosnym potworom. Musial sie nauczyc madrze uzywac swego zmyslu.

Znalazl miedzy skalami odpowiednie miejsce i dokonal kilku wypraw na trawiasty teren, rwac sztywne trawy i calymi nareczami znoszac ja na miejsce, moszczac nia sobie legowisko. Mial sie teraz przez caly czas na baczności tak przed powrotem ptaka vor, jak i przed innymi zagrozeniami mogacymi czyhac w tym obcym terenie. Bylo jeszcze daleko do zmroku, kiedy nazbieral owocow z paru wysoko rosnacych krzakow i wrocil do obozu. Ziemia obfitowala tu w pozywienie, ale nie bylo sladu, by jakis klan tedy wedrowal. Mozliwe, ze siedliska ptakow vor byly zbyt blisko, by Lud, przyzwyczajony do walesania sie w grupkach po dwoch lub trzech, czul sie tu bezpiecznie.

Kiedy Jony ulozyl sie w swej kryjowce, pomyslal znow o Mabie i Geogee'u. Voak oznajmil, ze bliznieta nie beda odpowiadac za to, ze wybraly sie do kamiennego miejsca. Jony mial wiec nadzieje, ze nie zagraza im wygnanie, ktore spotkalo jego. Yaa poradzi sobie z Maba, a Voak prawdopodobnie bedzie mial oko na Geogee'a. I zadnemu z blizniat nie wolno bedzie powrocic do kamiennego miejsca.

Wszystkie pytania, ktore nekaly go rano, nadal oczekiwaly odpowiedzi, jezeli bedzie mogl je kiedykolwiek znalezc. Glowny problem, ktory go teraz zaprzatal, to pytanie, czy ta obroza oddzieli go na zawsze od Ludu?! Nie chcial rozwazac, co takie odciecie mogloby oznaczac, nie umial jednak odegnac tej mysli.

Zawsze i wciaz byc samotnym! Mogl byc tu w poblizu inny klan. Istnialy inne klany, stykal

sie z nimi podczas organizowanych od czasu do czasu spotkan. Przypuszczał jednak, że dopóki będzie miał te obroze, nikt z Ludu go nie zaakceptuje.

Jony krecił się niespokojnie w swym gnieździe. Co innego było spędzać tak noc, wiedząc, że w zasięgu ręki leżał towarzysz. Nigdy jednak nie był sam. Leżał teraz na plecach z zamkniętymi oczami, lecz nie spał. Zamiast tego wędrował z powrotem tam, gdzie wiodła go pamięć. Myślał o przeszłości, uciekał od chwili obecnej. Na początku starał się wyobrazić sobie, zobaczyć ze ogolami laboratorium na statku. Umiał zawsze wywoływać na zadaną obrazę różnych scen. Jakim było jego pierwsze, najdawniejsze wspomnienie?

Znajdował się wraz z Rutee w jej klatce. Cierpliwie i bez końca opowiadała mu, kim był, jak się tu dostali. Byli kiedyś tak samo wolni jak Lud. Potem przybyli Wielcy i uwięzili ich w klatkach. Niektórzy Wielcy zabijali powoli obserwując, jak umierają. Rutee robiło się słabo, gdy to opowiadała, ale zmuszała go do słuchania. Inni byli mentalnie sterowani. Lecz nie ze wszystkimi się to udawało. Rutee była na to odporna, a on sam w jeszcze większym stopniu. Ze świata Rutee Wielcy powędrowali przez przestworza, odwiedzając też i inne światy. Byli też inni jency, choć żaden z nich nie przypominał ludzi takich jak Rutee. W końcu dostali się tutaj, Rutee jednak nie wiedziała, gdzie jest to "tutaj".

Noc pokazywała Jony'emu gwiazdy, wskazując te czy inną. Lecz mówiła, że leżał nie tam, gdzie "powinny", że żadna z nich nie przypomina gwiazd widzianych w jej dawnym świecie. Wynikało stąd, że statek Wielkich zawiozł ich daleko od kolonii, w której mieszkała poprzednio. Nie było możliwości, żeby kiedykolwiek wrócić, spotkać się z ludźmi własnego gatunku.

Ludzie ci mieli własne statki do podróży w przestworzach. Odlecieli kiedyś ze świata, który był ich własnym, zasiedlili inne światy. Robili tak przez długi czas. Rutee nie była już nawet pewna, gdzie był ich pierwotny, macierzysty świat. Nie był to ten świat, gdzie ona i Bron urodzili się, z którego wyruszyli, by wziąć udział w tworzeniu następnej kolonii. Daleko i dawno...

Czy to nie mógł być ten świat? Czyż nie dlatego on, Maba i Geogee wyglądali tak jak ludzie z kamiennej siedziby? Lecz Rutee nie знаła Ludu ani nigdy o nim przedtem nie słyszała. Mogł to jednak być jeden ze światów, który ludzie kiedyś odkryli, w którym żyli.

Jony wspominał teraz czas, kiedy wędrowali wraz z Ludem; stawał się usilnie przywołać w pamięci każdy najmniejszy skrawek obrazu. Z bezradnych niemowląt, Maba i Geogee wyrosli na większe, bardziej myślące stworzenia. Rutee zawsze rozmawiała z Jonym o ludzkim rodzaju. Miała nadzieję, że któregoś dnia jakiś przypadek przywiedzie tu ich zwiadowczy statek. Nauczyła go więc mowy swego ludu, a nawet rytych na korze czy pasku znaków, które niosą i przekazują znaczenie słów, nawet wówczas, gdy się zapomni te słowa.

Później Rutee zmarła. Bardzo mu jej brakowało. Był jednak bliźnieta, był klan. Nie był



sam. Usiadl nagle z otwartymi oczami, walczac ze strachem i samotnoscia. Zacisnal rece na swej wspanialej broni. Byl wykonczony. Stoczyl, i to sam jeden, taka bitwe, w jakiej malo kto z Ludu kiedykolwiek uczestniczyl. Mial bezpieczny oboz. Lecz - nosil obroze.

Gdyby tylko wiecej wiedzial! Czy moglby, czy powazylby sie wrocic do kamiennego miejsca, by tam szukac prawdy? Moze ci inni ludzie - jezeli byli z tego rodzaju, co i on - zrobili znaki dla swych slow. Martwi nie moga mowic, lecz za nich moga przemowic znaki. Czy Voak i klan dowiedzieliby sie, gdyby sprobował podjac taka misje?

Jony mial nadal jasno w pamieci ostrzezenie Voaka. koro jednak zostal wygnany, coz za znaczenie moze miec dla Voaka jego powrot w tamto miejsce. Jony nigdy nie zwrocilby sie przeciw klanowi, nie moglby.

Maba, Geogee? A jesli Voak uzylby ich, by ukarac Jony'ego za złamanie nalozonego nan zakazu? Nie, nie ma tam powrotu, w kazdym razie nie teraz. Nie wolno mu zrobic nic, czego wodz klanu moglby uzyc przeciwko blizniakom.

Gdzie w takim razie teraz isc? Mogl wedrowac szlakiem klanu, podazac za nimi. Ale nie mial ochoty, nie na ich warunkach. Albo powroci w pelni, na dotychczasowych prawach, jako jeden z nich, albo bedzie sie trzymal z dala.

Jony energicznie kiwnal glowa, choc nie bylo nikogo, kto by byl swiadkiem podjecia tej decyzji. A wiec: rano skieruje sie w gore strumienia, biorac jego bieg za przewodnika. Powiedzie go to ku wyzszym wzgorzom, w kierunku gor, gdzie ziemia zdaje sie rzucac wyzwanie niebu i nocnym gwiazdom. Moze odkryje drugie kamienne miejsce i nie bedace pod obserwacja klanu Voaka. A tam... Jony nie wiedzial, co moglby tam robic, co tak naprawde chcialby w ogole robic. Lecz lepiej bylo ruszyc naprzod niz sterczec tu czekajac lub wlec sie za klanem tak, jak gdyby prowadzili go na smyczy przyczepionej do tej upokarzajacej obrozy i kierowali jego krokami zgodnie ze swoja wola.

Jakze teraz zalowal, ze nie przyjrzał sie z wieksza uwaga obrazom w podziemnym magazynie. Skrzywil sie z niezadowoleniem na mysl o straconej sposobnosci. Dziwne - choc byla tam moc, doznania nie byly tak silne jak te, ktore odbieral w podziemniach z klatka.

Czy tamto uczucie to byla moc nienawisci zwiazana z sama klatka, nienawisci Ludu, nienawisci tych, ktorzy tam pomarli? Jony zawsze wyczuwal uczucia, a nawet fizyczny bol, ktory ogarnial Rutee czy bliznieta. W znacznie mniejszym stopniu odczuwal bol i problemy nekajace klan. Lecz czy takie uczucia moga nadal istniec po smierci?

Kamienna kobieta - czy wstrzas, jakiego doznal w zetknieciu z jej reka, byl jakimś zapamietanym uczuciem przekazanym z tamtej chlodnej, niewzruszonej dloni do jego zywej czy moze czymś innym? Tak malo wiedzial. Jony plonal z niecierpliwosci podobnie jak tamtej chwili, gdy zawrzal w nim gniew po wydaniu wyroku przez Voaka. Tak wiele jeszcze

musiał zrozumieć! Pragnienie wiedzy męczyło go teraz jak prawdziwy ból.

Jak umierali tamci jency w klatce? Szybko czy powoli? Czy zgineli z głodu i pragnienia? Czy też załamani i więzieni aż duch w nich upadł, nie mieli już w sobie dość woli, by dalej żyć?

Jego obroza - Jony przyłożył obie ręce do pierścienia na szyi. Czy ta metalowa obrożka kryła w sobie moc dawnych doznań? Niczego bezpośrednio nie wyczuwał. Nie więcej niż z dotyku swej nowej dzidy, jej ostrza zwieńczonego śmiercionośnym kłem.

Powoli przekreślił obroza dookoła, uważając, żeby jakies dotknięcie nie zwolniło będących narzędziem tortur kłów, które pokazał mu Voak. Powierzchnia pod palcami była gładka. W odróżnieniu od dzidy nie było tam żadnych zagłębień. Obrożka wyglądała na zupełnie nową, choć - jak przypuszczał - była w wieku niemożliwym do określenia.

Nie odkrył w niej żadnej mocy. Gdzie więc tkwiło źródło owej mocy tam, w podziemiach z klatka. Czy była wywołana dźwiękami, które wydawali trzej członkowie klanu, waląc kijami i krzycząc?

Jony spróbował tego sam. Tępy koniec dzidy zaczął lekko stukac w skały osłaniające jego legowisko, starając się zachować tę samą szybkość, z jaką robili to Voak i tamci dwaj. Drzenie przenikało przez dzidę do ramienia, lecz nie doznał tamtego uczucia mrowienia.

Może więc doznania płynęły z czerwonego światła. Czy można korzystać z takiej mocy, przetwarzać ją we własną skoncentrowaną energię? Jaki sens miały te domysły? Jony nie miał zamiaru szukać pieczary z klatka. Przeciwnie, wolał wędrować tak daleko od tego miejsca, jak tylko się dało.

W ciągu paru minionych dni w jego umyśle tłoczyły się pytania zdolne przyprawic o ból głowy. W czasie wszystkich dotychczasowych wędrowek z Ludem Jony nigdy nie rozmyślał o sprawach nie związanych z tokiem codziennego życia. I - rzecz zastanawiająca - czuł się tak, jakby właśnie obudził się z jakiegoś dziwnego snu. Po śmierci Rutee nie dzielił się swymi myślami z bliźnietami. Były dla niego nie tyle żywymi osobami, co zadaniem do wykonania. Miał nad nimi czuwać, a nie przekazywać im własne wątpliwości czy niepewność. Zasię ograniczony kontakt z Ludem zamykał się w granicach tego, co niezbędne w codziennym życiu.

Tak więc zarzucił wiele pytań, na które nie było odpowiedzi. Odkrycie rzeki z kamieni odmieniło Jony'ego, skruszyło jakas skorupę. Był zawsze inny, ale bezlitośnie starał się tłumaczyć te różnice, upodobnić się do Ludu na tyle, na ile się dało. Teraz, na wygnaniu, różnice odżyły. Obudziła się w nim więc wyobraźnia, napierały pytania za pytaniami.

Wraz z przebudzeniem przyszedł niepokój. Nie mógł zasnac. Chciałby przechadzac się tam i z powrotem w świetle księżyca, pod tymi gwiazdami, których nie znalazła Rutee, starając się stłumic nekające go myśli.

Jony nie był już z siebie zadowolony. Był rozstrojony, zdenerwowany. Musi gdzieś znaleźć jakąś odpowiedź... gdzieś...

Zwrocony był twarzą w dół strumienia, lecz spoglądał też w niebo. Vor nie atakuje noca, jego umysł nie wyczuwał żadnego zagrożenia.

Nagle niebo przeszył na wskros oslepiający ogień.

Co?!

Jony zacisnął ręce na swej broni tak mocno, aż kostki mu pobielaly. Zatrząsł się, tak jakby zatoczył się w jakimś potężnym podmuchu.

To chyba dzięki swej rozbudzonej świadomości wiedział, jakimś sposobem widział!

Czy Rutee opowiadała mu o tym kiedyś? Tego nie pamiętał. Lecz był pewien, jak gdyby był świadkiem lotu że był to statek z przestworzy! I zamierzał ładować!

-Wielcy!

Pelem, nienawisci zacisnął usta, wstał z podniesioną, gotową bronią. Nie!

Ogień przemknął i zamilkł. Jony wyteżył słuch, by pochwycić dźwięk. I wydało mu się, że dosłyszał daleki odgłos ryku. Tak, statek wylądował. Teraz Wielcy wyruszą na swe łowy. Lud, bliźnieta - nie mają pojęcia, do jakich bestialskich czynów są zdolni Wielcy. Jony musi wrócić do klanu, zmusić ich, by go wysłuchali! Obroza czy nie - muszą go wysłuchać.

I już biegł lekko po piasku drogą z powrotem. Jedyne co miało teraz dla niego znaczenie, to obawa czy zdąży, zanim Wielcy wyruszą na poszukiwanie swej zdobyczy.

IX

Paskudny upadek przywrócił Jony'emu przytomność umysłu. Głupota było tak pedzić na oslep przez nieznaną krainę, na nic nie zważając. Usiadł na ziemi, opatrując kaleczoną gołen i wpatrując się we wroga już teraz ciemność. Nie można było ocenić, jak daleko stąd wylądował statek. Prawdopodobnie poszybował w dostatecznie odległe od obozowiska klanu miejsce i cały ten strach był nieuzasadniony. Jednak z opowieści Rutee Jony wiedział, że Wielcy prócz swych statków mieli jeszcze inne środki przemieszczania się. W wielkich statkach wozili mniejsze, które poruszały się po każdym terenie, miażdżąc wszystko przed sobą, lub - w razie potrzeby - unosiły się w powietrzu.

Jak szybko mogą wyruszyć na poszukiwania?

Jony, w zdenerwowaniu, bebnął pięścią w ziemię. Trzeba się dostać do obozu, zmusić Voaka i pozostałych do wysłuchania go!

Czy kamienna siedziba nie przyciągnie Wielkich? Z czasów, gdy był wśród nich, Jony wiedział, że interesowali się takimi miejscami na innych planetach, przywożąc stamtąd przedmioty starannie potem przechowywane.

Jony wstał i opierając się mocno na swej nowej dzidzie, uparcie pokustykał dalej. Pojście wzdłuż strumienia, który kierował się mniej więcej na południe. Jeżeli to był ten sam strumień, który przepływał obok obozu, będzie on dobrym przewodnikiem, nawet po ciemku. Lecz brzeg strumienia okazał się niezbyt łatwym szlakiem. Dwukrotnie zagroziły Jony'emu drogie spiętrzone skały, przez które torował sobie przejście, próbując tępym końcem dzidy każdy kamień zanim przenosił nań ciężar ciała. Raz musiał obejść piętarczy się stos naniesionego woda drewna; przeszkoda, której nie odważył się pokonywać w ciemności.

Bolala go noga, a ból się zwiększał, jeżeli zbyt obciążał. Jednak mimo wolnego tempa Jony zamierzał do rana dotrzeć do obozu. Nie mógł przecież odejść zbyt daleko na północ od czasu, kiedy Voak i tamci dwaj zostawili go.

Szare światło przedświt wypełniało niebo, kiedy Jony doszedł do krawędzi wodospadu. W dole nie było śladu Ludu. Chłopiec o mało nie upadł na wystające z ziemi kamienie; równocześnie z pulsowaniem w nodze czuł znużenie w całym ciele. Musiał jednak opuścić się na dół obok wodnej zasłony.

Maba? Geogee? Przez chwilę igrał z myślą, by wolać umysły dzieci i za ich pośrednictwem przekazać ostrzeżenie. Jednak żadne z nich nie było zdolne do właściwego odbioru myśli, nie umiałyby jasno pojąć ich znaczenia. Mogłyby jednak zapragnąć go odszukać. A jeśli zrobiłyby to, naraziłyby się na niebezpieczeństwo, straciły opiekę klanu.

Nie odważywszy się działać za pośrednictwem bliźniat, Jony musiał więc spotkać się z Voakiem twarzą w twarz.

Gdy jednak skoncentrował swe myśli na obozowisku, natknął się na zupełną nicosc. Nie było nawet owego migotania towarzyszącego odpowiedziom Ludu na jego sondowanie myśli.

Jony wpadł w panikę; jeśli nie opanuje jej natychmiast, pogna go ona lekkomyślnie naprzód, prowadząc do nieszczęścia. Nic, nie było tam nic!

Wielcy! Najazd na obozowisko? Tak szybko?

Jony przyczółkał się do krawędzi i zaczął gramolić (dół, od skały do skały). Wcześniej skreconym włoknem przywiązał sobie brzozy z tyłu na plecach, żeby mieć obie ręce wolne. Dwa razy uderzyła o kamienie, brzęcząc tak głośno, że dźwięk słychać było nawet przez grzmot wodospadu.

-W dół, w dół. Był teraz blisko tego miejsca, skąd Maba została mimo swych protestów

wywleczona na brzeg przez Uge, która mocno trzymała mała za włosy. Jony kulejąc, szedł nadal z pustymi rękoma. Wkroczenie do obozu z dzida na plecach będzie na pewno świadczyć o jego pokojowych zamiarach. Dysząc ciężko, wysyłał równocześnie swe myśli, by naprowadziły go na ślad miejsca, gdzie mógł obozować Lud.

Nie było tam nic, tak jak i nic nie było w zasięgu oku, kiedy wszedł na polane wśród gąszczy, gdzie powinny być ich legowiska, ruch budzącego się Ludu.

Były tam legowiska, lecz puste. Jony podszedł bliżej. Zwiednione liście i trawa były zimne w dotyku. Wyglądało i to, że poprzedniego wieczora nie dodano świeżego listowia, tak jak to robiono zazwyczaj. A więc klan nie nocował tutaj. Musieli gdzieś wyruszyć!

Zabrali Mabe i Geogee'a, lecz dokąd?

Jony powoli okrążył obozowisko. Nie był szczególnie zdziwiony, kiedy w jego południowej części odkrył ślady wymarszu. Na pewno postanowili oddalić się od kamiennego miejsca i zmienić kierunek swej powolnej włoczęgi.

Lecz również na południe poszybował statek z przestworzy. Czy klan szedł teraz wprost ku niespodziewanemu niebezpieczeństwu?

Jony przeszukał dokładnie teren obozu. Jego lupem padła siatka na jedzenie dziurawa z jednej strony, jakieś inne porzucone, niepotrzebne rzeczy, parę kamieni, których używał Otik. I nic więcej.

Jony, który jeszcze wczoraj przysięgał sobie nie iść nigdy śladem klanu, teraz zmienił zamiar. Mogł tylko ludzić się, że klan porusza się wolnym krokiem, jak zwykle leniwie, zajmując się poszukiwaniem jedzenia opóźniającym pochod.

Wyprzedzali go o dzień drogi, a może i o niecały. Dogonienie ich nie powinno zająć zbyt wiele czasu. Dodawszy sobie otuchy tą myślą, Jony zjadł ostatni z obtłuczonych owoców, które zostały mu z wieczornego posiłku i skierował się znowu na południe.

Dosć łatwo było podążać tym tropem. Tu i owdzie gdzie trafiał się splachetek gołej ziemi, Jony bez trudu znajdował na nim szerokie ślady łap Ludu i dwa razy mniejsze ślady stop bliźniat. Tym razem szli inaczej: nie rozciągnięci, po dwóch lub trzech, lecz zwarta grupa, wszyscy razem.

Jony wspiał się na następny grzbiet. Stąd mógł jeszcze spojrzeć w dół, tam gdzie rzeka z kamieni przecina otwarty teren. Znalazł się jednak zbyt daleko na zachód, by zobaczyć to miejsce, gdzie rzeka się kończy - mury były przesłonięte przez wyrastające od wschodu grzbiety. Wielcy jednak, badając teren, wykryliby to miejsce bez trudu. Trop klanu wiodł prosto w dół, ku kamiennej rzece. Czyżby szli do stosów? Jony nie mógł w to uwierzyć. A jednak ich ślady kończyły się na krawędzi chodnika.

Jony znow odwazyl sie wejsc na te gladka powierzchnie, lecz jedynie po to, by przeciac ja i przejsc na druga strone. Jego domysly byly sluszne, Lud zaryzykował zetkniecie sie z tym, czego najbardziej nienawidzil, tylko dlatego, ze nie bylo innego sposobu, by przedostac sie na tereny lezace po drugiej stronie rzeki. Tam slady pojawialy sie znowu, nadal blisko siebie.

Ten niezwykle sposob wedrowki sam w sobie stanowil wskazowke, ze cos bylo nie w porzadku. Jony nigdy nie widzial, by klan idac skupial sie w grupe, chyba ze okrazali jakis obszar stanowiacy tereny myśliwskie smaa. Tym razem nie zbaczali tez z drogi, zeby zrywac jakies nasiona, ktore obficie pokrywaly roslinnosc w poblizu ich szlaku.

Szli na poludnie, prosto przez otwarty teren, gdzie Wielcy - jezeli jacys grasowali juz z dala od swego statku - mogli ich latwo dostrzec.

Jony przecial ten obszar najszybciej, jak mogl. Trawa byla tam takiej wysokosci, ze nie przykrylaby nawet Maby. Klan zas nadal maszerowal razem, prawie w prostej linii. W oddali widziala obiecujaca, ciemniejsza linia drzew i zarosli.

Chlopiec jadal po drodze, zrywajac garsciami nasiona i zujac je energicznie, by wydobyć cala ich odzywcza zawartosc przed wypluciem lusek. Jedzenie to bylo tak suche, ze Jony zapagnal znow ujrzec strumien. Jednakze ponizej wodospadu rzeka zakrecala lukiem dalej na zachod. Jony utrzymywal swoj zmysl poszukiwawczy w pogotowiu. Jak dotad nie pochwycil zadnego kontaktu z tymi, ktorych gonil. Znaczyl to, ze wyprzedzili go bardziej, niz pierwotnie przypuszczal. Przyspieszyl kroku, chcąc znalezc sie juz pod bezpiecznym sklepieniem koron drzew, gdyz niebo moglo byc teraz trasa poruszania sie wroga.

Zar slonca raptownie przestal doskwierac, gdy chlopiec potykajac sie, dotarl wreszcie pod oslone drzewi krzewow. Trop byl tu nadal wyraznie widoczny. Jony ciagle nie domyslal sie, co sklonilo Voaka i pozostalych, by odrzucic zwykly sposob podrozowania. Czy zrobili to z jego powodu?

Czy az tak bardzo chcieli zerwac wszelki z nim kontakt, ze natychmiast po powrocie Voaka z Otikiem i Kapoorem ruszyli calym klanem w droge, maszerujac bez przystanku, tak by on, Jony, nie mogl ich latwo dogonic? Wolno poruszajacy sie Lud odznaczal sie znacznie wieksza niz ludzie wytrwaloscia. Od jakiegos czasu nie bylo juz widac drobnych sladow znaczących obecności Maby i Geogee'a. Bliznieta pewnie wedrowaly teraz posadzone na potężnych ramionach, tak jak to bywalo wtedy, kiedy byly znacznie mniejsze.

Jony rozpoczynal swa wedrowke sladem klanu w nadziei, ze dosc szybko ich dogoni. Jedyna troska bylo to, czy przyjma jego ostrzezenie, czy tez je odrzuca. Lecz w miare jak dzien sie dluzyl i jego wytrzymalosc slabla (nie tylko z powodu bolu w nodze, lecz ze zwyklego zmeczenia), zaczynal sie zastanawiac, czy kiedykolwiek w ogole ich odnajdzie. Ta zalesiona kraina okazala sie tylko niewielka, wystajaca odnoga ciagnacych sie na zachod wiekszych gestwin lesnych. Wylacznie napotykané slady utrzymywaly w nim nadzieje.

Jony zauwazyl teraz, ze specjalni wyslannicy poszukiwali pozywienia dla klanu, choc zaden z nich nie zapuszczal sie zbyt daleko od linii przemarszu. Teraz przyszla kolej na Jony'ego, by zrywac owoce z tych samych miejsc. Doszedl wreszcie do zrodla w zaglebieniu wilgotnej gleby i rzucil sie do picia. Widac bylo wyraznie, ze klan byl przy tej wodzie wczesniej, i to niezbyt dawno. Jony polozyl sie, aby odpoczac. Ciazylo mu znuzenie, jak gdyby obroza byla poteznym ciezarem przygniatajacy go do ziemi. I wowczas uslyszal nowy dzwiek.

Warczenie, brzczenie, po trosze jedno i drugie. Dzwiek, ktorego nigdy przedtem nie slyszal. Jego umysl poszukiwal...

Jony usiadl.

-Nie! - wrecz krzyknal glosno. Potem jeszcze raz sprobował nawiązać kontakt.

Nie Maba i nie Geogee. Pochwycone wzorce myslenia nie nalezaly do zadnego z blizniat. Umysl, z ktorym na tak krotko sie zetknal, nalezal do kogos z jego wlasnego rodzaju.

Rozrzucone bezladnie strzepy mysli, ktore byly jedyna Odpowiedzia, kiedy probowal porozumiec sie z Ludem, rozpoznawal z wielka wprawa. Nie zapomniat tez sposobu myslenia Wielkich, za ktorym - choc byl znacznie bardziej przejrzysty - nie latwo bylo podazac.

A to, to bylo jak kontakt z Rutee! Wolny, nie sterowany mentalnie umysl, z tym samym modelem myslenia, co jego wlasny.

Dzwiek tymczasem narastal, stawal sie bardziej uporczywy. Jony skulil sie pod najblizszym krzakiem. Uniosl dzide i ostroznie odslonil malenki, nie wiekszy niz jego dwie dlonie razem wziete, skrawek nieba. Nie mial jeszcze odwagi uzyc swego daru - jeszcze nie teraz. Przez szpare w galeziach w przelocie tylko zobaczyl to, co unosilo sie w powietrzu: nie byl to statek z przestworzy, lecz o wiele mniejszy pojazd przypominajacy z wygladu jakby wiazke pni drzew ogolonych tak z galezi, jak i z korzeni i zagietych na obu koncach. Zalsnilo, gdy statek mignal mu przed oczyma, a blask ten przypominal odbicie swiatla od wypolerowanej piaskiem dzidy.

Wielcy? Nie, umysl, z ktorym Jony zetknal sie w tej zaskakujacej chwili, nie nalezal do wroga. To raczej jakas jemu samemu pokrewna forma zycia mknela po niebie w swym latajacych pojezdzie.

Ludzie z innej kamiennej siedziby? Ktos, kto pozostal, nie umarl dawno temu? Nie, niemozliwe. Gdyby tamci ludzie nadal zyli, Lud bylby o tym wiedzial, tego Jony byl pewien. W takim razie, czy nie mogl to byc statek jego wlasnego ludu, taki jaki dawno temu przywiozl Rutee do nowego swiata bedacego ich kolonia? i

Jony plonal z podniecenia. Mimo to, wyniesiona z przeszlosci ostroznosc sprawila, ze, spokojny i baczny, pozostal w ukryciu. Ostroznie sprobował nawiązać kontakt. Byl pewien,

ze potrafi rozpoznać mentalnie sterowany umysł. Jeżeli był to jakiś chwyt Wielkich, by wywabić zwierzyne z kryjówki...

Jony natrafił na odpowiedni dla kontaktu poziom, starał się go utrzymać. Znowu tylko przez moment. Ten drugi odczuł wtargnięcie Jony'ego i błyskawicznie zareagował.

Z pewnością nie należał do mentalnie sterowanych. Oni albo nie zauważiliby takiej próby, albo by ich nie obeszła. Zbyt byli przyzwyczajeni do kierowania przez Wielkich. Jony próbował uporządkować klebiące się odczucia, doznane w trakcie tego nie dłuższego niż sekunda bezpośredniego zetknięcia umysłów.

Ta istota w gorze była na zwiadach i nie nawykła do takich kontaktów za pośrednictwem umysłów. Ale typ jej myślenia był taki sam jak Jony'ego. I... - Jony zawsze kombinował - może... może mogłoby kontrolować tego obcego przez pewien czas. Byłby to sposób, żeby zdobyć wiadomości.

Ale byłoby to zastosowanie mentalnego sterowania! Właśnie to, czego obawiała się z jego strony Rutee w stosunku do Maby i Geogee'a i dlatego kazała mu przysiąc, że nigdy tego nie będzie próbował. Jednak latający najeźdźca nie był nikim z rodziny, a Jony rozpaczliwie potrzebował informacji. Poruszył się niespokojnie. Rutee uczyła go, że wszystko to, co Wielcy robili z jej rodzajem, było złem. I gdyby on teraz postąpił tak samo, czy wiele różniłby się od Wielkich? Latający pojazd znowu pojawił się w polu widzenia, ustawił się wprost nad Jonym. Chłopiec zeszytywniał. Czy ta istota na pokładzie może go odszukać za pośrednictwem tych jego prób kontaktu? Wielcy mieli urządzenia, które były do tego zdolne.

Jony ukradkiem opuścił dzide, pozwalając galeziom wrócić na miejsce. Nie miał pojęcia, ile ten myśliwy, tam na gorze, może dostrzec czy domyslić się. Jony w każdym razie nie miał zamiaru wyczekiwać na spotkanie, które mogłoby się zakończyć utratą wolności.

Zaczął się czolgać, posuwając się na rękach i kolanach. Brzeczzenie statku pozostawało niezmiennie: ani nie rosło, ani nie zanikało. Znaczyło to, że statek zawisnął wprost nad Jonym; tego żadne żywe istoty, które znalazł, nie potrafiły.

Bał się ponownie próby kontaktu. Teraz musiał polegać bardziej na swoim słuchu niż na którymkolwiek ze swoich pozostałych zmysłów. Rozplaszczony na brzuchu, całkiem niewidoczny z powietrza, bardzo wolno pelzł naprzód.

Czy słuch go nie zawodził? Czy dźwięk ten był teraz naprawdę odrobinę słabszy, tak jakby Jony oddalał się od niego?

Dopiero kiedy okrywa, która dawała wierzchołki drzew, stała się grubsza, Jony odważył się wstąpić. W czasie, gdy czolgał się od źródła, zgubił ślad Ludu. Pozostała mu tylko jedna droga - jeżeli nie chciał być pod obserwacją latającego - wprost przed siebie, na południe, gdzie niechybnie poszybował statek z przestworzy.



Dźwięk cichł, jak gdyby statek stale jeszcze unosił się nad źródłem czekając, aż Jony zdradzi swą obecność. Las dookoła był nienaturalnie cichy; wszystko co żyje, kulilo się w strachu, nasłuchując. Jony skradając się starał się robić bic jak najmniej hałasu. Zgubił trop Ludu, zatracił też poczucie kierunku. Próbował wybierać jakieś wyróżniające się, rosnące gdzieś z przodu drzewo, dochodzić tam, wybierać następne. Byle tylko nie krecić się w koło. Złamana gałąź; Jony dosłownie doskoczył do niej. To robota Ludu! Tak, widział ślady po oderwanych bocznych gałązkach i liściach tam, gdzie konar był przyciągnięty przez kogoś wysokiego, wyższego niż on. Może był to nawet Voak. Na ziemi wokół Jony nie znalazł żadnych śladów łap. Lecz w pobliżu były i inne pnącza owocowe z oderwanymi i polamanymi gałęziami. Musiało się to zdarzyć dopiero co, gdyż z niektórych saczył się jeszcze kleisty sok.

Lesny gąszcz znów się przerzedził. Jony przykucnął za zasłoną z liści i gałęzi. Tuż przed nim rozciągała się kolejna otwarta przestrzeń. Niedaleko widac było zdeptaną, powyrywana z korzeniami trawę. Przerazony wpatrywał się z goryczą w te ślady walki. To musiało być miejsce, gdzie Lud, część klanu lub cały klan, został zaatakowany bez ostrzeżenia. Jony nie znalazł śladów krwi. Dostrzegł jednak cały, nie polamany kij, prócz tego siatkę z owocami, które częściowo zgniecione, przyciągały teraz owady.

Latający pojazd!

Nie odważył się zaryzykować i nie wynurzył się na otwartą przestrzeń choćby na tyle, by obejrzeć wszystkie ślady i znaki, jakie można by znaleźć. Przedzierał się wzdłuż krawędzi lasów podwoi i czas, i odległość, ale zapewni niezbędne osłone. Ponuro ruszył okreśną drogą w prawo. W chwili później padł, zastygając w całkowitym bezruchu.

Brzęczenie latającego pojazdu stało się głośniejsze. Jony, nie unosząc głowy, starał się jakos zerknąć w górę. Obcy statek zniżył lot nad drzewami i zatoczył krąg wokół miejsca naznaczonego, zdaniem Jony'ego, śladami walki.

Potem, ku jego ogromnemu zaskoczeniu, z nieba rozległ się głos:

-Joneeeeeeee... - Jego własne imię, tylko zniekształcone, brzmiące jak lament.

Jakże to - nie tylko wiedzieli, gdzie był, ale i kim był? Było to bardziej przerażające od czerwono oświetlonej nory z klatką, od wszystkiego, co widział w kamiennym miejscu, bo tamto było bezosobowe, a to adresowane wprost do niego, jemu zagrażające.

Joneeeeeeee... - Znow ten krzyk.

Czy był to nowy sposób mentalnego sterowania, dosięgania zdobyczy poprzez użycie jej najbardziej osobistej własności, jej imienia? Jeżeli spodziewają się zwabić go w ten sposób, to znaczy, że muszą go uważać za mentalnie sterowanego. A kim są ci, którzy gotowi są grać w stara grę Wielkich?

Trzykrotnie nawolywal go latajacy. Gniew Jony'ego zmienil sie w twarde postanowienie, by ich wytropic, mimo ze nie mogl za nimi podazac w powietrzu. Przyszlo mu teraz do glowy, ze musieli schwytac Mabe, Geogee'a lub oboje i stad wiedzieli o nim. Bezpieczenstwo odeszlo z tego swiata; Jony nie mial na czym polegac z wyjatkiem swego zmyslu, swoich rak i tej pochodzacej z przeszlosci broni, ktora znalazl.

Nie byl na tyle glupi, by sadzic, ze metalowa dzida moze zagrozic statkowi, choc okazala sie tak doskonala w walce z ptakami vor.

Latajacy dal juz chyba za wygrana. Nie krazac juz dluzej, pojazd odlecial prosto. Nie na poludniowy zachod jednak, na co Jony w cichosci liczyl, lecz z powrotem na polnoc. Czy nadal go poszukiwal?

Jony pozostal w ukryciu, dopoki nie ucichlo najlzejsze brzeczenie. Jezeli tamci mieli Mabe i Geogee'a, jezeli klan spotkalo cos straszliwego - on musial sie tego dowiedziec. Uznal wiec, ze jego droga musi wiesc teraz na poludnie, tam gdzie widzial ladujacy statek przestworzy. Stracil juz nadzieje na znalezienie klanu. I, niewatpliwie, wszelkie jego ostrzezenia bylyby teraz wielce spoznione, bezuzyteczne.

Jony potrzebowal odpoczynku; chwial sie juz na nogach i mimo wspierania sie na dzidzie, upadl dwa razy. Nie zrobil sobie zadnego legowiska, nie przygotowal gniazda, zwyczajnie tylko wcisnal sie w gaszcz dokladnie naciagajac galezie, by w ten sposob sie ukryc. Znow mial pragnienie; owoce tylko czesciowo je zaspokoily. Bywaly jednak takie okresy w czasie chlodnej pory, kiedy wsrod Ludu uczono sie, jak przetrwac glod, a nawet pragnienie. Tarapaty Jony'ego nie byly niczym nowym, tyle ze nadeszly w czasie nieodpowiedniej pory.

Ogarnelo go takie znuzenie, ze zasnal. Nawet we snie nie wypuscil dzidy z rak. Raz jeszcze zapadl w sen pelen majakow...

Odwiedzal znow kamienny stos, wspinajac sie po wystepach ku kobiecie z kamienia. Mial z nia stanac twarza w twarz. Bylo to cos, co tylko on sam mogl zrobic, co musial ; zrobic. Nadal bal sie, co nastapi, nie wiedzial, co moze sie zdarzyc.

Stanawszy przed posagiem kobiety - tak jak poprzednio - polozyl swoja dlon na jej wiekszej dloni. Zadrzal na calym ciele. Poczul, jak od tego dotyku zalewa go ogien, lecz nie zeby spalic jego cialo, a raczej by napelnic go potega, ktora - jak to niejasno pojmowal - ma w sobie przechowywac dopoki nie nadejdzie chwila jej zupelnego uwolnienia.

Napelniony ta moca, posluszny rozkazom, ktorych nie rozumial, Jony wkroczył teraz do dlugiej sali kamiennych kolumn, poszukujac spiacego. Kiedy popatrzył w dol, postac pod pokrywa poruszyla sie, reka uniosla sie, by zerwac skrywajaca twarz maske. Tym razem to nie jego rysy sie ukazaly. To byla Maba. Nie taka, jaka znal dotad, ale taka, jaka bylaby w wieku Rutee. Nie zaproponowala mu jednak preta. Dala mu natomiast znak, by podszedl i pomogl jej wyjsc ze skrzyni, stanac na nogi. I to rowniez musial zrobic.

Odrzuciła spowijające ją okrycie, by wyjść na zewnątrz i uśmiechnęła się w sposób, którego u niej nie znał. Był tam cień tego wyrazu twarzy, który przybierała, planując jakąś psotę lub robiąc coś zakazanego - owszem, to pozostało. Lecz nad wszystkim górowała chłodna świadomość potęgi i woli jej użycia.

Uczucie przymusu, które przywiodło tu Jony'ego i skłoniło do pomocy temu, kto nosił twarz Maby, teraz prysnęło. Chłopiec rzucił się, nie żeby zabrać jej pret dla siebie, lecz raczej by porwać tę dziwną, niebezpieczną bronię, odrzucić ją daleko od nich obojga, cisnąć precz z całą siłą, jaką miał w reku. Nie wolno dopuścić do tego, by Maba mogła zrobić to, co planowała. Zrozumiał to.

Bez trudu uchylła się od jego uchwytu. Jej uśmiech się pogłębił, śmiała się. Skierowała na niego koniec preta, a jej słowa zabrzmiały szyderczo:

-Zwierze! Kimże jesteś ty, który osmielasz się powstawać?

Jony poczuł nagle silny, dlawiący go za gardło ucisk. Krzyknął, pochwycił obrożę, by się od niej uwolnić. Tam, gdzie zwisiała kiedyś luźno, teraz była ciasna. Do obroży przywiązany był powróż. A jego plecy, mimo że wyrywał się jak szalony, przyciskano do ziemi, zmuszając do stania na czworakach.

Kobieta, która była Maba, zahaczyła koncem swego preta o pętlę na powrozie i przyciągnęła Jony'ego do siebie. Zasmiała się po raz drugi i odeszła od skrzyni, w której tak długo spoczywała.

-Widzisz - - powiedziała lekceważąco - nie można być jednocześnie zwierzęciem i człowiekiem. Zwierzętami rządzi ludźmi. - Lekko szarpnęła powróż i pociągnęła Jony'ego za sobą. Zaczęła opuszczać się ze stopni, nie patrząc wcale, jak czolgając się u jej stop, podązał za nią na czworakach, zwierzę tak łatwo poskromione.

X

Cała roślinność otaczająca Jony'ego przemoczył uparczywie padający deszcz. Ten sam deszcz zmył wszelkie ślady Ludu, które z miejsca tragedii na otwartym terenie mogłyby gdzieś prowadzić. Czy cały klan został wzięty do niewoli? Jony obudził się po niespokojnej nocy. Spoczynek zakłócał mu osobliwie natarczywy sen, który i teraz nie dawał mu wytchnienia. Przez cały czas przesładowały go żywe wspomnienia podobnie jak wówczas, kiedy w sennych majakach widział spiącego powstającego ze swej kamiennej skrzyni z jego, Jony'ego, a nie z Maby twarzą. Zdawało mu się, że obroża zaciska mu się na szyi. Toteż od czasu do czasu, na wpol świadomie, jego reka wedrowała do gardła, żeby sprawdzić, czy pierścien jest nadal luźny.

Jony nie słyszał dźwięku latającego pojazdu. Pewnie opuścił on już niebo z powodu wietrznej pogody. Wszakże ten sam deszcz i wichura nie zawróciły Jony'ego z raz obranej drogi na południe. Wspiawszy się na kolejne wzniesienie, chłopiec natknął się na to, czego

poszukiwał od czasu, kiedy złowieszczy płomień przeniknął przez nocne niebo.

Ponizej widniała, skierowana z jednej strony na zachód, a z drugiej na południe, dolina przecięta przez spory Strumień. Niedaleko od jego spokojnie płynących wód, Wznosząc się na swych łapach, stał statek przestworzy. Ziemia wokół była zwęglona, szerniała, spopielała przez siłę snopów promieni, które przywiodły statek na lądowisko.

Jony skupił uwagę na statku. Był on jego zdaniem - nie tak duży jak statek Wielkich, chociaż zbliżony do kształtu. Być może większość statków przestworzy, niezależnie od tego, kto je prowadził, była do siebie podobna. Spodziewał się zobaczyć wiodacza z otwartego łuku pochylni, lecz kadłub był gładki, bez żadnego widocznego otworu.

W pobliżu spoczywał latający pojazd, który poprzedniego dnia zmusił chłopca do ukrycia się. Teraz, kiedy Jony mógł mu się przyjrzeć z góry, a nie z dołu, zauważył szereg szczegółów, które pozwoliły mu przekonać się, jaka to skomplikowana maszyna. Na szczycie znajdowała się wygięta w kształcie kołpaka osłona, pod którą - jak sądził Jony - pilot i pasażerowie znajdowali schronienie w czasie lotu.

Na boku stojącego statku widac było jakieś znaki, lecz niewyraźne, jakby stare.

Jony wiercił się zakłopotany. Jego schronienie przed wichurą było niedobre i wydawało się, że nie ma sposobu, by wybadac, co dzieje się ponizej, w szczelnie zamkniętym statku. Zastanawiał się, czy się nie odważyć i nie spróbować przesłania myśli, lecz wahał się jeszcze. Był prawie pewien, że właśnie w ten sposób przyciągnął wtedy uwagę lececego. Ale...

Zesztywniał w jednej chwili. Coś się w końcu zaczęło dziać. Na boku statku pojawił się poszerzający się otwór, podest wyginał się na kształt języka, który coś kosztuje. Uderzył o ziemię, tam zakotwiczył się mocno. Po pochylni zszedł człowiek.

Nie był to Wielki. Jony poczuł ulgę, lecz natychmiast odzyskał swą ostrożną nieufność. Jaki rodzaj ludzi wędruje w przestworzach? Mogli to być mentalnie sterowani. Jeżeli to jednak rod Rutee dotarł tutaj... W takim razie dlaczego ci ludzie zaatakowali Lud?

Maba, Geogee - iluz to członków klanu było tam w dole uwięzionych. Całe ciało astronauty okrywał sięgający skóry ubiór, umocowany wokół rąk i nóg. Stroj ten był zielonobrazowego koloru, co sprawiło, że twarz człowieka wydawała się bardzo ciemna. Włosy miał uczesane w krótki, sztywny pedzel. Najezdźca opuścił się do podnoża pochylni, by tam przystanac, trzymając coś przed oczami i powoli obracając górną część ciała. Jak gdyby obcy - trzymany przez niego przedmiot nie pozwalał Jony'emu dostrzec tego wyraźnie - dokładnie lustrował całe zbcze, na którym chłopiec siedział przykucnięty.

Czy dowiedzieli się jakos, że on tu jest? Czy znów go szukają? Jony, zanim się tu usadowił, oblepił ciało kleistym błotem i liściami, starając się nasładowac dar Ludu do wtapienia się w otoczenie w wypadku zagrożenia. Teraz z bijącym szybko sercem czekał,

az stojący nizej obcy spojrzę wprost na niego.

Co by się wtedy stało? Czy najeźdźcy, gdy przyjdą, by zabrać swego kolejnego więźnia, mogą - tak jak robili to Wielcy - wydzielać w powietrze coś, co uczyni go niezdolnym do obrony?

Jednak obcy tylko przemknął wzrokiem, nie zatrzymując się dłużej na miejscu, gdzie siedział Jony. Nadal lustrował teren. W końcu astronauta opuścił ręce, choć ciągle jeszcze trzymał w nich przedmiot, przez który przed chwilą badał okolice.

Wtedy właśnie nadeszło silniejsze uderzenie ulewy. Obcy odwrócił się i pobiegł w kierunku otwartego luku. Po chwili pochylnia uniosła się i została wciągnięta. Jony nie odczuł jednak ulgi. Statek był teraz klatka, niezawodna, solidna klatka.

Czy powinien był nawiązać kontakt z umysłem tego obserwatora, może mógł nim pokierować! Czy stracił najlepszą sposobność ratowania tych, którzy byli tam wewnątrz? Gdybyz tylko trochę więcej wiedział! Był w stanie rozpracować Wielkich, ponieważ bacznie ich obserwował, studiował z całym skupieniem, którego nauczyła go Rutee. Jony wiedział bardzo dobrze, że podejście skuteczne wobec jednych żyjących istot było nieprzydatne w wypadku innych. Ten obcy mógł się wydawać spokrewniony z nimi z racji fizycznego wyglądu, ale to nie znaczyło, że był nim w rzeczywistości.

Jony wycofał się ze swego punktu obserwacyjnego. Nadal był nieufny. Niewykluczone, że obserwator wykrył go, lecz sprytnie to zamaskował swoim zachowaniem. Lepiej było stąd odejść i znaleźć inne miejsce, skąd można będzie obserwować statek z ukrycia.

Czołgając się do tyłu, znowu zatrzymał się jak wryty. Ktoś z Ludu - i to niezbyt daleko! Jony usiadł, pewien, że znalazł się już na tyle daleko w glebi gaszczu, by ująć uwagi statku i zaczął się wpatrywać w stronę, skąd do jego umysłu dobiegł ledwo uchwytny, niewyraźny kontakt. Minal czas równy kilkunastu oddechom, zanim oczy Jony'ego odrozdniły czajaca się postać od kryjącej ją gestwiny. Otik!

W pierwszym odruchu Jony chciał podejść do towarzysza, by dowiedzieć się, co się stało z resztą klanu i z bliźnietami. Przypomnił sobie jednak aż nadto dobrze rozstanie z Otikiem. Reka powędrowała do obrozy; pierwszy gest musi należeć do Otika, tego Jony był pewien.

Otik wiedział o obecności Jony'ego, prawdopodobnie miał go cały czas pod obserwacją, wtedy kiedy sam Jony z kolei obserwował z ukrycia statek. Otik odwrócił teraz głowę i zwrócił oczy na chłopca. Znajac Lud tak dobrze, Jony nigdy nie nauczył się odczytywania żadnych z wyrazu ich twarzy. I teraz nie umiałby powiedzieć, czy Otik zgodziłby się na kontakt.

Mając do czynienia z Ludem, pierwszą rzeczą, której trzeba się nauczyć, jest cierpliwość. Żyją oni na ogół powoli, robią wszystko z namysłem i Jony rzadko widywał żeby się spieszyli. Czekal więc, odpowiadając spojrzeniem na nieporuszony wzrok Otika.

Siedzacy w kucki Otik ruszył naprzód, nie podniósł się jednak, lecz poruszał się na czworakach, używając rąk jako łap, tak jak jego przodkowie na ściennych obrazach.

Zbliżał się powoli, z rozmysłem. Na pasie przelozonym przez grube ramie wisiała siatka, kija jednak nie miał.

Zatrzymał się w odległości kilkunastu długości ramienia, przysiadł na piętach z rękami zwisającymi luźno między kolanami. Otik był pierwszym młodym Yai urodzonym kilka por wcześniej, zanim przyszła ona z pomocą Rutee. Jak dotąd nie osiągnął jeszcze ani masy, ani siły Voaka czy Kapoora, choć w przyjacielskich zmaganiach mógł pokonać Trusha. Gdyby, tak jak zawsze w tym okresie roku, klan spotkał się z innymi rodzinami, Otik mógłby z powodzeniem rozglądać się już za partnerką.

Samiec siedział w kucki, nie przestając się wpatrywać. Jony w duchu walczył z niecierpliwością. Pragnął sygnalizować pytanie, domagać się wszystkich informacji, jakich mógłby udzielić Otik. Czy inni uciekli? Co się stało tam, na tym kawałku zdeptanej trawy? Musiał jednak czekać, aż Otik zaakceptuje go lub odrzuci.

Łapy drgnęły. Otik gestykułował pochrzakując, jakby dla podkreślenia wagi tego, co miał do powiedzenia.

-Ty isz latająca rzecz? - Nadal temu zdaniu formie pytania, nie stwierdzenia.

Jony przesunął dźwignię, by móc poruszać palcami w odpowiedzi. Starł się, by jego ruchy były możliwie jak najwolniejsze.

-Nie isz, jeszcze nie.

-Twój klan, oni isz - - ciągnął Otik.

Jony'emu przeszkadzało, że twarz jego rozmowcy pozostawała bez wyrazu, że równie mało mógł wyczytać ze sposobu zachowania się Otika, co i z myśli kryjących się za tymi wielkimi oczami. Az do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak zniechęcające mogą być tak ograniczone możliwości porozumiewania się. Codzienne życie klanu było tak mocno oparte na konieczności zdobycia jedzenia, znajomych czynnościach, na rutynie, którą znał od lat, że nie było potrzeby, by tworzyć jakies nowe sposoby przekazywania wiadomości spoza kregu tych podstawowych spraw.

-Nie mój klan - wybrał najlepszą i najprostszą odpowiedź, jaką mógł wymyślić. - Gdzie Maba, Geogee? - Imiona dzieci wymówił głośno, wiedząc, że Otik rozpozna te dźwięki, tak jak odróżniał i starał się naśladować dźwięki, za pomocą których rozpoznawano każdego członka klanu po imieniu.

-Z twoim klanem - odpowiedział Otik nieustraszenie - ci, co przyjdzie z nieba. - Przestał nadawać słowa i przy pomocy łap odgrywał to, co zaszło. Palcami jednej ręki postukiwał w ziemię;

ani chybi był to wedrujący klan. Druga dłoń płasko rozpostarta rzuciła się z góry do ataku, na te grupki, przez chwilę zawisając nad nią w powietrzu. Potem palce przedstawiające Lud zwiotczały, upadły na płask. Reka przedstawiająca latający pojazd zagarnęła je i uniosła. Obie ręce na powrót sygnalizowały: - To Otik wiedzieć.

Jony zwilżył wargi koncem języka. Musiał zadać następne pytanie, ale obawiał się odpowiedzi.

-Martwi? - zapytał.

Otik wykonał gest znaczący "niepewne", a potem, wahając się, dorzucił drugi: "spac".

Najpewniej ci ludzie z kosmosu mieli takie sposoby oszalamiania, jakich używali Wielcy. Jony wierzył z całego serca, że tak właśnie było.

-Kto? - Jeżeli Otik uciekł, to może i innym się to udało?

-Voak, Yaa - Otik wyszczerzył dwa znane Jony'emu mu dźwięki, dodał dwa dalsze imiona.

A więc razem czwórka, jak również i bliźnieta. A reszta...?

Nie musiał pytać, gdyż Otik sam już gestykulował, przekazywał wiadomość, że są w ukryciu, obserwują. Jakże jednak mogli mieć nadzieję na wydostanie swych współtowarzyszy ze szczelnie zamkniętego statku? Naprawdę niewielka, pomyślał Jony.

-Ty iść do twojego klanu - Otik powtórzył swoje wcześniejsze oskarżenie, a może było to tylko proste stwierdzenie faktu, jakim go Otik widział?

-Nie mój! - Jony wykonał gest zdecydowanego zaparcia się.

Ręce Otika znieruchomiały. Czy uwierzył? Jony nie miał żadnego dowodu na to, co powiedział. Choć był w tej chwili pewien, że powiedział prawdę.

Przez dłuższą chwilę Otik po prostu siedział i przyglądał się chłopcu. Potem wykonał jeden z tych szybkich, błyskawicznych ruchów, które mogą zaskoczyć u Ludu dobrze znanego ze spokojnego, powolnego sposobu bycia. Zanim Jony się zorientował, Otik miał w ręku jego nową dzidę.

Proba odebrania jej byłaby bezowocna. Jony od razu to pojął. To co zrobił Otik, miało złowrobną znaczenie. Gdyż dzida należała do tego, kto ją wykonał i nikt inny nie powinien brać jej do ręki.

-Ty dostać, gdzie? - sygnalizował Otik jedną ręką, drugą ściskając mocno dzidę.

-Znaleźć przy bieżącej wodzie. Długi czas w piasek - odrzekł Jony.

Otik, wodząc palcami wzdłuż pełnego zagłębienia metalu, badał z uwagą znalezisko, podniósł je nawet do nosa! i obwachał od góry do dołu.

-Rzecz, starodawne miecz - oznajmił.

-Ja znaleźć to w piasek, przy biegnąca woda - odparł Jony, gestykulując z całą mocą, na jaką mógł się zdobyć. Nie mógł pozwolić, by Otikowi przyszło do głowy, że on. Jony, powrócił do kamiennego miasta i tam plądrował.

Siedziba z kamieni! Zaszwił mu w głowie dziki pomysł, z którym na pewno nie zgodziłby się nikt z klanu. Jaka szansa miał klan tylko ze swą fizyczną siłą i drewnianymi kijami przeciwko broni, jaka musieli posiadać ci ze statku? Lecz założmy, że członkowie klanu mieliby prety takie jak ten, który trzymał spiący czy ten, z którym Geogee miał tak fatalne doświadczenie? Promień z jednego preta mógłby zwalić latający pojazd, mógł nawet wyciąć otwór w ścianie statku, tak by atakujący mogli się tam dostać.

Pomysł gonił pomysł. Jony oddychał szybciej, a jego palce wyginały się, jak gdyby gotowe do pochwycenia przerazającej broni zaraz, teraz.

Otik wydal z siebie dźwięk przypominający trąbienie, co przywróciło Jony'ego do przytomności, wytraciło z myślenia. Chłopiec zdał sobie sprawę, jak małe są szanse, by spełnić te jego rojenia o sukcesie.

Otik tymczasem odłożył metalową bronię. Raz jeszcze zmierzył Jony'ego badawczym spojrzeniem. Potem zaczął nadawać, poruszając rękami.

-Ty znac rzecz na pomoc - znów nie pytanie, lecz stwierdzenie.

Zdumienie Jony'ego było całkowite. Jak Otik to odgadł? Czy mogło być tak, że choć Jony nie mógł czytać w umysłach Ludu, oni sami nie mieli takich trudności? Taka myśl była dość przerazająca.

-Ty wiedzieć - powtórzył Otik. - Ja wiesz, ty wiedzieć. Jaki rzecz?

Wiesz? Jony był zbity z tropu. Jak można wiesz myśli? Była to możliwość, która go oszłomiła, lecz nie miał teraz czasu, by się w to wglębiać.

-Rzeczy w miejsce kamienne - podjął decyzję. Otik mógł na to odpowiedzieć tylko tak lub nie. - One być lepsze od kije. Być jak rzeczy na statek.

Otik w ogóle nie odpowiedział. Zamiast tego - znów na czworakach - powrócił w głąb, zostawiając Jony'ego samego. To najpewniej już koniec jakichkolwiek kontaktów z pozostałą na wolności częścią klanu - skonstatował Jony niewesoło. Pierwsze o czym pomyślał, to zabezpieczenie metalowej dzidy. Druga myśl, to był znów ten szalony pomysł, by zrobić użytek z tego, co można było znaleźć w podziemnym magazynie.



Lecz te kamienne jaskinie lezaly na polnocy. A jezeli Maba i Geogee zdazyli juz powiedziec ludziom o tym, co znalezli w podziemiach? Jesli tak, astronauta moga z latwoscia przeleciec te odleglosc, wziac, co im bedzie potrzebne i wrocic, zanim Lud czy Jony, pokonaja na piechote polowe drogi.

Maba byla tak bardzo podniecona tym, co znalazla. Jony z latwoscia mogl sobie wyobrazic, jak opowiada wszystko przybyszom. A moze Maba byla wiezniem?

Jony czuwal w napieciu. Jakis ruch wokol niego. Otik, a z nim i inni, zblizali sie, otaczajac go prawie ze wszystkich stron. Jedyna przerwa pozostawiona w zamykajacym sie wokol niego pierscieniu wiodla w dol stoku, wybranie tej drogi ucieczki oznaczalo wystawienie sie na widok tych ze statku. Mozna bylo tylko czekac.

Propozycja zlozona Otikowi mogla wywolac gwałtowna reakcje.

Reka Jony'ego powedrowala do luznej obrozy. Zbyt dobrze pamietal te ukryte w jej wnetrzu kly, ktore Voak pokazal mu jako ostrzezenie. Z drugiej strony wiedzial, ze nie ma ucieczki od maszerujacego stale naprzod klanu, nie mogl tez uzyc swej broni przeciwko nim - przenigdy!

Otik, potem Trush, Huuf, dwie z mlodych samic - Itak i Wugi zadnego ze strasznych czlonkow klanu. Jony niewiele dzialalby nawet przeciwko Itak i Wugi; nie mogl wybrac walki.

Nowo przybyli, nasladujac Otika, kucneli z bronia w zasiegu lap, gotowi do jej pochwylenia wprawnym chwytem. Otik trzymal w garosci co innego: zwoj poowrozu, ktorego uzywali do plecenia siatek. Mow - nadal Otik.

O swych szalonych planach, by wyruszyć po zdobycz do magazynow posrod kamiennych murow? Jony mogl sie tylko domyslac. Gestykulowal wolno, starajac sie za kazdym razem upewnic, czy wybral najbardziej odpowiedni znak, by przekazac znaczenie slow. Zeby tylko pojeli i uwierzyli w to, co powiedzial.

Opowiadal o swej wyprawie do wielkiej jaskini, o wielu dziwnych rzeczach tam spotkanych. Na koniec - o precie Geogee'a i o tym, jak wrywal bron chlopcu, jak w czasie tej szamotaniny pret ow niespodziewanie wystrzelil z ogromna moca. Czy uwierza w natychmiastowe znikniecie trafionych przedmiotow, Jony mial watpliwosci.

Wysluchali, lecz czy zrozumieli?

Kiedy skonczyl, nikt nie przekazal mu zadnej odpowiedzi. Rozmawiali natomiast miedzy soba. Jony, zostawiony sam sobie, jak zwykle zbity byl z tropu tym szeregiem dziwnych dzwiekow, ktore dla niego i jemu podobnych nie znaczyly nic. Kazdy z czlonkow klanu po kolei wnosil swoje uwagi. Pozniej, choc Jony nie byl pewien, co powiedziano, wyczul, ze ostateczny werdykt nie byl dla niego pomyslny.

Siegnął po swą broń, choć był pewien, że nigdy nie obróci jej straszliwej mocy przeciwko Ludowi. Lecz Otik położył łapę na dzidzie i zabrał ją. Na koniec wstał, gorując nad Jonym.

Gdy Jony próbował unieść się, by stanąć przed nim, przytrzymał go w miejscu Trush, kładąc mu swe ciężkie łapy na ramionach. Otik odwinał powróż, przeciągając jego przez obrozę, i zrecznie zawiązał jednym ze stosowanych przez Lud węzłów.

Szarpnął, przeciągając krawędź obrozy do szyi Jony'ego, jak gdyby udzielał mu w ten sposób ostrzeżenia. Odwrócił się potem i ruszył naprzód, a Jony, już teraz uwolniony z uciskających go łap Trusha, musiał podać za nim. Oczywiście było, że zamiast polepszyć - pogorszył całą sprawę. Był teraz zły na swą głupotę, jaka było wygłoszenie tej propozycji. Musiało to w nich wyzwolić głęboko zakorzenioną wściekłość na dawnych ciemnościach i skierować ją przeciwko niemu.

Klan nie miał obozowiska, lecz ułożył się w miejscu pokrytym grubą warstwą gąszczu dającego osłonę krzaczakom w gorze pojazdem. Było tam jeszcze czworo członków klanu oczekujących na powrót oddziału Otika - trzy samice i stary Gorni, który był kiedyś wodzem, a kiedy utracił siły, zrezygnował na rzecz Voaka.

To do niego podszedł Otik, schylił się i włożył smycz Jony'ego do łapy starca. Jedno z oczu Gorni'ego było pokryte bielmem, toteż musiał lekko odwracać głowę, żeby widzieć coś, co było na wprost niego; zrobił tak i teraz.

Spojrzał, nie użył jednak języka znaków; zamiast tego mocno pociągnął za smycz, a obroza znów bolesnie wpila się w ciało Jony'ego. Na ten gwałtowny rozkaz, by usiąść, Jony, szarpnięty, upadł.

Otik położył też przed starym metalową dzidę, jak gdyby miała stanowić jakiś decydujący dowód. Lecz Gorni ledwie rzucił na nią okiem.

Wolna reka Gorni zaczął nadawać bardzo wolno.

- Teraz ty czworonóg. Ty robisz, co Lud mówi. Ty nasza rzecz. - Wskazał wiszącą na swym ramieniu siatkę z owocami. - To rzecz, Lud mieć. Ty jak ta rzecz ty nie jak Lud, ty tylko rzecz!

Jony chciał chwycić obroże obu rękami, wyrwać ją staruszkowi. Wiedział jednak, że lepiej będzie nie ruszać się. Był teraz "rzeczą", może i przydatna klanowi w jakiś sposób, lecz pozbawiona prawa, by być Jonym.

Znow zaplonał gniewem, gniewem, który za młodu poznał w kłatkach Wielkich. Potrafił jednak dostrzec intencje Ludu. Nie ufali mu. Przecież ich towarzyszy porwali astronauty o wyglądzie Jony'ego, przypominający tych z obrazów w podziemiach i kamienna kobieta? Możliwe, że Lud zawsze lekał się przemiany Jony'ego we wroga. Znosili go, gdy był mały, podobnie jak znosili bliźnięta jako słabe, bezradne istoty, których nie ma potrzeby się obawiać. Później, kiedy Jony przeszukał kamienną siedzibę, wzbudziło to w nich strach, że dawne dni mogą powrócić. Wówczas, na domiar złego, zjawił się statek przestworzy i porwał towarzyszy z klanu. Lud robił tylko to, co mógł, by się chronić.

Co gorsze, swoją propozycją, by wybrać się do podziemnych magazynów, Jony musiał w nich wzbudzić obawę, że zamierza przejąć władzę. Te części jego przemowy o znalezieniu pretów o potężnej mocy odrzucili niewatpliwie jako rozmyślane kłamstwo lub jako oznakę, że on, Jony, ma ich w pogardzie.

Spoglądając na niewzruszoną twarz Gorniego, a potem patrząc na wszystkie twarze stojących wokół niego, Jony nie widział sposobu, by przekonać ich o swojej niewinności, o tym, że nie ma zamiaru ich krzywdzić. A jednak musiał odzyskać ich zaufanie!

Statek mógł odlecieć, zabierając ze sobą w dalekie, nieznane przestworza członków ich własnego klanu i bliźnięta! Ale wszystkim Lud musi znaleźć jakiś sposób, żeby temu zapobiec,

choc Jony nie widzial teraz zadnej nadziei na uwolnienie wiezniow.

## XI

Gorni wypuscil z rak smycz Jony'ego tylko po to, zeby innym mocno trzymajacym wezlem przywiazac ja do mlodego drzewka na tyle silnego, by oparlo sie wszelkim probom zlamania. Chlopiec musial przyjac do wiadomosci, ze jak na razie jest bezsilny. Nie wierzył jednak, ze to koniec, ze klan stale bedzie go traktowal jak "rzecz", ze nie uda mu sie znalezc jakiegos sposobu uwolnienia uwiezionych na statku. Gdyby mogl skontaktowac sie z Maba i Geogee'em... Tak jak kiedys Rutee uczyla go i przygotowywala do dnia, w ktorym uda mu sie uwolnic, tak i on teraz moglby cos zdzialac i dzieki swej koncentracji sklonic bliznieta do pomocy.

Wugi zblizyla sie, by polozyc na ziemi dwa owoce i garsc nasion trawy zawinietych w lisc. Nawet "rzecz" trzeba bylo zywic. I Jony zarlocznie pochlonal swoja porcje.

Jego metalowa dzida lezala nadal na ziemi kolo Gorniego. Starzec nie wykonal najmniejszego ruchu, by ja obejrzec, tak jak to zrobil Otik. Jony pozadliwym wzrokiem mierzyl ostrą krawedz haka. Za jego pomocą moglby latwo przeciac smycz, uwolnic sie. Lecz dokad poszedlby, co robilby?

Zzerala go taka niecierpliwosc, ze az chcial walic rekami w mokra trawe, wykrzyczec swa rozpacz i bezsilnosc. Gdyby tylko mogl cos zrobic, by go zrozumieli. Skupic sie na statku? Czy taki kontakt umyslow przywiodlby j astronautow?

Powrocil Otik. Byl gdzieś w gaszczu, może znowu szpiegowal najezdzcow. Podszedl wprost do Gorniego i przekazal mu jakis meldunek. Jony obserwowal ich i bardzo pragnal cos zrozumiec z tej rozmowy. Gdyby mogl sie z nimi tak wprost porozumiewac, wytlumaczyliby im, jakim szalenstwem bylo nie sluchac go. Nie mieli, jak przypuszczal, zadnego pojecia o broni i przyrzadach, ktorych mogliby uzyc ludzie ze statku. Jony sam tez niewiele wiedzial. Cala jego wiedza, to strzepy tego, co przekazala mu Rutee, sama tez slabo z tymi sprawami obeznana. No i to, czego dowiedzial sie, przebywajac w laboratorium Wielkich. Lecz nawet tak szczatkowa wiedza byla bez porownania wieksza od wiadomosci posiadanych przez Lud.

Obaj, Gorni i Otik, mierzyli teraz wzrokiem Jony'ego.

Domyslal sie, ze to, o czym mowili, mialo z nim zwiazek. Na koniec Otik podszedl do drzewka, odwiazal wezel i szarpnieciem dal znac Jony'emu, by ruszyl. Slyszac, ze ktos go wola, Otik odwrocil glowe.

Wugi, owinawszy palce liscmi, by nie dotykac golego metalu, podniosla dzide Jony'ego. Trzymajac bron jak ktos, kto pozbywa sie jakiegos obrzydlistwa, podala ja Otikowi. Jasne bylo, ze bron nie moze tu pozostac.

O ile Wugi wolala nie dotykac dzidy, o tyle Otik nie mial takich skrupulow. Nie mial swego kija. Moze, niezaleznie od opinii klanu, Otik zywil ukryte pragnienie, by zatrzymac te dzide dla siebie. W kazdym razie ochoczo wzial ja do reki. Pozniej, nastepnym szarpnieciem, lecz bez zasygnalizowania rozkazu (jak gdyby Jony utracil rozum i nie mogl takiej rzeczy pojac), Otik pociagnal Jony'ego za soba, wysunal sie z gaszczu

mieszczącego niewielkie obozowisko i skierował się z powrotem w górę zbocza.

Deszcz przestawał padać i choć tu, na otwartym terenie, chwilami zaczął i siekł w nich wraz z podmuchami wiatru, to przynajmniej niebo trochę pojasniało. Jony widział teraz statek i stojący obok niego latający pojazd wyraźniej niż poprzednio. Pochylnia była znowu opuszczona, a na jej samym dole stała grupka postaci. Astronauci mieli teraz jakies nakrycia głowy, co nadawało im nienaturalny wygląd, jak gdyby byli rasą równie obca jak Wielcy. Lecz ta mała figurka wśród nich - nawet z tej odległości i rozpoznał w niej Mabe!

Na tyle, na ile mógł zauważyć, nie była pod żadnym nadzorem, lecz poruszała się swobodnie wśród tych przybyszów z innego świata. Widział wyraźnie jak typowym dla siebie przesadnym gestem wyrzuciła do przodu ramie, pokazując palcem na północ. Opowiadała im o kamiennym miejscu?

Ale dlaczego Maba była wolna? Mentalnie sterowana? Wściekłość Jony'ego rozgorzała na nowo, zwracając się teraz ku najezdźcom. Żeby Maba tak kierowano! Stało się to, przed czym Rutee zawsze tak strzegła swoich dzieci.

Powodowany gniewem Jony wysłał szybka sondującą myśl, usiłując dowiedzieć się, na ile panowano nad dziewczynką. Czy umysł Maby pozbawiony został jej własnych myśli? Czyż i ona stała się bezwolna na podobieństwo tych pustookich więźniów Wielkich, kroczących na oslep przez tę namiastkę życia, która ich właściciele pozwolili im zachować?

Jego myśl nie napotkała żadnej przeszkody, żadnego śladu

sterowania! Jony wyostrzył swa pozazmyslowa moc, przewidujac opor, lecz zamiast tego ostrze jego wniknelo wprost do strumienia mysli Maby, jej wlasnych mysli. Maba! Jony byl podniecony odkryciem, ze nie doszlo do najgorszego. A moze moglby wszczepic jej teraz mysl o ucieczce, o pomocy?

Z przejeciem obserwowal mala figurke. Jej ramie opadlo miekko, bezwladnie, zachwiala sie i chyba upadlaby na ziemie, gdyby nie zlapal jej i nie podtrzymal jeden z astronautow. Jony wlozyl zbyt wiele sily w ten kontakt. Wycofal sie natychmiast, lecz rozsadek powrocil zbyt pozno i Jony swiadomy byl teraz niebezpieczenstwa.

Najezdzca, ktory podtrzymywal Mabe, szybkimi ruchem wzial dziewczynke na rece i pobiegl w gore pochylni do wnetrza statku. Dwaj jego towarzysze nie poszli jednak za nim, lecz skierowali sie do latajacego pojazdu, tak szybko wskakujac do srodka przez otwor, ktory pojawil sie w kulistej pokrywie, jak gdyby uciekali przed jakimis atakiem.

Jony domyslal sie, ze uswiadomili sobie jego probe kontaktu z Maba, ze znow zaczna go poszukiwac. Odwrocil sie do Otika; trzeba, zeby samiec zrozumial, ze obecność Jony'ego sprowadzi teraz klopoty na glowy Ludu.

Sygnalizowal z cala powaga i moca, jakie umial wlozyc w swe przeslanie:

-Tamci wiedziec ja tutaj. Oni polowac, oni tropic...

Otik pokrecil lekko glowa, co oznaczalo obojetnosc.

-Nikt nie znajezc Lud, Lud byc ostrzezony - odparl.

-Oni znajezc. - Nadajac, Jony zwracal rownoczesnie uwage na pojazd. Polkula byla zamknieta, maszyna rowno wznosila sie w powietrze. Oni miec sposob.

Czy udalo mu sie sklonic Otika do uwaznego wysluchania? Jezeli nie, to Lud bedzie prawdopodobnie skazany na ten sam nieszczesny los, ktory spotkal Voaka, Yae i pozostalych.

-Ty isc tam, ja pokazac...

Ku uldze Jony'ego.Otik puscil smycz, pokazujac metalowa dzida na odcinek grzbietu z dala od miejsca, gdzie skrywal sie klan.

Jony puscil sie pedem i przemykajac pod tworzacym rodzaj stropu gaszczem, skierowal pogon w miejsce naprawde oddalone od klanu. Nie bylo nadziei, by Lud ze swoja bronia mogl sprostac obcym. Lecz Jony zamroczyl juz kiedys umysl Wielkiego i teraz moglo mu sie udac to samo z nowymi najezdzcami. Jesli uniknie wykrycia swej obecności - a byl pewien, ze tak - bedzie mogl skierowac sie z powrotem do kamiennej siedziby i uzbroic sie w najpoteczniejsza bron, jaka tam znajdzie. Chyba ze z pomoca Maby, obcy beda tam pierwsi.

Dlaczego Maba pomagala najezdzcom, skoro nie byla mentalnie sterowana? Pytanie to przesladowalo Jony'ego ale nie mogl teraz poswiecic dosc czasu takim problemom. Musial uzyc calego sprytu, by uciec temu latajacemu pojazdowi, ktorego brzezzenie stawalo sie coraz glosniejsze.

Zwisajaca z tylu smycz zaczepila sie o krzak z szarpnieciem,



które o mało nie zwałilo go z nog, sprawiając, że obroza wbiła mu się w szyję. Jony oderwał luzny koniec powrozu, a reszta okrecił sobie wokół pasa, nie mając teraz czasu na rozplatywanie węzła przy obrozy. Grunt był tu nierówny, a glina rozmyta przez deszcz; na sliskiej, mazistej powierzchni Jony dwa razy stracił równowagę i upadł.

Trzymał się w ukryciu dzięki zrecznosci nabytej w krainie ptaków vor. Brzeczzenie nad głową nie cichło jednak; najwidoczniej podawali za nim, jak gdyby na własne widzieli każdy jego ruch, każdy unik, wyminiecie przeszkody.

I wtedy...

Jony potknął się, nogi odmówiły mu nagle posłuszeństwa. Uczucie słabości, odpływania, wywołało wrażenie, że już nie tyle biegnie, co unosi się na poruszającym powietrzu... Zrobił ostatni rozpaczliwy wysiłek, by nie stracić przytomności i... zapadł się w nicosc.

Bolała go głowa. Bol był tak silny, tak potężny, że rozsadał nie tylko czaszkę, ale wypełniał całe ciało. Równocześnie Jony miał gorycz w ustach, mdłości i zbierało mu się na wymioty. Kiedy ten napad minal. Jony starał się leżeć bardzo spokojnie i wówczas bol zdawał się odrobine słabnąć.

Otworzył oczy i zaraz je szybko zamknął, gdyż światło (oslepiające światło, które nie miało w sobie nic z blasku słońca) klulo w oczy niby ostrze, zwiększając bol w głowie. Dźwięki...

Jony starał się skupić na nich całą uwagę. Czy to wiatr w trawie i zarosłach? Nie, to raczej jakiś pomrukujący głos; Jony nie zdobył

sie na wysilek, by odroznic ciche, niewyraźnie dochodzace slowa.

Wonie, zapachy...

Jony zesztynial, powrocil dawny lek. Kiedys, dawno temu, nawykly byl do takich zapachow. W laboratorium Wielkich. Byl wiec tam, byl tam z powrotem! Poczal drzec ze zgrozy.

Widziec, musial widziec! Zmusil sie, by otworzyc oczy, wytrzymac bol wywolany oslepiajacym swiatlem. Nad nim rozciagalo sie cos gladkiego - nie bylo to niebo. Musial sie znalezc w latajacym pojezdzie, a moze nawet na statku!

Zadawniona nienawisc do klatek powrocila z cala sila. Kiedy powoli odwrocil glowe, odkryl, ze lezy wyciagniety na czyms, czego nie mogl dostrzec. Na wprost niego widac bylo wyposazenie laboratoryjne.

-NIE!

Mozliwe, ze wydal jakis glos, gdyz w jego ograniczonym polu widzenia pojawila sie postac, ktos stanal w zasiegu reki. A twarz obcego, ktory pochylil sie, obserwujac chlopca, nie byla twarza Wielkiego. Ani nawet mentalnie sterowanego. Zbyt wiele bylo w tych oczach inteligencji, wyraz tej ciemnej twarzy byl zbyt czujny i rozumny. Byl to bez watpienia jeden z astronautow.

-Jak sie czujesz?

Jony zamrugal. Rozumial slowa, tylko akcent roznil sie od akcentu mowy, jakiej nauczyla go Rutee i w ktorej porozumiewal sie z bliznietami. Lud Rutee?

Czyniac wysilek, który wydawał mu się ogromnie wyczerpujący, Jony w odpowiedzi wolno zapytał:

-Kim... jesteś...?

Obcy kiwnął głową potakująco, jak gdyby sam fakt, że Jony może mówić, był pocieszający.

-Jestem Jarat, medyk.

-Jestem na statku - nie zabrzmiało to jak pytanie; Jony był już pewien odpowiedzi.

-W ambulatorium, tak.

-Maba... Geogee... - zawahał się, dodając sobie odwagi niepewny, czy zdoła się na ostatnie, najważniejsze pytanie. Czy nie wzbudzi to podejrzeń tego, medyka (cokolwiek to słowo oznaczało)? - Lud...?

Maba i Geogee są z nami, bezpieczni - odpowiedział Jarat.

Nie powiedział jednak nic o Voaku, o Yai, o pozostałych. Czyżby nie żyli?

-Jak on się czuje? następny stanął obok by spojrzeć w dół na Jony'ego. - Czy może już odpowiedzieć na pytania?

-Daj mu najpierw przyjść do siebie, Pator, jak działają środki odurzające...

Ten, do którego zwracał się Jarat, był wyraźnie zniecierpliwiony, pomyślał Jony. Chciał go wypytywać. - o Lud? O kamienna

siedzibe? W tej chwili Jony postanowil: nie bedzie odpowiadac na zadne pytania, dopoki nie dowie sie, co sie stalo z Ludem, dopoki nie powie mu, czy on sam jest teraz wiezniem w miejscu, ktorej bardzo przypominalo mu dawna niewole.

Jony zacisnal usta i odpowiedzial przybyszowi wrecz wyzywajacym, gniewnym spojrzeniem. Czy nowo przybyly zrozumial to jego niechetne zachowanie, Jony niemogl tego dociec. W kazdym razie wycofal sie z zasiegu wzroku chłopca, zostawiajac Jarata samego.

Medyk trzymal w reku cos, czym dotknal ramienia Jony'ego. Dotyk nie byl bolesny, zlagodzil natomiast bol glowy, przyniosl ulge odczuwalna na calym ciele. Jony podswiadomie odprezyl sie, rozluznil.

-Tak lepiej? - Jarat nie czekal na odpowiedz. - Teraz wez to...

Przylozyl do ust chłopca rurke, a ten wcale nie majac na to ochoty, wzial ja w usta.

-Wez solidny lyk - rozkazal Jarat.

Jony posluchal. Poczul cieply, smaczny plyn i przelknal go. I to rowniez wywolalo przyjemna reakcje w calym ciele.

-Zdrzemnij sie - Jarat usmiechnal sie. - Kiedy znow sie do nas przylaczysz, bedziesz czuc sie znacznie lepiej.

Byl tak apodyktyczny, jak gdyby sterowal mentalnie Jonym. Oczy chłopca zamknely sie i prawie od razu zasnal. Tym razem spal bez snow.

Kiedy zbudził się ze snu, światło nad nim było takie samo. Nie odczuwał jednak bólu głowy, był wypoczety i pierwszy raz od dawna - odprezony. Unosząc się na łokciach, uważnie rozglądał się dookoła. Miejsce, w którym leżał, miało część wyposażenia, jakie pamiętał z laboratorium, ale wszystko było wykonane w mniejszej skali. No i nie było tu klatek. Przekonawszy się o tym, Jony wydal gwałtownie westchnienie ulgi. Spodziewał się bowiem ujrzeć Lud pozamykany i oczekujący na meki, jakie obmyślają dla nich ci, którzy ich pojмали, zniewolili i nekali, tak jak Wielcy nekali ludzi podobnych Jony'emu.

Głowe miał lekka i trochę mu się w niej krecilo; czuł się jak ktoś, kto od dawna nic nie jadł. Mogł jednak usiąść i opuścić podrapane i posiniaczone nogi z krawędzi przypominającego polkę miejsca, na którym leżał.

Zdjął mu spodniczkę i ... - gwałtownie podniósł ręce do gardła. Obroza! I ona zniknęła. Nagi stanął przy polce i trzymając się jej ręką, rozglądał się dookoła. Było tam wiele skrzyń, polek z różnymi rzeczami, których nie umiał nazwać. Lecz na ile zdążył się zorientować, nie było tam nikogo.

Jony spróbował zrobić kilka kroków, nadal trzymając się polki. Był silniejszy, mógł już sobie radzić. Rezygnując z podpory, zaczął okrążyć kabine, chcąc znaleźć drzwi. Nie miał pojęcia, czy uda mu się uciec ze statku. Nie można być niczego pewnym, zanim się nie spróbuje.

Dotarł właśnie do jednej ze ścian pozbawionej polek, na której nie dalo się jednak zauważyć żadnego wyjścia, kiedy usłyszał cichy dźwięk. Poszukiwane drzwi pojawiły się wprost przed nim tak nagle, że stanął jak wryty, pełen najczystszej zdumienia.

Stal tam astronauta, który nazywał siebie Jaratem. Przez parę sekund jego zdziwienie było równe zdumieniu Jony'ego. Potem usmiechnął się i szybko wszedł do środka, a szpara zamknęła się za nim, choć nie wykonał żadnego gestu zamykania.

-A więc nie tylko się obudziłeś, ale znowu jesteś gotów do życia, Jony?

-Skąd znasz moje imię? - Jony był jakos dziwnie rozdrażniony tym powitaniem. Ta pewność siebie sprawiała, że w trudny do określenia sposób poczuł się mały i bardzo młody, traktowany na równi z bliźnietami.

-Maba, Geogee. Czy rozumiales, że się do nas przyłączyli?

Jony zaczął się cofać, dopóki nie poczuł za sobą polki, o którą się oparł.

-Nie przyłączyli się do was - powiedział. - Wzieliście ich do niewoli. Tak jak Wielcy zwykli brać swoich więźniów. Co z nami zrobicie?

-Zabierzemy was do domu - odparł Jarat.

Tu jest dom. - Bo był to dom dla niego, Jony'ego, dla bliźniat. Sam Jony tak długo był na statku Wielkich, że nie znał innego zewnętrznego świata oprócz tego.

-Wiesz, jesteś człowiekiem - Jarat mówił ciągle tonem, jakim pociesza się dzieci. - Z tego, co powiedziały nam bliźnieta, wynika, że ty i twoja matka uciekliście ze statku Zhalanow, w którym trzymali oni niewolników. Dzieci urodziły się tu, ale to nie

jest wasz świat.

Jarat wyciągnął spod pachy zawiniatko z ubraniem i położył je na polce obok Jony'ego.

-Przyniosłem ci stroj, jaki nosimy tu, na statku. Powinien na ciebie pasować, przymierz. Kapitan Trefrew chce z toba rozmawiać tak szybko, jak tylko będzie można.

Jony przysunął zawiniatko do siebie. Jeżeli to włoży, utożsamia się w ten sposób z ludźmi ze statku. A Yaa i Voak, co z nimi? Może, jeżeli uda posłusznego rozkazom, nie tylko będzie mógł odkryć, co się stało z członkami klanu, ale także im pomóc.

Jarat musiał mu pokazać, jak zapiąć przód jednoczęściowego stroju, który kończąc się miękkimi podeszwami, okrywał całe ciało, łącznie ze stopami. Jony, gdy się już dobrze pozapinał, czuł się tak mocno spowity, że aż się dusił.

Medyk przyjrzał mu się krytycznie.

-Całkiem niezłe. Ta rozczapierzona kita włosów w żaden sposób nie zmieści się pod hełmem. Ale reszta może być.

Może być - ale do czego, chciał wiedzieć Jony. Nie zadawał teraz żadnych pytań, mając nadzieję, że to, co trzeba było wiedzieć o statku, uda mu się odkryć tak, że nikt się nawet nie domysli, jaki cel mu przyswieca. Choć medyk twierdził, że jest z jego, Jony'ego rodzaju. Jony nie poczuwał się do żadnego z nim pokrewieństwa.

Byli ludzie i były zwierzęta. Rutee opowiadała mu, że kiedyś jej

lud w sposob niemal bezwzglesdny poslugiwal sie zwierzetami jak narzedziami. Potem sami ludzie stali sie z kolei "zwierzetami", narzedziami Wielkich. Lud musial byc zwierzetami tak dlugo, jak rzadzili tu ci z kamiennego miasta, a potem...

Reka znouw dotknal gardla, majac ciagle uczucie, ze napotka tam obroze. Klan uczynil go "zwierzeciem", majac w tym swoj cel - mialo to stanowic ostrzezenie i kare.

-Dziwi cie tu wszystko, co? Zadawaj pytania, jakie tylko chcesz. Wiem, ze masz sporo do nadgonienia - powiedzial Jarat.

Jony skinal glowa. Medyk powiedzial prawde, lecz nie w sposob, w jaki pojmul ja Jony. Od czasu kiedy sie obudzil, byl ostrozniejszy, nie probowal nawiazac zadnego mentalnego kontaktu. Czy gdyby zechcial, moglby pokierowac Jaratem? Czy, tak jak swego czasu wplynal na Wielkiego i umozliwil ocalenie Rutee, teraz moglby sprawic, by Jarat zaprowadzil go do Ludu, uwolnil wszystkich czlonkow klanu? Jony nie wiedzial, czy to mozliwe i jak na razie byl zbyt ostrozny, by to sprawdzic.

Ale w miare jak szli, robil ze swych oczu dobry uzytek; staral sie zapamietac sciezke wiodaca przez dzungle statku, podobnie jak zapamietalby punkty orientacyjne w zewnetrznym swiecie. Nie bylo ani sladu Maby, ani Geogee'a, a i Jony nie dopytywal sie jeszcze o nich. Najlepiej po prostu sluchac rozkazow i czekac, az sam bedzie sie mogl czegos wiecej dowiedziec.

Jony zdawal sobie sprawe, ze jego towarzysz od czasu do czasu bacznie na niego spoglada, jak gdyby oczekujac po nim czegos wiecej. Chlopiec nie przejmowal sie tym zbyt; statek sam w sobie przyciagal cala jego uwage.



Przeszli krotki odcinek w dol, a potem szereg stopni prowadzil ostro w gore. Medyk pokonal je w paru susach, Jony podazal za nim. Na swych, po raz pierwszych w zyciu, obutych nogach chlopiec poruszal sie niezgrabnie, totez szedl ostroznie.

Mineli dwa kolejne, oddzielone od siebie sektory statku, przechodzac do trzeciego. Potem medyk przemknal raz jeszcze przez krotkie przejście. Sciana przed nim otworzyła sie, by go przepuscic. Jony poszedl jego sladem, ukrywajac - mial przynajmniej nadzieje, ze mu sie to udaje - rosnacy lek. Czul sie pochwycony w pulapke.

To musial byc kapitan. Mezczyzna siedzial swobodnie. W odpowiedzi na jego gest medyk podszedl do sciany i odchylik dwa siedzenia. Jedno zajal sam, a drugie wskazal Jony'emu.

Jony usiadl na samym brzezku. Po pierwsze siedzenie tak wysoko na ziemia wydawalo mu sie nienaturalne, a po drugie czul zbyt wielkie wewnetrzne napiecie, by siedziec swobodnie.

-A wiec uciekles ze statku Zhalanow - zaczal kapitan obcesowo. - Lata temu. I nie masz pojecia o swoim ojczystym swiecie? - Rzucal slowa z niecierpliwoscia, jak gdyby Jony przedstawial dla niego jakis dodatkowy, zbedny problem.

-Rutee mowila - Jony po raz pierwszy przerwal milczenie - ze to byla nowa kolonia. Ona i Bron zdecydowali sie tam poleciec. Pozniej przybyli Wielcy... Bron walczył w laboratorium, a jego umyslem nie mozna bylo sterowac. Zabili go. - Byla to opowiesc, ktora nigdy nie znaczyła dla niego zbyt wiele, choc Rutee cierpiala, kiedy o tym mowila.

-A ty?

-Ja byłem bardzo mały. Zostawili mnie w klatce razem z Rutee. Nie pamiętam nic poza klatkami.

-A ta Rutee, twoja matka, była mentalnie sterowana?

-Nie! - Jony spojrzal na kapitana spode lba. Niektorych z nas nie mozna bylo uzywac do tego celu i wiekszosc wyrzucali. Rutee sadzila, ze zatrzymali ja, by zbadac, dlaczego tak sie dzieje. Wiele razy stosowali na niej swoje maszyny.

Zadrzal, czujac do tego czlowieka nienawisc za to, ze kazal mu przypomniec sobie, jak wywlekano Rutee z klatki, jak przynoszono ja z powrotem. Czasami wydawalo sie, ze nie zyje, kiedy indziej jeczala, trzymajac sie za glowe i krzyczac glosno, jezeli zblizyl sie do niej chociazby na chwile.

-A ty?

-Mna tez nie mogli sterowac. Ale zbytnio nie probowali.

-A bliznieta?

W Jonym narastal gniew. Tak jak znal i odczuwal wszystkie bole Rutee, tak znal tez jej wstyd i rozpacz. Lecz taka byla prawda, a wiec niech ja uslysza. Niech ci przybysze dowiedza sie, co Wielcy potrafili robic z bezbronnymi.

-Wsadzili mnie do innej klatki, a potem ja do klatki mentalnie sterowanego mezczyzny - powiedzial sztywno.

W kabinie zalegla cisza. Jony nie patrzyl na zadnego z

astronautow.

Uslyszal, jak kapitan powiedzial cos, czego nie zrozumiec, szorstko, nieprzyjemnie. Lecz wspomnienie Rutee rozognilo gniew Jony'ego do tego stopnia, ze przestal sie rozsadkiem. Podniosl sie gwaltownie ze swego siedzenia, by stanac przed kapitanem. Starajac sie mowic jak najspokojniej, walczac z niecierpliwoscia i strachem, zapytal zdecydowanie, z naciskiem: Gdzie jest Yaa?

XII

-Yaa? - powtorzil kapitan. Mowil tak, jakby nie rozpoznawal tego imienia. - Masz na mysli mala Mabe. Ona jest z...Ale Jony przerwal mu, zdecydowany, by dowiedziec sie prawdy tu i teraz. - Yaa, samica z Ludu. Zabraliscie ja i Voaka i dwoje innych tam, na otwartym terenie.

-Samica - Jarat poruszył się niespokojnie. - Ona jest... - raptownie przerwal, odczytując chyba lepiej uczucia chłopca z wyrazu jego twarzy niż Jony z twarzy kapitana. Jony gwałtownie odwrócił się w stronę medyka.

-To gdzie ona jest? Zabiliscie ja?

Jarat pokręcił głową.

-Oczywiscie, ze nie! Okazy sa... - znow przerwal w pol slowa.

Jony walczył ze sobą, by zachowac zimna krew, zeby nie dac im poznac swojej naglej wrogosci.

-Yaa - mowil powoli i z naciskiem, chcac wyrzecz w ten sposob

wrażenie na tych dwóch obcych - ocaliła życie Rutee. Zaopiekowała się bliźnietami, kiedy Rutee zmarła. No mówcie, coście z nią zrobili?

Jarat spuścił oczy pod nieustępliwym wzrokiem chłopca, który zwrócił się więc znowu do kapitana:

-Pytam ciebie: co zrobiliście z Ludem? Kapitan astronautów również nie wydawał się skłonny do udzielenia szybkiej odpowiedzi. Jony uwolnił więc swój zmysł poszukiwania i nakierował go wprost na umysł kapitana, badając jego myśli.

Obraz był zmacony, lecz dostatecznie wyraźny, by w odpowiedzi na to, czego się dowiedział, wyrwać z ust Jony'ego warknięcie zbliżone do gardłowych dźwięków wydawanych przez zagniewanych członków klanu.

Yaa uwieziona wśród maszyn niewiele różniących się od tych, które stosowali Wielcy. Yaa - być może mentalnie sterowana! Zgroza połączona z gniewem spotęgowały zdolność koncentracji.

Kapitan potrząsnął głową, zamachał gwałtownie rękami, sięgając do pasa, tam gdzie, jak sądził Jony, mieściła się jego broń. Chłopiec uderzył w oficera całą siłą swych skupionych myśli. W koncu mężczyzna opadł na krzesło i osunął się bezwładnie na podłogę.

Jony już odwracał się w stronę medyka, który gwałtownie podniósł się z krzesła, wyraźnie zaniepokojony. Chłopiec raz jeszcze się skoncentrował, bezlitosnie mierząc w umysł szeroko otwarty na jego myślową sondę.

-Yaa - rozkazał - zaprowadź mnie do niej!

Jarat walczył, starając się wznosić bariery, lecz Jony, w swym strachu i gniewie, łatwo je pokonywał. Nie wiedział jednak, jak długo będzie do takiego działania zdolny. Medyk sztywno podszedł do drzwi, idąc tak, jakby każdy jego miesiąc walczył o odzyskanie kontroli nad ciałem, które Jony przymuszał teraz do działania zgodnie z własną wolą. Żadna obietnica dana Rutee nie mogła już obowiązywać, nie po tym, co Jony odczytał w umyśle kapitana, kiedy zapytał o Yae. Zostawili kapitana leżącego na podłodze kabiny. Jony nie wiedział, jak długo astronauta pozostanie nieprzytomny i obawiał się, że trudno mu będzie panować równocześnie nad obydwojema. Trzeba było teraz, tak szybko jak to możliwe, dostać się do członków klanu.

-Jony! - głos Maby z dołu. Lecz Jony nie pozwalał sobie teraz na myślenie o czymkolwiek innym, co mogłoby przerwać jego panowanie nad Jaratem.

Medyk zaczął się powoli opuszczać po biegnącej przez środek statku drabinie, a Jony, zniecierpliwiony, przynaglił go do pośpiechu. Czuł, jak w tamtym toczy się walka przeciwko jego, Jony'ego, dominacji i starał się przelamać jego opór z całym naciskiem, na jaki mógł się zdobyć.

-Jony! - Idąc w dół, weszli na drugi poziom. Tam, przy drabinie, stała Maba. Jony nawet na nią nie spojrzał. W tej chwili Maba się nie liczyła. Była wśród tych obcych wolna, zaś Yaa, Voak i inni - nie.

-Jony, co się stało? - złapała go za rękaw, kiedy przechodził obok. Jony uwolnił się szybkim szarpnięciem, pochłonięty

sterowaniem Jaratem, utrzymaniem go w ruchu.

-Jony! - głos Maby był teraz przerażony. Nie miało to żadnego znaczenia, choć Jony zdał sobie sprawę, że Maba ruszyła za nimi.

Mineli ten poziom, z którego Jony pierwotnie wyruszył, przeszli w dół do następnego. Jak dotąd mieli szczęście i nie natknęli się na nikogo z załogi. Teraz Jarat odszedł od drabiny i stał, chwiejąc się na nogach.

Jego twarz była mokra od potu, ponieważ z całej siły starał się przełamać dominację Jony'ego. Jony zaś czuł odpływ tej mocy, która musiał wkładać w utrzymanie panowania nad nimi dwoma: nad swym więźniem i swym przewodnikiem. Dla Yai, Voaka, dla Ludu - dokona tego!

-Jony, dlaczego? - głos Maby.

Potrzaskał głową zirytowany tymi próbami przyciągnięcia jego uwagi. Jarat, idąc chwiejnym krokiem i nadal walcząc o wyzwolenie, skierował się teraz w dół bardzo krótkiego przejścia.

Medyk unosił wolno rękę. Jego wewnętrzny opór przed wykonaniem tej czynności był tak silny, że aż widoczny w tym niedokonczonym gestie. Potem dłoń Jarata spoczęła na chwilę na ścianie. Wówczas, na podobieństwo kamiennych ścian w podziemiach, i ta ściana rozdzieliła się i weszli do pomieszczenia, którego istnienia od początku Jony się obawiał.

Odor strachu był tu równie silny jak inne dziwne zapachy statku. Przykuta do ściany tkwiła tam Yaa, metalowe pasy utrzymywały

ja w pozycji pionowej, a jej głowa ukryta była pod hełmem, z którego wychodziły druty nierównej długości. Maszyna pomrukiwała głośno; coraz głośniej rozlegał się żalostny jęk, który niemal nie pozbawił Jony'ego całej odwagi i wiary w siebie.

Odwrocił oczy od Yai i spojrzał w drugą stronę tego miejsca meczarni. Voak rozpięty był w taki sam sposób. Jego głowa zwisała, pochylona do przodu; ogromne oczy były zamknięte. Można by sadzić, że spi, gdyby nie dźwięk, jaki dobiegał z jego rozchylnych warg.

Jakis członek załogi statku pochylał się nad mruczącą maszyną, z oczyma wlepionymi w świecący prostokąt dujący się na jej szczycie.

Spojrzał przelotnie na Jarata i powrócił do swych obserwacji.

-Zdumiewające, po prostu zdumiewające - zauważył. - Ten odczyt jest zupełnie wyjątkowy.

-Yaa! - To nie Jony krzyknął. Maba wdarła się za nimi i pedzila wprost ku pokrytej futrem postaci pod ścianą. Ale astronauta był od niej szybszy. Wyrzucił do przodu swe długie ramie i odepchnął dziewczynkę.

Jony był wstrząsnięty; potwierdziły się jego najgorsze obawy. Jego panowanie traciło na sile. Jarat się uwolnił, zakrecił się wokół, błyskawicznie sięgnął do pasa po broń, która tam wisiała.

Nie było dzidy, lecz Jony porwał z pobliskiego stołu drut, uformował z niego bicz. Lud używał splecionych pnaczy jako bicia i Jony nauczył się tym posługiwać.

Jony trzepnal biczem, chwytajac Jarata za przegub dloni.

-Co sie tu dzieje? - Drugi astronauta wciaz jeszcze byl calkowicie zaprzatniety szamotaniem sie z Maba. - Co ty sobie wyobrazasz? - Potrzasnal nia mocno, co nie zrobilo na dziewczynce zadnego wrazenia.

Jony ruszyl na medyka. Lud uprawial zapasy i Jony znal ich chwyty. Nie mial jednak pojecia, czy pomoga mu teraz. Jego cialo uderzylo mocno o cialo Jarata, ktory wpadl na stol, stracajac na podloge wszystko, co tam lezalo. Ale Jarat szybko odzyskal przewage, a Jony nie umial odeprzec zwalajacych z nog ciosow przeciwnika.

Mial tylko jedna bron - i uzyl jej. Wyslal do umyslu Jarata niweczaca, skoncentrowana sile, uzywajac calej mocy, jaka udalo mu sie zebrac i tam skierowac.

Jarat z reka wzniesiona do ataku potkнал sie, polecial naprzod, padajac na kolana pomiedzy potluczone rzeczy, ktore spadly ze stolu przy ich pierwszym zwarciu. Jony uzyl teraz drutu jako rzemienia i zwiazal rece Jarata na plecach.

-Jony! - Krzyknela Maba ostrzegawczo. Jony odwrocil sie. Drugi astronauta trzymal Mabe jedna reka a druga bron skierowana prosto w chlopca. Jony musial sie zdobyc na ostatni wysilek. Raz jeszcze uzyl swego daru i zaatakowal.

Twarz astronauty wykrzywila sie. Wydal z siebie dziwny, wysoki pisk. Maba, uwolniona, rzucila sie po jego bron, uzywszy sily swych sprawnych miesni, by wyrwac ramie z uchwytu. Zanim Jony zdazyl sie poruszyc, skierowala bron na astronaute,



naciskając przycisk na rekojesci.

Jej ofiara oklapła, padając twarzą w dół obok wijącego się na podłodze Jarata.

-Jego też! - Maba znow uniosła bron.

-Nie zabijaj - zaczął Jony, a ona zaśmiała się lekceważąco. I

-To nie zabija, a tylko usypia ludzi. - Nacisnęła guzik i ciało Jarata również opadło.

Maba spojrzała na astronautów, a potem podniosła wzrok na Jony'ego.

-Ja nie wiedziałam, Jony, naprawdę nie wiedziałam! - błagała go o zrozumienie. - Nie wiedziałam, że Yaa... że zrobili z nią coś takiego.

-Teraz już wiesz - odparł krótko. - Za to ja nie wiem, czy uda nam się stąd wydostać.

Już był u boku Yai, próbując uwolnić ją z więzów, które unieruchamiały jej krępe ciało. Był jakiś specjalny sposób ich zapinania, podobnie jak obrozy, i Jony nie mógł sobie z tym poradzić. Trzeba się było spieszyć. Kapitan mógł już oprzytomnieć i zaalarmować cały statek.

-Proszę cie Jony - Maba kreciła się koło niego niecierpliwie. - Ja nie wiedziałam...

Jony walczył z nieustępliwymi więzami, naciskając tu i owdzie, szarpiąc palcami. Jak to się może otwierać?

Jak Wielcy otwierali takie zamknięcia? Lamal sobie głowę, nie znajdując żadnej sensownej odpowiedzi. Cofnął się o parę kroków, uderzając o maszyny, która astronauta był tak bardzo zaprzatniony, kiedy weszli. Czy za jej pomocą można by otworzyć zamki? Lecz które z licznych przycisków, biegnących tam całymi rzędami, były właściwe? Bał się eksperymentować, żeby nie narazić Yai na większe cierpienie.

-Jony - Maba przysunęła się blisko do niego. - Spójrz tu - podsuwała mu trzymana broń. - Czy nie mogłbyś jej użyć, żeby przerwać te...

Nie chciał dotykać tej rzeczy. Podobnie jak czerwony pret, przedstawiała sobą siłę, której ani nie rozumiał, ani nie chciał użyć.

-Rzuc to! rozkazał.

-Nie! Mając to, będziemy mogli się stąd wydostać, Jony. Możemy po prostu usypiać każdego, kto spróbuje nas zatrzymać.

Zmienił zdanie. Maba miała rację. Bada mogli poświęcić więcej czasu na oswobodzenie Yai i Voaka z więzów.

-Jonnnniiii...

Jony zaskoczony rozejrzył się dookoła. Voak unosił głowę, jego olbrzymie oczy otworzyły się. Wyteżył się, dobywając całej siły głosu, by wydać z siebie kraknięcie, które swym brzmieniem było zbliżone do imienia Jony'ego. Jony zorientował się od razu, że Voak miał coś ważnego do komunikowania. Lecz łapy wodza były uwieszone; bezradny, nie mógł gestykulować, przekazać

zadnej wiadomosci. A Jony nie potrafil podlaczyc swego zmyslu do mysli Voaka w stopniu pozwalajacym na zrozumienie, o co chodzi.

Chlopiec zdal sobie sprawe, ze Voak dokonuje tak wielkiego wysilku jak on sam wtedy, kiedy utrzymywal panowanie nad Jaratem i zmuszal medyka do przyprawdzeniz tutaj.

Otwierajac swoj umysl najszerzej jak sie dalo, Jony wpatrzyl sie gleboko w oczy wodza. Miejsce z guzikami! Polozyl swoja reke na jego skraju. Voak uniosl pysk i opuscil go gwaltownie. Jesliby wodz wiedzial...

-Maba - Jony wydal szorstki rozkaz. - Idz do drzwi. Badz gotowa do uzycia broni.

Kiwnela glowa, okrazyla bezwladnych, pojmanyh astronautow i zajela stanowisko dokladnie na wprost wejscia. Ogluszacz trzymala pewnie w obu rekach, wzniesiony na wysokosc piersi, gotowy do uzycia.

Jony zaczal przenosic wskazujacy palec kolejno z guzika na guzik, rzedami. Wiedzial, ze Voak to obserwuje. Ale wodz nie dawal zadnego znaku. Czy rozumial? Jony byl pewien, ze tak, ze Voak rozumie i goraczkowo wyczekuje, az Jony dotknie wlasciwego przycisku.

Nie byl to zaden w pierwszym rzedzie, ani w drugim. Ale kiedy czubek palca Jony'ego zaczal krazyc nad pierwszym guzikiem w trzecim rzedzie Voak energicznie przytaknal. Jony nacisnal. Rozlegl sie trzask i pasy przytrzymujace Yae i Voaka otworzily sie i opadly. Voak przeszedl ociezalym krokiem przez kabine i

podszedł do boku małżonki, żeby ją podtrzymać, podczas gdy Jony spieszył uwolnić jej głowę z płataniny drutów. Voak pieszczotliwie lizał futro na policzkach Yai, a ona - wydając słaby, cichy głos - otworzyła oczy.

-Jony, słysze jak nadchodzi - zawołała Maba. Na zewnątrz rozległo się dudnienie, jak gdyby wiele nog waliło w stopnie drabiny, pedząc w dół z szybkością, która wskazywała na groźbę natychmiastowego ataku. Jony doskoczył do Maby, porwał od niej bron.

-Trzymaj to tak - powiedziała i naciskał tutaj!

-Gdzie jest reszta, Geogee i Lud?

-Geogee pojechał z tymi, którzy chcieli zobaczyć kamienne miejsce - odpowiedziała. Nie wiem, gdzie umiescili Corra i Uge.

-I prawdopodobnie nie będziemy mogli czekać, by się o tym przekonać - ponuro odparł Jony. Zastanawiał się, czy ktorekolwiek z nich wydostanie się wolno ze statku. Chłopiec wiedział, że potrafiłby zapanować równocześnie nad Jaratem i jakimś drugim astronautą, lecz nie mógłby swej dominacji rozciągnąć w tym samym czasie na całą załogę. Spojrzał na więźniów leżących na podłodze. Czy nie daloby się ich użyć jako przedmiotu przetargu?

Chrzaknięcie Voaka przyciągnęło uwagę Jony'ego. Wódz prowadził Yae; jej oczy były na wpol przymknięte. Widac było wyraźnie, że porusza się tylko dlatego, że jej małżonek nakłania ją do tego, popychając. Jony wolną ręką wykonał znak określający niebezpieczeństwo, wskazując na drzwi.

Voak znow chrzaknal i potakujaco kiwnal nosem w dol. Lapami glaskal delikatnie Yae, wydajac szereg cichych pomrukow.

Nagle z powietrza ponad nimi odezwal sie glos:

-Uwaga, oglaszam alarm pierwszego stopnia... Slucajcie wy w laboratorium. Jony... Maba...!

Przez krotka chwile Jony'emu wydawalo sie, ze to mowi jeden z ich wiezniow. Lecz gdy spojrzal w dol, zobaczyl, ze obaj nadal sa pod wplywem dzialania broni Maby. W takim razie kto i jakim sposobem...?

Sploszony rozejrzal sie dookola w poszukiwaniu mowcy. Maba zlapala go za ramie, stanela na palcach i zaczela poruszac wargami, cicho cos mowiac. Nachylil sie wiec i pochwycil jej szept:

-Oni tak mowia z kabiny do kabiny. To jest kapitan. Byc moze rozpoznawala ten glos, lecz dla Jony'ego rozkaz nie byl wydany ludzkim glosem; mial zimne, bezosobowe brzmienie.

-Sluchacie mnie? - zapytal niewidzialny. - Nie mozecie sie wydostac! Ani tez ty Jony nie mozesz uzyc swych pozazmyslowych zdolnosci. Poprobuj...

W rozkazie zawarty byl taki przymus, ze Jony sprobował. Jego sondujaca mysl uderzyla o nieprzekraczalna bariere. Sila tego zderzenia odepchnela jego wlasna moc jak odrzucajacy w tyl cios, totez chlopiec az zachwial sie na nogach.

-Jony! - Krzyk przerazonej Maby wydobył go z tego wstrzasu,

powstrzymał upadek do tyłu. Tak więc, pomyślał niewesoło, jedyna bron, która umiałem władać, została stracona.

-Rozumiesz? - ciągnął głos. - Możemy cię pogrzebować, tak jak tylko zechcemy, zwałić z nog, ogluszyć, podobnie jak to zrobiliśmy przed pojmaniem ciebie.

I chyba rzeczywiście tak było. Nie znalazł miary sił, jakimi mogli jeszcze dysponować.

-Użyj swojego rozumu - nekaly go plynące z powietrza słowa. - Jesteś całkowicie w naszych rekach. Nie ma ucieczki...

Jony odrzucił głowę do tyłu. Ostatnie zdanie zawierało taką arogancką pewność, że coś się w nim przeciw niej zbuntowało:

-Użyj swojego rozumu - odparował. Mamy tu dwóch twoich ludzi.

-Zgadza się. Lecz jeśli będziesz usiłował się targować, używając ich jako zakładników, to nie będziemy się patyczkować. Możecie zostać tam, gdzie jesteście, dopóki nie zgłodniejecie na tyle, by spokojnie wyjść.

Zanim Jony zdołał sformułować jakąś odpowiedź, Maba podniosła głos, przybierając dobrze chłopcu znany ton:

-Powiedziałeś mi, że z Yaa jest wszystko w porządku! - krzyczała. - Powiedziałeś, że wypuscicie ją i Voaka, i Uge, i Corra. Ale wyscie ją skrzywdzili! Dreczyliście ją! Jesteście całkiem tacy jak Wielcy! - Twarz Maby poczerwieniała od krzyku. Maba była zawsze skora do wybuchów złości, a teraz nadchodził właśnie szczytowy moment jednego z jej napadów furii. Zakreciła

się, chwyciła najbliższy przedmiot z polki po prawej stronie. Potem powoli, z rozmysłem, z widocznym zamiarem dokonania możliwie jak największego spustoszenia, ruszyła w stronę urządzenia sterującego pasami, które trzymały członków klanu na uwięzi. Unosząc ciężką sztabę wysoko nad głową, z całej siły cisnęła nią w maszynę. Znajdująca się na gorze szklana płyta roztrzaskała się. Z wnętrza buchnął snop iskier.

-Teraz spróbujcie! krzyczała. - Spróbujcie tylko krzywdzić znowu Yae lub kogokolwiek innego!

Ogarnięta bliskim histerii szaleńczo dziewczynka waliła w maszynę bez opamiętania. Jony nie próbował jej powstrzymać. W rzeczywistości był trochę zazdrosny, że sam nie wpadł na ten pomysł.

Należało odplacić astronautom za krzywdy wyrządzone Ludowi, to oczywiste; trzeba było zniszczyć wyposażenie laboratorium, żeby ci ludzie nigdy już nie mogli zadawać żadnych kłopotów innym więźniom.

-Powstrzymaj ją! Powstrzymaj ją, ty głupcze! - Mężczyzna, który poprzednio pracował przy tej maszynie, teraz unosił chwiejnie głowę znad podłogi i ze zgrozą obserwował niszczycielski atak Maby.

-Po co? - spytał Jony. - Żebyście mogli znowu użyć swej maszyny do męczenia Ludu? Maba ma rację, nie jesteście lepsi od Wielkich.

-Nic nie rozumiesz - mężczyzna starał się doczołgać do maszyny. Jony wkroczył szybko między niego i Mabe. Wyrazne

przerazenie astronauty sprawilo, ze chłopcu zaczęła switac w glowie pewna mysl.

-Ona przepali obwody! - Glos mezczyzny przechodzil prawie w ryk. - Upieczemy sie zywcem.

-Lepsze to niz skonczyc w waszych klatkach, - Jony nie trafil spokoju. Strach tego obcego byl przekonywajacy; byli chyba w niebezpieczenstwie. Nie mialo to jednak wiekszego znaczenia, gdyz nadzieje Jony'ego na zycie byly i tak niewielkie.

-Maba - Jony stanal za dziewczynka, chwytajac ja za ramiona uniesione do kolejnego ataku na niemal juz zdewastowana maszyne, z ktorej unosil sie nieprzyjemny zapach.

-Pusc mnie! - szarpnela sie, odpychajac go.

-Jeszcze nie - odparl Jony. - Moze udaloby sie nam dokonac pewnej wymiany...

Maba przekrecila glowe tak, ze mogl patrzec prosto w jej twarz.

-No i co teraz? - Jony zwrocil sie wprost do astronauty, ktory usilowal sie przyblizyc. Z tylu za nimi lezal medyk; oczy mial juz otwarte. - Sluchajcie teraz bardzo uwaznie, obaj. Mysle, ze pomysl Maby jest dobry, uwazam, ze cale to laboratorium trzeba zniszczyc. Nie lubie klatek i nie podobaja mi sie ludzie, ktorzy wygladaja jak ja, a postepuja jak Wielcy. Nie znosze, kiedy sie krzywdzi moich przyjaciol. Rozumiecie?

-Mysmy ich nie krzywdzili, badalismy ich... - odparl astronauta.

-Ja bylem tez badany - powiedzial Jony - wiec widzilem, co sie



dzialo ze "zwierzetami" laboratoryjnymi. Uwazacie ten Lud za zwierzeta, prawda? - rzucil wsciekle. - Nie potrzebujecie wymyslac odpowiedzi, ktora by mnie zadowolila, z waszych myśli moze odczytac, co sadzicie naprawde...

Pierwszy odezwal sie Jarat.

-Co zamierzasz teraz zrobic? Kapitan Trefrew nie moze byc tak...

-Moge pozwolic Mabie dzialac tu dalej - odpowiedzial Jony - a nawet sie do niej przylaczyc. Widzisz, bylem juz kiedyś wiezniem laboratorium i nie mam zamiaru zostac nim znowu. O wiele lepiej jest umrzec...

-Ale - zaprotestowal drugi astronauta - my nie mamy zamiaru tknac ciebie czy dzieci. Spytaj ja, czy nie byla bardzo dobrze traktowana.

-W to nie watpie - odrzekl Jony. - Uznaliscie ja za jedna ze swoich. Ale my nie uznajemy was za jednych z nas! Rozwazcie ten problem. My jestesmy z Ludu - skinal, wskazujac Yae i Voaka.

Jony nie wiedzial, czy czlonkowie klanu zrozumieli cos z tej wymiany zdan. Ucieszyl sie, widzac, ze Yaa jest zwawsza, ze nie zwisa juz bezwladnie, wsparta na swoim malzonku. Byc moze, jesli jakimś niezwyklym zrzadzeniem losu uda im sie wydostac ze statku, Yaa wroci calkiem do siebie.

-Jestescie ludzkiego rodu - powiedzial Jarat.

-My jestesmy z Ludu - odpowiedzial Jony rownie stanowczo.

-Czego chcecie?

-Swobodnie opuscic statek razem z waszymi wiezniami.

Puscil Mabe i czekal.

-Jezeli macie jakis sposob, zeby porozumiec sie z waszym kapitanem - dodal po chwili - lepiej to zrobcie. Jezeli nie, to kiedy Maba sie zmeczy, ja ja zastapie z wielka przyjemnoscia.

XIII

-Slyszales go kapitanie? - Jarat podniosl nieco glos. - Moge cie zapewnic, ze chlopak zrobi to, co mowi. Zapadla cisza zaklocona tylko bardzo slabym brzeczeniem dobiegajacym z pudla potluczonej przez Mabe maszyny. Astronauta, ktory przed chwila zmierzal w tamtym kierunku, teraz obserwowal swa maszyne z takim samym lekiem jak ktos, kto spoglada na szczyt urwiska, gdzie maja swe siedliska ptaki vor. Bylo oczywiste, ze bal sie tego urzadzenia, stracil nad nim kontrole.

-Kapitanie - teraz on z kolei zawolal - I-80 zbliza sie do punktu krytycznego.

-Kaz swoim ludziom zejsc nam z drogi i uwolnic pozostalych dwoje z Ludu - Jony ponownie przedstawil swoje zadania. - Nie mamy nic do stracenia oprócz wlasnego zycia, a wiemy juz, czym pachnie pozostawanie w waszych rekach.

Kiedy zadna odpowiedz nie nadeszla, Jony odwrocil sie zdecydowanie do Maby:

-Daj mi to! - Siegnal po sztabe, ktora dziewczynka dewastowala

laboratorium.

-Nie! - astronauta nie tyle powiedział, co wrzasnął. - Nie rozumiesz, co robisz. Będzie straszny odrzut!

Jony kiwnął głową.

-Odpowiem ci, że naprawdę doskonale rozumiem.

-Dziewczynka. Nie możesz pozwolić, żeby zginęła.

-Przedzaj zabij ją własnymi rękami - powiedział Jony wolno i dobitnie - niż pozwolę jej zostać tu z wami.

Maba rozesmiała się.

-On to robi - przytaknęła energicznie. - Kiedy obiecuje, zawsze tego dotrzymuje. A jeśli on nie zniszczy waszej maszyny, ja to zrobię. Okłamał mnie! Nie powiedzieliście mi prawdy o Yai i Voaku. Wychowałam się z Uga w jednym gnieździe; to tak jak przyrodnia siostra. - Pochyliła się nisko i zbliżyła swoją twarz do twarzy szamoczącego się mężczyzny. - Jesteśmy z tej samej pory, Uga i ja, i jesteśmy blisko spokrewnione. Jony, zrób to! - Wyprostowała się i przeniosła wściekły wzrok z astronauty na maszynę. - On się boi; oni wszyscy się boją! Zrób to, Jony!

Jony unosił sztabę.

-Kapitanie! - szalenczo błagał astronauta.

Jarat nie przyłączył się do niego. Przyglądał się bacznie Jony'emu, jak gdyby starał się ocenić, ile z tego, co chłopiec mówił, jest prawdą. To, co wyczytał z twarzy Jony'ego, musiało

go przekonac.

-Kapitanie - jego glos byl bardziej opanowany od glosu wspoltowarzysza. - On rzeczywiscie zamierza to zrobic. W koncu nie mozemy oceniac tych rozbitkow wedlug naszej wlasnej miary... jeszcze nie.

-Przejscie dla was - slowa zabrzmialy zgrzytliwie, jakby kapitan musial sie przymuszac do wypowiedzenia kazdego z nich. - Ale nie skonczyliśmy z wami...

-Przejscie dla nas - odparl mu Jony.

-Klamali przedtem, to moga i teraz klamac! Maba poczerwieniala z przejecia, ale Jony juz o tym pomyslal.

-Wzniesliscie bariere miedzy umyslami - powiedzial. - Nie wykorzystam swego wplywu, ale bede mogl sprawdzic, czy twoi ludzie nie knuja czegos przeciwko nam.

Znow przez dluzszy czas nie bylo odpowiedzi. A potem: - Prosze bardzo. - Jony wyczul wscieklosc czajaca sie za ta zgoda.

Uzyl teraz swego zmyslu. Tak, bariera zniknela. Dal znak Mabile, zeby podeszla do drzwi, Yaa i Voak juz tam byli. Drzwi rozsunely sie, na zewnatrz nie bylo nikogo Jony nadal poszukiwal za pomoca umyslu; astronauta byli powyzej, ponizej...

-Na dol - wskazal drabine. Jesli Yaa nie mogla pokonac zejscia, to skomplikuje ich sytuacje.

Ale Yaa zdawala sie wracac do sil. Pierwsza zaczela gramolic sie w dol Maba, za nia Voak, a za nim, wolniej sie poruszajac, szla

Yaa. Jony zamykał pochod, skupiając się na lokalizowaniu wszelkich wykrytych przez swój umysł oznak życia.

Byli na szczęście tylko o jeden poziom wyżej od stojącego otworem wyjścia, skąd wybiegała prowadząca ku wolności pochylnia. Czekali tam już, stojąc blisko siebie, dwoje młodszych członków klanu. Maba zarzuciła ręce na puszyte ramiona Ugi, objęła ją.

-Wychodźcie - ponaglił ich Jony ostrym rozkazem. Ale Lud nie potrzebował rozkazów; czlapali już na swoich miękkich łapach w dół, ku wolności. Jony szedł za nimi. Jak dotychczas, jego zmysł nie wykrył żadnego poruszenia na statku. Jednak skoro tylko znajdą się na zewnątrz, zostaną wystawieni na atak. Czy kapitan ze swojej strony dotrzyma warunków umowy? Jony nie dowierzał mu, tak jak nie dowierza się żadnym paktom z wrogiem.

Przecinali teraz otwarty teren, kierując się w stronę wzniesienia. Uga i Corr nie doznali żadnego uszczerbku w czasie swego uwięzienia, ale widac było wyraźnie, że ani Voak, ani Yaa nie mają swej dawnej siły i nie mogą poruszać się z największą szybkością, do jakiej zdolny był Lud.

Jony szedł jako tylna straż. Nadal miał ogluszczać zabraną astronautę. Drugi, który wyrwał Jaratowi z za pasa, kiedy wychodzili, teraz powierzył Mabile.

Dziewczynka wyprzedziła ich i zwrócona twarzą do statku stanęła w polu drogi do szczytu. Jony nie wiedział, jaki zasięg miała ta broń. Chciał wierzyć, że Maba ze swojej pozycji będzie mogła osłaniać ich odwrot równie skutecznie jak on ze swojej na tyłach.

Cale szczescie, ze nie bylo latajacego pojazdu. Majac go nad glowami, nie mieliby zadnych szans. Czy ci ze statku uderza teraz na nas, uzywajac jakiejś broni o wiekszym zasiegu? - zastanawial sie Jony. Tak niewiele wiedzial...

Lud przeszedl obok stanowiska Maby. Uga i Corr wspieli sie juz na sam grzbiet. Jony wiedzial, ze beda sie starali dostac pod oslone gaszczu. Yaa i Voak podazali za nimi.

Stojac u stop wzniesienia, Jony, podobnie jak Maba, odwrocil sie. Jego sonda myslowa znow nie mogla sie przedrzec. Tam, na statku ponownie wzniesiono barriere. Moglo to oznaczac nadejście ataku!

-Jony! zawolala Maba. - Chodz.

Zerwal sie do biegu. Yaa i Voak znikneli z widoku. Maba weszla na szczyt i tam stala, nadal na strazy. Jony dyszal ciezko, kiedy sie z nia zrownal.

Najbardziej ze wszystkiego pragnal, by to masywne wzniesienie z ziemi i kamienia znalazlo sie teraz miedzy nimi a statkiem. Nie wierzył do konca, ze odzyskali wolnosc.

Jony obserwowal statek w skupieniu, prawie spodziewajac sie ujrzec oddzial wyruszajacy, by ich tropic. A moze astronauta zaczekaja z poscigiem na powrot latajacego pojazdu? Geogee! W czasie uciezki - w zdenerwowaniu i napieciu - Jony zupełnie zapomnial o chłopcu. Co to oni powiedzieli? - Geogee polecial, by wskazac astronautom droge do kamiennej siedziby. Jony nie miał najmniejszych watpliwosci, ze chodzilo im o podziemne magazyny. Prety o niezwyklej mocy!

Rozgladajac sie wokol, nie dostrzegl sladu Ludu. Uciekinierzy rozplyneli sie w otaczajacym gaszczu. Maba pociagnela go za rekaw stroju, w ktory wtloczyli go na statku.

-Pojda za nami? - powiedziala pytajaco.

-Moze czekaja na latajacy pojazd.

-Geogee jest z nimi. Jony.

-Wiem. Bedziemy musieli tez go wydostac. - W tej chwili jednak Jony najbardziej obawial sie tego, co chlopiec mogl pokazac astronautom. Kapitan i ci na pokladzie statku nie okazywali w stosunku do dzieci zadnej niecheci, przynajmniej do chwili, kiedy Maba obrocila sie przeciwko nim. Czy mozna bylo wierzyc, ze Geogee jest jak na razie, bezpieczny?

-Musisz mi powiedziec - natarl na Mabe - wszystko, co o nich wiesz. Co oni tu robia?

Maba byla zaklopotana.

-Chca tu przybyc, zeby zalozyc kolonie, Jony. Byla bitwa, gdzie tam daleko - wolna reka wskazala niebo. - Wielcy zostali wyparci z tej czesci kosmosu. i teraz ci ludzie szukaja nowych swiatow na kolonie dla swego ludu.

-Ten swiat ma swoj Lud. - Jony spojrzal ponad jje glowa na gaszcz, gdzie weszli Yaa, Voak i pozostala dwojka. - Ci astronauta nie moga tak sobie przyjsc i zabrac:go.

-Jony - Maba przysunela sie blizej. - Moze i moga. Pokazywali nam rozne rzeczy. Maja wielkie skrzynie. Siedzi sie i patrzy, a w

srodku sa obrazy, ruszaja sie ludzie, cos robia. Pokazali nam, jak zyja na innych swiatach, Jony, jest ich strasznie, strasznie duzo, tych swiatow. Bedzie ich na pewno wiecej niz wszystkich drzew, ktore w zyciu widziales - siegnela po taki rodzaj porownania, jaki zrobilby na nim najwieksze wrazenie. Ilmaja mnostwo statkow przestworzy wiekszych od tego. Mowia, ze potrzebują wiecej miejsca dla ludzi i sa bardzo zadowoleni, ze znalezi ten swiat, bo tutaj moga oddychac i jest tu tak jak tam, gdzie dotad zyli.

-Ale to nie jest ich swiat - powtorzył Jony. - On nalezy do Ludu!

-Czy zawsze nalezal, Jony? Przypomnij sobie, co wdzielismy na obrazach...

Gwałtownie chwycil ja za ramiona, patrzac wprost w jej zdziwiona twarz.

-To nie jest prawda, Mabo. Lud, to nie zwierzeta, to nie rzeczy przeznaczone do uzytku...

Przypomnial sobie w tej chwili, co Voak powiedzial, nakladajac mu obroze na szyje. Rzeczy do uzytku jak kij, siatka na owoce; rzecz to nie osoba. Lud zdobyl juz raz wolnosc i nie moze znow popasc w niewole, nigdy.

-Ale co my mozemy zrobic, zeby ich powstrzymac? Jony? - Maba dotknela samego sedna sprawy. Astronaucci moga usypiac ludzi tymi rzeczami - zamachala ogluszaczem. Moga leciec wprost nad nami i usypiac nas. W taki sposob nas pochwycili. Lud nie zdolal sie nawet zbliczyc na tyle, by walczyc.

Byla to nieprzyjemna prawda i trzeba ja bylo przyjac do



wiadomosci. Na dodatek mozliwe, ze akurat w chwili Geogee pokazuje astronautom bron ludzi z kamiennej siedziby. Jony nie wiedzial co moga zrobic on sam i ale byl rownoczesnie pewien, ze nie mozna pozwolic obcym zawladnac tym swiatem bez walki. Pozostawalo stwierdzic, co mysli Lud i co zamierza zrobic dla swej obrony.

-Chodz! - ruszył w dol za czlonkami klanu, ktorzy znikneli w gaszczu. Gdyby tylko udalo mu sie w porozumiec z Voakiem! W takich momentach ulomnosc jezyka znakow stawala sie bolesnie odczuwalna.

Kiedy wreszcie przybyli na miejsce, Jony byl prawie pewny, ze spotka go Otik. Nie bylo tam jednak ani sladu Ludu. Jony uzyl swego specjalnego zmyslu, poszukujac chocby najslabszego cienia odbioru. W poblizu nie bylo nic. Lud, co bylo do przewidzenia, wyruszył, byl juz w drodze. Postaraja sie odejsc od statku najdalej, jak sie da.

A on nie mogl wyslac zadnej wiadomosci, by ich zatrzymac. To, ze skierowali sie na polnoc, stanowilo w sytuacji jedyna pomyslna okolicznosc.

Gaszcz, przez ktory Jony nauczyl sie przemykac prawie bez przeszkod, teraz ciagle go zatrzymywal. To jego nowe ubranie zahaczalo sie o krzaki. Bylo mu w nim goraco, pocil sie, a material ocieral mu skore na karku, pod pachami, na udach. Maba nie miala takich klopotow. Zamiast swej dawnej spodniczki nosila teraz nowe okrycie, siegajace jednak tylko od szyi do kolan. Jony domyslil sie, ze byl to stroj napredce zaimprovizowany, gdyz nie mieli na statku tak malego ubrania odpowiedniego dla dziewczynki. Mogla sie przeslizgiwac, dajac

nurka w gestwine i robiac uniki, omijac przeszkody i przemykac sie miedzy nimi znacznie zreczniej od niego.

Zbyt wolno sie wlekli, by nadazyc za Ludem, ktory w sposob oczywisty szybko pojal lekcje, ze trzeba sie trzymac kryjacej oslony. Jony nasluchiwal brzeku latajacego pojazdu. Czy ci na statku maja jakies sposoby komunikowania sie, by przywolac pojazd z powrotem?

Kiedy szli, bombardowal Mabe pytaniami, a ona w miare mozności odpowiadala mu na nie szybko i ochoczo. Z jej relacji wynikalo, ze byli oboje bardzo dobrze traktowani, ze kapitan i Jarat wypytywali ja i Geogee'a o ich przeszlosc. Bliznieta, nie widzac zadnego niebezpieczenstwa, w odpowiedzi podzielily sie z nimi wszystkim, co wiedzialy. Astronauci byli szczegolnie podnieceni, uslyszawszy o kamiennej siedzibie.

-Nic dziwnego, ze byli - odparl jej na to Jony - slyszac, co tam sie kryje.

-Masz na mysli ten pret, ktory znalazl Geogee. - Maba zgodzila sie z nim. - Geogee opowiedzial im wszystko. Chcieli zobaczyc taki pret.

Jony byl wstrzasniety. Coz on i bliznieta zgotowali Ludowi, ktoremu zawdzieczali zycie? Statek przestworzy? Nie, statek mogl przeciez i tak wyladowac, nawet jesli on i bliznieta nie poszliby na poszukiwania do kamiennego miejsca. Przekazali jednak informacje o ukrytych tam tajemnicach!

Mimo szybkiego marszu klanu, Jony i Maba dogonili ich przed zapadnieciem zmroku. Otik, ktory najwidoczniej stal na czatach,

nie zatrzymywał ich, ale też i nie powitał. Przyglądał im się tylko, jak wchodzili do obozowiska, gdzie przygotowano niewielkie, skromne gniazda na krótki odpoczynek.

Voak przykucnął przy swej połowicy, która leżała wyciągnięta na największym i najlepszym legowisku. U drugiego jej boku siedzieli Uga i Corr i Jony pomyślał, że na pewno dzielili się z resztą szczegółami ze swego pobytu w niewoli, opowiadali, jak ich traktowano na statku.

Chłopiec przytrzymał Mabe, widząc, że ta spieszy do Yai. Trzeba było poczekać na to, jak ich przyjmie Voak i pozostali, niech najpierw okaże się, czy on i Maba mogą z Ludem pozostać, czy łączy ich na powrót więzy klanowego pokrewieństwa, w sposób głębszy niż dotychczas.

Voak przyglądał im się w milczeniu. To Yaa pierwsza wydała kilka pomruków w mowie Ludu. Jej mąż spojrzał na nią, a potem znowu na Jony'ego. Podniósł się ociężale i ruszył, by stanąć z Jonym twarzą w twarz. Jego ogrom sprawił, że Jony wydał się sobie przy nim mały i nieważny. A jednak wódz klanu nie zignorował go, czego się chłopiec po trochu spodziewał. Obroza zniknęła, ale Lud go od niej nie uwolnił. Jony nadal odczuwał jej ciężar na szyi i wiedział, że nie zniknie on do czasu odzyskania pełnej wspólnoty z klanem.

-Na statek - Voak unosił rękę, nadając - zły rzeczy.

Jony skwapliwie odpowiedział:

-Zły!

-Ludzie na statek z niebo jak ty.

Jony nie mogli zaprzeczyć zewnętrznemu podobienstwu. Goraczkowo rozglądał się dookoła, szukając jakiegoś przykładu na dowód, że wygląd zewnętrzny może być mylący.

-Skoczki, Jony - Maba podsunęła mu rozwiązanie - przypomnij sobie skoczki i cegosze! Porównanie, które kiedyś zrobił, by ją przekonać! Żeby tylko przekonało i Voaka. Jony gestykulował. Najpierw nadał znak określający skoczka, później znak ukrycia się i polowania, potem znak cegosza i znowu ukrycia się. Cały Lud doskonale wiedział o dziwnym sposobie maskowania się, który skoczki stosują, o tym, jak często udaje im się zwiść wybrana ofiara.

Nakreśliwszy te znane Ludowi sytuacje, przeszedł teraz do porównań.

-Ci z niebo: skoczki. Jony, Maba, Goegee: cegosze. Wyglądac podobnie, być różni. - Voak wydawał się rozważać te myśli. Jony brnął dalej: - Jony złapany; znaleźć Yaa, Voak, Corr, Uga. Jony zrobić, oni wyjść ze złego miejsca. - Temu Voak nie mógł zaprzeczyć. Chłopiec ciągnął dalej: - Jony nie być krewnym dla złych ludzi ze statek, Jony być krewnym dla Voak, Yaa.

Czekał w napięciu. Przemawiał na swoją korzyść najlepiej, jak umiał. Jeśli Voak odrzuci te jego argumentacje, nie uwierzy mu, wówczas oboje, Jony i Maba, nie będą krewnymi, pozostaną samotni, niezależnie od tego, co zrobili, by uwolnić Lud.

Yaa odezwała się znowu ze swego miejsca. Voak poruszył się niespokojnie, na chwilę się od niej odwrócił, a potem przemówił

do Jony'ego:

-Geogee zabrac zly ludzie do kamienne miejsce - zasygnalizowal.

-Geogee nie wiedziec, co byc z Yaa, Voak. Geogee, Maba: myslec, wszystko byc dobrze.

Czy Voak w to uwierzy?

-Zly ludzie znalezc moc i zrobic z Lud rzeczy. Miejsce kamienne miec taki moc.

Jony nadal znak potwierdzenia i dodal odwaznie:

-Lud musiec nie dac zly ludzie zabrac moc. Voak rozwarl szczeki, ukazujac rzad przerazajacych klow. Na jego twarzy pojawil sie wsciekly grymas, a pysk wykrzywil mu sie tak jak w czasie walki z jaszczurem smaa czy ptakiem vor.

-Voak, Lud nie miec taki kij - odwrocil sie i wzial kij z lap Trusha, potraszajac nim przed twarza Jony'ego - jak zly ludzie miec. Oni miec maly kij; robic Lud spac, a potem zabrac Voak, zabrac drugie.

Jony wyciagnal ogluszacz z przedniej kieszeni stroju i podal go wodzowi.

-Maly kij na spanie dla Voak - powiedzial.

Lecz wodz zrobil krok do tyłu:

-Zly rzecz, nie dla Lud.

-Lepiej Lud to mieć i nie iść na statek znow.

Z grupki zgromadzonej za legowiskiem Yai przepchnął się do przodu stary Gorni. Trzymał w ręku metalową dzidę znalezioną przez Jony'ego. Zakrzywionym koncem celował prosto w piers chłopca.

-Ty daj łapę - zasygnalizował.

Jony przelożył ogluszcza do lewej ręki i wyciągnął prawą. Zanim zdążył zaprotestować, Gorni złapał go za przegub mocnym, unieruchamiającym chwytem. Mimo swego zaawansowanego wieku, były wódz dysponował jeszcze tak wielką siłą fizyczną, że nie mógł się z nim pod tym względem równać zaden z przybyszów z dalekiego świata. Opuścił ostry koniec dzidy, nakluwając skóre na dłoni Jony'ego. Potem nachylił nad nią pysk i obwachiwał pojawiające się krople krwi. Jony nie pojmował znaczenia tej całej operacji. Z poruszenia wśród Ludu mógł jednak wywnioskować, że był to akt wielkiej wagi. Gorni skończył weszyc i podniósł głowę: - Dobrze pachnieć, być krewnym dla klanu. Jony wydal westchnienie prawdziwej ulgi. W jaki sposób zapach jego krwi miał się do przyjęcia na łono klanu, tego nie umiałby powiedzieć. Lecz ze zmiany zachowania Ludu wynikało, że - przekonani przez Gorniego uznali go znow za swego. Będąc jednym z nich, musiał dolożyć staran, by zrozumieli niebezpieczeństwo grożące ze strony statku. Nie tylko teraz, ale i w przyszłości. Może Maba miała rację, że ten statek był zwiastunem przyszłej kolonii. Cały ich klan znalazł się więc w potrzasku i musiał gdzieś się przenieść. W jaki sposób i w jakim kierunku - Jony nie miał pojęcia. Możliwe, że już chwili, kiedy statek wylądował, Lud był skazany na przegrana. Ale Jony nie chciał się z taką myślą pogodzić; trudno mu było uwierzyć, że

cos takiego mogloby sie wydarzyc.

Z wiara, z ufnością, jakiej od dawna już nie odczuwał, Jony nadal do Voaka:

-Lud musiec nie dac zly ludzie zabrac moc z kamienne miejsce.

Voak przygarbil swe potezne ramiona. Jony miał wrażenie, że i przez myśli wodza przemknęło coś na kształt obawy przed przegrana.

-Jak zatrzymac?

Rzeczywiście, jak? Jony nie potrafił jeszcze dac na to odpowiedzi. Może jak już tam beda, to uda mu sie odpowiedziec na to pytanie. Czy jednak Voak zgodzi sie złamac prawa Ludu, by wkroczyć do kamiennej siedziby budzacej w klanie taki strach i odraze?

-My musiec znalezc sposob. Oni wziac rzecz. - Latwo bylo wyobrazic sobie zamierzony, a nie przypadkowy uzytek, jaki mozna zrobic z czerwonego preta. - Oni wziac rzecz bardzo zly.

Voak kiwnal pyskiem, co w mowie jego gatunku oznaczalo potwierdzenie.

-Lud isc daleko, zly ludzie nie znalezc.

-Zly leciec w powietrze bardzo szybko, Lud isc bardzo wolno. - Jony miał racje, że Voak przyjmie te prawde do wiadomosci. On sam nie miał zadnych złudzen, co do przewagi latajacego pojazdu i statku przestworzy.

Voak może i chciał temu zaprzeczyć, ale nie miał jak. Dał natomiast Jony'emu znak do odejścia, czemu Jony musiał się podporządkować. Chłopiec wziął Mabe za rękę i poszedł na drugą stronę obozowiska, pozwalając Ludowi, by przedyskutował sprawy na swój własny sposób.

-Jony, a co, jeżeli oni nie pójdą do kamiennego miejsca? - - spytała Maba.

-Ja pójdę tak czy owak - odpowiedział jej Jony. - A teraz lepiej bierzmy się za gniazdo.

-Ja też pójdę - szybko powiedziała Maba.

-Nie! Ty zostaniesz z Yaa i z Ludem - tu miał zamiar być stanowczy.

Znow doszła do głosu jej dawna wojowniczość i Maba natychmiast mu się sprzeciwiła.

-Nie zostanę! Wiem więcej od ciebie o tym miejscu z obrazami. To ja znalazłam wejście. Jeżeli spróbujesz wyruszyć beze mnie, to i tak pójdę za tobą.

I ani chybi poszłaby. Jony nie miał co do tego wątpliwości. Nie sądził też, że Lud zrobiłby cokolwiek dla jej powstrzymania.

-Tam jest Geogee - ciągnęła Maba. - I wiesz, Jony, Geogee lubi Volney'a, cały czas za nim chodzi. Volney obiecał, że kiedyś go nauczy prowadzić statek przestworzy. Nie wydaje mi się, żeby Geogee chciał ci uwierzyć, że ci ludzie są zli. Ale może mnie posłucha.



-Kto to jest Volney? - Jony zazadał wyjaśnienia.

-To jeden z tych, którzy wiedza, jak się wzbijać w górę i podróżować w powietrzu - wytłumaczyła Maba. - Geogee całkiem oszalał na punkcie maszyn. Wiele tym ludziom opowiadał o tym, co widział w kamiennej siedzibie. A ja słyszałam, jak oni rozmawiali; sądzę, że ci dawni ludzie pozostawili tam jakieś bardzo ważne rzeczy. Jeżeli uda się nam go przekonać, wyjaśnić mu wszystko, to Geogee będzie chciał być z nimi, a nie z nami.

Była bardzo poważna i Jony wiedział, że mówi całą prawdę. Między bliźniętami była głęboka wiedza i całkiem możliwe, że Maba przekonując Geogee'a o niebezpieczeństwie zagrażającym ze strony obcych, mogła osiągnąć znacznie lepsze rezultaty niż Jony. Chłopiec nie mógł jednak znieść myśli o narazaniu jej na to, co mogło się okazać nie tylko niebezpieczne, ale i beznadziejną walką.

-Pojde! Powiedziała Maba i zabrzmiało to jak stwierdzenie faktu.

Zanim Jony zdolał znaleźć odpowiedź, Voak oderwał się od grupki Ludu i podszedł do nich. Jony, jak zwykle, nie mógł nic wyczytać z wyrazu pokrytego sierścią pyska, ale Voak już zaczął poruszać rękami.

-My pojsz zobaczyć...

W końcu udało się ich nakłonić, pomyślał Jony rzeczowo, bez triumfu. Możliwe, że był w całkowitym błędzie, możliwe, że wiodł ich ku niebezpieczeństwu. Miał tylko ten swój instynkt, który podpowiadał mu uparcie, że zostało im tylko to jedno do

zrobienia.

## XIV

Nie podchodzili do kamiennej siedziby (ktora, jak powiedziala Maba, astronauta nazywali "miastem") droga, ktora przyszedl poprzednio Jony, wzdluz kamiennej rzeki, prowadzacej prosto do samego serca miasta. Kiedy juz Voak zdecydowal sie na te wyprawe, sam objal dowodztwo nad ich malym oddzialem. Nakazal samcom i mlodziezy wyruszyt na zachod, w rejon glebszych i bardziej niedostepnych lasow, ktore - jak mieli nadzieje - beda stanowiły przeszkode dla kolejnych atakow z powietrza. Ich wlasna podroz z powrotem na pomoc odbywala sie w tempie wlasciwym Ludowi. Nawet Jony, choc tak niecierpliw, uznal to za madre posuniecie pozwalajace uniknac nadmiernego zmeczenia przed osiagnieciem celu. Przy takiej jednak szybkości potrzebowali na to dwoch dni, z krotkim tylko odpoczynkiem w nocy, gdy zapadly zupelne ciemnosci.

Przecieli otwarte tereny w poblizu kamiennej rzeki, a potem zapuscili sie w okolice wzgorz, ktore, jak sadzil Jony, lezaly niedaleko jaskini z klatka. Ten odcinek pokonywali prawie caly drugi dzien; pod wieczor osiagneli grzbiet wzgorza, skad roztaczal sie widok na miasto - nie od frontu jednak, lecz dokladnie od tylu.

Jony nie dostrzegl ani sladu latajacego pojazdu. Maszyna przeciez mogla wyladowac po drugiej stronie gesto wznoszacych sie murow. Lezac obok Voaka, ukryty w trawie i gaszczu pokrywajacym grzbiet wzgorza, chlopiec zastosowal swa metode wykrywania obecnosci tych, ktorzy mogli sie tam, ponizej, znajdowac.

Nawet jeśli ludzie w latającym pojeździe zostali w jakis sposób ostrzeżeni (Maba potwierdziła, że przybysze i innego świata byli w stanie komunikować się ze sobą na odległość za pomocą maszyn) i wzniesli taką samą barierę, jaką zastosowali ludzie na statku, by odeprzeć jego wpływy, sam fakt jej istnienia upewnił go, że nadal tam są.

Jony zaczął szukać Geogee'a. Stworzywszy w myślach obraz chłopca, wysłał swoją sondującą myśl, by pochwycić znajomy wzorzec procesów myślowych młodszego brata, ale napotkał żadnej bariery. Tak! Udało się.

Sygnal wszakże był tak słaby, że nie dawał wielkich szans na dojście tym tropem do miejsca, gdzie był Geogee. Mimo to kontakt był. Voak tymczasem unosił ponad ziemi ramiona i głowę. Najwyraźniej weszyl, poruszając swymi szerokimi nozdrzami. Potem, zanim Jony zdążył zdać relację ze swego odkrycia, Voak kiwnął mocno głową w geście potwierdzenia.

Zakosami wódz wycofał się ze szczytu wzgórza. Jony przeslizgiwał się w ślad za nim. Kiedy wzgórze, cała ta masa ziemi i kamieni, oddzielało ich już od miasta, zwiadowcy spotkali się z resztą oddziału.

-Zapach silny, oni tam być - nadal Voak.

Poważnie spojrzal na Jony'ego, a ten zastanawiał się, i robić dalej. Nie wiadomo było, czy statek ostrzegł ludzi w mieście. Jeżeli przybysze zostali już zaalarmowani, szanse klanu malowały.

Pamiętając jaskinie o kamiennych ścianach, Jony zdawał sobie sprawę, że było tam dość miejsca do zabawy w chowanego. Lud

ze swoim wrodzonym darem skutecznego ukrywania swej obecności mógł niepostrzeżenie przedzierac się dalej. Obcy mieli jednak znakomita broń o niezwyklej skuteczności, broń, która mogła razić na odległość. Lecz czy Lud zgodzi się w ogóle na wejście do miasta?

Jego towarzysze rozmawiali w swej własnej mowie,

Jony siedział spokojnie z rękami zacisniętymi na metalowej dzidzie, która mu zwrócono. Zmarszczony, rozważał różne wersje planu, kolejno je odrzucając, gdyż nie miały najmniejszych szans powodzenia. Nagle, z ogromną wyrazistością, przypomniał sobie klatkę w gorach. Nie wiedział dlaczego w tej chwili naszło go to wspomnienie.

To, czego się tam wtedy dowiedział, dowodziło, że Lud w przeszłości umiał sobie radzić, i to skutecznie, z gorującymi nad nim swą bronią ludźmi. Jony zgarbił się, pochylił do przodu, a ta jego zmiana pozycji najwidoczniej nie uszła uwadze Voaka. Wódz bowiem lekko odwrócił głowę i uważnie patrzył na chłopca.

Następny krok zależał teraz od tego, ile Voak zechce Jony'emu powiedzieć, od tego, czy Lud w pełni chłopcu ufa. Jakże bardzo, bardziej niż czegokolwiek w życiu, Jony pragnął mieć dar czytania w ich myślach. Jednak...

Voak zasygnalizował:

-Co my robic?

Czy wódz odgadł, że Jony powziął w końcu mglisty plan? Plan ten w ogromnym stopniu zależał od innych, miał wiele,

oczywistych dla samego pomysłodawcy wad i, niestety, mogli zawiesić.

-Lud być tutaj dawno. - Jony starał się uszeregować sprawy, które musiał poznać, jeżeli Lud mu pozwoli. Wskazał grzbiet, za którym leżało miasto. - Lud nosić broń, Lud być rzeczy...

Voak nie odpowiedział na to żadnym gestem potwierdzenia. Jony postanowił się nie zniechęcać.

-Jak Lud się uwolnić? zapytał śmiało.

Przez dłuższą chwilę obawiał się, że Voak odmówi mu odpowiedzi. Pozostali członkowie klanu wydawali szereg pochrzakiwań, dopóki Voak nie nakazał ciszy gestem łapy. Opuszczył pysk, dotykając nim prawie pstrokatego futra na piersi. Jony wyczekiwał.

Maba przykucnieta obok Jony'ego, poruszyła się. Jony dał jej ręką znak, by siedziała spokojnie. Chłopiec wiedział, że Voak wazy teraz w myślach kwestie odpowiedzi, jej udzielenie najpewniej oznaczało złamanie pradawnych praw klanu.

Wreszcie jednak wódz podniósł swe czarnoskóre dłonie i zaczął nadawać znaki, jak gdyby pragnął mieć pewność, że Jony zrozumie.

-Tamci być chory. Mnóstwo umrzeć. Lud nie umrzeć. Lud być silny, złamać broń, wyjść z klatki... Złapać ludzi w pułapkę. Zabrać ludzi z miejsca, gdzie oni mieć silny broni. Wsadzić do miejsca bez silny broni. Ludzie umrzeć. Lud być wolny, nigdy nie nosić broń.

Tak wiec to choroba oslabila tworcow miasta, wystawila na gniew i bunt Ludu. Ta pulapka...

-W kamienne miejsce - spytal Jony tam byc pulapka dawno?

Voak potwierdzajaco kiwnal glowa.

-Pulapka byc tam teraz?

-Dlugo, kto wiedziec? - nadeszla odpowiedz.

-Wy umiec to znalezc? - nalegal Jony.

Znow zapadla chwila ciszy, po czym zaczeli mowic wszyscy naraz. Na koniec Voak odparl:

-Nie wiedziec.

-Czy wy chcecie szukac pulapka teraz? - Byla to jedna z wazniejszych spraw do ustalenia. Jony naklonil Lud, by ten zblizyl sie do miasta, lecz czy Lud zechce teraz do niego wejsc?

-Dlaczego? - Voak odparl pojedynczym gestem,

-Zlapac ludzie w pulapka - odpowiedzial Jony.

-Oni nie byc chorzy, oni miec zly rzecz. Robic Lud spac, Lud obudzic sie na statek znowu.

-Ja isc sam do kamienne miejsce. Znalezc tamci, byc krewni. Oni sluchac, ja mowic: mozna znalezc rzeczy. Zabrac ludzie do pulapka.

Oto był jego lichy plan i nawet w chwili, gdy go przedstawiał, wiedział, że może on zawieść na wiele sposobów. Jeżeli ci z miasta połączyliby się ze statkiem, dowiedzieliby się, że Jony jest wrogiem. A wówczas...

-Ja idę - powiedziała Maba najpierw głośno, a potem w mowie znaków, by Lud mógł zrozumieć. - Czy ty nie widzisz. Jony - dodała, zwracając się znowu i niego - że się zmieniam, że dzięki tobie wiem, jak źle się dzieje. Poza tym muszę być z Geogee'em, bo wtedy będę się mogła zaprzyjaźnić z tamtymi ludźmi. Oni mnie znają i prędzej uwierzą mnie niż tobie.

-Nie! - Jony odmówił szorstko. Jej nalegania miały w sobie coś prawdziwego i logicznego, lecz jeśli nadeszła jakaś wiadomość ze statku, ludzie w mieście będą już wiedzieć o tym, jak ważną rolę w ucieczce rodzeństwa i Ludu odegrała dziewczynka.

-Mnie pierwszej uwierzą - powtarzała z większym niż zwykle uporem.

Voak nie mógł nic zrozumieć z tej ich wymiany zdań. Podniósł się jednak ociężale, a reszta za nim.

-My idźmy do kamiennej miejscy - oświadczył i zabrzmiało to z mocą rozkazu.

Nie opuszczali się w dół zbocza wystawieni na widok, tak jak się tego obawiał Jony, lecz skreślił bardziej na wschód. Voak objął prowadzenie, za nim postępowali Trush i stary Gorni. Potem szli Jony i Maba, a reszta formowała tylną straż. Droga wiodła wzdłuż wąskiej doliny leżącej poniżej grzbietu, kierując się ku wyższym wzgórzom poza miastem.

Tak jak poprzednio w czasie wyprawy do jaskini z klatka, Lud i teraz kroczył równym krokiem i miarowo dudnił, waląc rekojesciami swych kijów w ziemię. Jak dotąd nie zaczęli pokrzykiwać, ale Jony obawiał się tego. Taki hałaśliwy pochod mógł ich zdradzić, mógł zostać wykryty przez jakąś maszynę latającego pojazdu. Jony wiedział jednakże lepiej było nie nakłaniać Ludu do ostrożności w tym względzie. Znali niebezpieczeństwo. Niewatpliwie na swój sposób starali się mu przeciwdziałać.

Dolina zweźlała się, przechodząc w wąski parow. Tu po raz pierwszy Jony zobaczył kamienie wyglądające spod cienkiej warstwy ziemi. Budowniczości miasta byli i tutaj.

Właśnie w niektóre z tych kamieni (Jony'emu trudno powiedzieć, dlaczego wybierali właśnie te, a nie inne, zasady wyboru trudne były do określenia) uderzali członkowie klanu swymi kijami. Wynikiem było odbijające się echem głuche dudnienie. Jony nasłuchiwał innych odgłosów; bał się, czy nie usłyszy przypadkiem brzęczenia latającego pojazdu, który mógł wyruszyć na poszukiwania.

Dolina kończyła się ścianą całkowicie odsłoniętą na skutek obsunięcia się ziemi. Kamienie tworzące te przeszkody nie były jednakowe. Jony'emu udało się odróżnić zarys otworu wejściowego, który zatykały wtłoczone w niego słabiej obrabione i bardziej chropowate skały.

Dwóch członków klanu oderwało się od grupy i zaczęło rekojesciami swych kijów uderzać w kamienie, mierzac jednak nie w te, które zamykały dawny otwór, lecz w samą masywną ścianę. Voak, Trush i Otik podeszli do muru i zaczęli pazurami



podwazac skaly zamykajace wejscie. Jony przepchnal sie i dolaczyl do nich. Odsunal ich j na boki i ostrym koncem swej dzidy wydobywal ziemie spomiedzy skal, podwazajac kamienie dzida jak dzwignia.

Oczyszcili wreszcie przejście i staneli przed ciemnym otworem z ktorego dobywalo sie przejmujace wilgocia i chlodem powietrze. Jony z niepokojem badal otwierajaca sie przed nimi droge. Nie mial ochoty ryzykowac wejscia w nieznana ciemnosc.

Voak dal mu znak;

-Dac dzida!

Jony wpatrywyl sie ze zdumieniem w wyciagnieta lape. Przez chwile myslal, ze wodz znow mu nie dowierza, ze teraz, kiedy ruszaja naprzod, Voak chce go rozbroic. Zdecydowany nie ustepowac, zaciesnil uchwyt na swej broni.

Voak musial sie tych obaw domyslac, gdyz znow zaczal nadawac palcami.

-Dzida potrzebny na przejście.

Sluszenie. Jony i Maba wciaz mieli dwa ogluszacze zabrane ze statku. A Voak na pewno wiecej od nich wiedzial o tej ukrytej drodze. Chlopiec ociagajac sie podal swa znaleziona bron wodzowi.

Voak uniosl metalowy pret, zdawal sie wazyc go w reku, po czym zaczal walic nim w sciane. Jego pokryta futrem glowa znieruchomiala, jak gdyby w oczekiwaniu jakiegos dzwieku w

odpowiedzi. Dudnienie to miało rzeczywiście bardziej przenikliwe, czystsze od uderzeń drewnianymi kijami brzmienie. Voak zamachnął się potężnie i po raz ostatni dzida głośno zadzwieczała o skałę; wódz wkroczył teraz do ciemnego przejścia, a idąc, nadal walił dzidą w ziemię. Reszta maszerowała za nim w tej samej kolejności co poprzednio. Maba złapała Jony'ego za rękę, zaciskając mocno palce.

-Dokąd idziemy? spytała nie głośniejsze od szeptu.

-Gdzieś do miasta - odpowiedział jej Jony, starając się, by zabrzmiało to niedbale i uspokajająco. Jednakże miare jak światło za nimi stawało się coraz słabsze i słabsze, a droga przed nimi coraz ciemniejsza, trudniej mu było zachować poprzednią wiarę w powodzenie.

Uderzanie kijami nie ustawało. Jony chciałby znać jego przyczynę. Czy był to tylko obrzędowy gest stosowany przy zbliżaniu się do nieznanego miejsca? Czy też dudnienie miało bardziej określony, praktyczny cel? To przejście było przynajmniej równe, biegło poziomo i nie było tu żadnych gwałtownych spadków, zeslizgów w nieznaną, z jakimi mieli do czynienia w czasie swojej wcześniejszej przygody.

Powietrze było zastale, mocno pachnące ziemią. Jony zaczął odczuwać lekki ból głowy, który powiększał się z każdym uderzeniem kijami w ścianę.

Chłopiec próbował zgadywać, co leży wokół nich, w ciemnościach. Miał wrażenie, że nie było to już wąskie przejście, lecz szersza przestrzeń, gdyż słabe echo dudnienia miało teraz inny dźwięk. Parę razy, kiedy odwracał głowę, widział słabe

Isnienie oczu swych towarzyszy.

Maba milczala i tylko sciskala go mocno za reke, co wskazywalo na jej napiecie. Jony pragnal dodac dziewczynce otuchy, zapewniajac, ze wktotce znajda sie u konca tej drogi, ale nie wiedzial, czy tak bedzie naprawde.

I znow, tak jak to sie juz kiedys wydarzylo, zaczelo sie przed nimi powoli pojawiac szare swiatlo. Niebawem bylo juz widac, ze znajduja sie rzeczywiscie na rozleglej plaszczyznie. Voak kierowal sie nadal na wprost, pomiedzy dwoma rzedami kamiennych podpor. Czy byla to druga czesc magazynow? Jesli tak - musza byc podwojnie czujni, by nie zdradzil ich halas.

Nie bylo tu zadnych pudel ani obrazow na scianach. Nagie sciany pokryte widocznymi w tym skapym, mrocznym swietle wglebieniami, mialy ponury wyglad. Zblizali sie do jednej z nich. Na koniec, gdy podeszli blizej, spostrzegl szereg wystepow, ktorych ludzie z miasta uzywali kiedys, by dostac sie na wyzszy poziom.

Dwa ostatnie stapniecia Voaka i pozostalych nastapily w ciszy - przestali juz dudnic. Voak podniosl glowe, tak ze jego pysk skierowany byl na wznoszace sie stopnie. Bylo dosc swiatla, by zauwazyc, ze wodz weszy.

Jony, majac mniej wrażliwy nos, nie wyczuwal poza zatechlym zapachem wiszacym w powietrzu od samego poczatku... Wiedzial jednak, ze Lud jest pod wzgledem wechu znacznie lepiej wyposazony przez nature.

Nie wiadomo bylo, czego poszukiwal Voak, wydawal sie jednak

zadowolony. Nie dawszy żadnego wyjaśnienia zaczął się wspinać. Teraz posuwali się w absolutnej bezszelestnie stając na swych miękkich łapach.

Niedługo wynurzyli się na światło dnia. Powitał ich zachód słońca. Wspaniały blask ze szczeliny w murze ponad ich głowami kładł się szeroka smuga na kształt drogi ku szczytowi wzniesienia. Jony rozejrzył się dookoła i niezbyt daleko przed sobą dostrzegł miejsce, gdzie leżał spiący. Biegające w ukryciu podziemne drogi zaprowadziły ich do samego serca miasta.

Ponieważ członkowie klanu po raz pierwszy się zawahali, Jony zaczął się przepychać do przodu. Nie posunął się zbyt daleko, gdyż powstrzymały go jakieś odgłosy. Były to z pewnością głosy ludzkie, tak jednak stłumione, że nie dało się odróżnić poszczególnych słów. Na dole, w przejściu prowadzącym do magazynów zobaczyli astronautów.

Geogee? Jony znowu się skoncentrował, usiłując odnaleźć chłopca. Nie było żadnej bariery, jak się tego obawiał. Siła swych myśli Jony szybko uderzył w umysł Geogee'a. Chyba za szybko i za mocno. Wycofał się więc. Czy Geogee zdradzi się przed obcymi, czy zaszokowany kontaktem z Jonem przyzna im się do tego?

Jony wyjął ogluszczyk z przedniej kieszeni swego stroju, gdzie bron spoczywała przez cały czas bezpiecznie. Gdyby tak ich oddział mógł wziąć astronautów przez zaskoczenie, w czasie gdy tamci będą prowadzić poszukiwania tam w dole...

Głosy zbliżały się... Jony nie musiał dawać żadnego ostrzegawczego. Lud rozplynał się już w cieniu, Maba z nimi.

Jony przemykał się od podpory do podpory, korzystając z osłony dawanej przez te ogromne, wznoszące się wysoko kamienne kregi, tak jak w lesie korzystałby z drzew.

Był prawie naprzeciwko drugiego wejścia i zdążył się już przekonać, że astronauta nie poprzestali na samych poszukiwaniach. Mieli w końcu dość czasu, by dokonać wyboru wśród rzeczy należących kiedyś do ludzi z miasta. Toteż Pietrzył się tam, na kształt ściany, wielki stos kolorowych pudeł; ich jaskrawe barwy przemieszane były ze sobą. Ile z nich zawierało prety? Nie dało się tego odgadnąć, nie było też czasu, żeby sprawdzić, bowiem do wyjścia zbliżało się dwóch najezdźców niosących skrzynie.

Szli pochyleni ku sobie pod ciężarem dzwiganego ładunku. Jony skorzystał z okazji i, mając na to dłuższą chwilę, wycelował z zamiarem, by trafić ich obu za jednym strzałem. Nacisnął przycisk i wystrzelił.

Jeden z mężczyzn opadł bezwładnie na ziemię, drugi wydał okrzyk przerażenia, upuścił swój koniec skrzyni i przez chwilę szedł jeszcze, zataczając się, dopóki Jony nie trafił go następnym promieniem. Ten odgłos padającej na podłogę skrzyni, ten krzyk - czy nie zaalarmują reszty astronautów, którzy nadal byli na dole?

Voak i inni członkowie klanu nie potrzebowali rozkazów. Przemknęli między podporami, pochwycili dwóch nieprzytomnych mężczyzn, zawijając ich szybko w wielkie siatki, które mieli ze sobą. Ilu jeszcze wrogów tam było? Maba przypuszczała, że było ich w sumie czterech, nie licząc Geogee'a, ale nie była tego pewna.

Jony uderzył teraz w inny sposób. Nie mógł zastosować przymusu mentalnego, wymierzyć w nich swą myśl. gdyż ani nie miał ich na widoku, ani nie znalazł na tyle, przedstawić sobie w myślach ich obraz. Za pośrednictwem chłopca Jony powinien jednak łatwo pokonać trudności, tak jak to już kiedyś zrobił, szukając dzieci w kamiennym mieście.

Rutee jego dawna obietnica! Rutee nie mogła jednak przewidzieć sytuacji takiej jak ta. Uwolniłaby go z danego słowa, gdyby dotrzymanie obietnicy oznaczało zgubę dla Ludu, który ocalił ją i jej dzieci.

-Geogee! - Jony wysłał rozkaz, mierząc z taką samą dokładnością, z jaką przed chwilą celował z ogluszacza.

-Chodź!

Miał już chłopca! Geogee usłuchał wezwania.

-Chodź!

Geogee musiał już być blisko wyjścia, bo nawiązany kontakt był bezpośredni, niczym nie zakłócony. Jony utrzymywał intensywną łączność, dopóki postać Geogee'a nie wynurzyła się na zewnątrz. Chłopiec miał oczy szeroko otwarte i utkwione w przestrzeń, nieruchome spojrzenie jak każdy mentalnie sterowany. Jony skrzywił się z bólu na ten widok. Lecz tak być musiało.

Maba podbiegła lekko, złapała brata za zwisającą luźno, bezwładną rękę i pociągnęła go szybko za sobą w mrok, poza smugę światła padającą z wysokiego okna.

-Co jest z tym chłopcem? - Jony pochwycił całkiem wyraźne słowa z rozmowy astronautów.

-Może nie mógł dłużej wytrzymać w tej norze. Ja już też mam dość. Skonczmy z tym na razie.

-Skonczyć? Całe miesiące zajmie nam opróżnianie tego miejsca. Co za odkrycie! Nie sadzę, żeby coś takiego, w tak nienaruszonym stanie, zostało kiedykolwiek znalezione. Kim byli ci budowniczości miasta? Wyglądają na tych obrazach jak czystej krwi Terranie.

-Możliwe. Jeżeli wierzyć kronikom wiele statków startowało w nieznaną, wyruszało, żeby zakładać kolonie. Albo kolonie kolonii i kolonie tych kolonii. Chciałbym jedynie wiedzieć, co się stało z...

Rozmawiający pokonali już wznoszący się w górę korytarz. I oni dzwigali skrzynie. Wprost na ich drodze leżała pierwsza skrzynia, którą ich towarzysze upuścili, zanim zostali pojmani. Widząc ją, nowo przybyli zatrzymali się w miejscu.

-Na ziemi! - Jeden z nich zwolnił uchwyt, upuścił dzwigany ciężar i przypadł do podłogi, kryjąc się za skrzynią. Jego towarzysz dołączył w ułamku sekundy. Jony nie potrafił powiedzieć, co ich zaalarmowało.

Jony słyszał, jak wślizgiwali się za barierę spiętrzonych lupów, które poprzednio przyniesli. Wystrzelił z ogluszacza dwa razy. Najwidoczniej moc broni nie mogła przez te bariery przeniknąć. A kiedy spróbował mentalnego ataku napotkał na opór zabezpieczającej osłony.

Sadzac po odgłosach, astronautykierowali się na; zewnątrz, chcąc się dostać do swego latającego pojazdu. Jony nie miał większych wątpliwości, co do ich zamiarów, i jeśliby dostali się do pojazdu i udaloby się im odlecieć wówczas oni, on i Lud, byłiby zgubieni.

Jony zaczął biec po swojej stronie sterty pudeł. Czy któryś z najezdźców wyciągnie teraz pret i użyje go? Chłopiec czuł posmak strachu, ale nie powstrzymało to jego rozpaczliwej pogoni za obcymi.

## XV

Przybysze wynurzyli się spoza ściany pudeł, uniosł ogluszczyk i, starannie celując, miał właśnie strzelić, kiedy sam poczuł uderzenie. Nie był to żaden cios, lecz takie samo osłabienie mięśni i niemożność utrzymania się na nogach, jakich doznał poprzednio, kiedy tak łatwo padł ofiarą ataku astronautów. Jego ciało zwiotczało i upadł twarzą w dół, niezdolny, by odwrócić głowę; tym razem jednak nie stracił przytomności.

Geogee! Umysł Jony'ego - w starym pogotowiu - odebrał właśnie gwałtowny przyływ gniewu i strachu malca. Jony usłyszał tupot nog. Uciekający astronauty musieli już być poza budynkiem, lecz Geogee'a z nimi nie było.

Jony znowu spróbował nawiązać kontakt. Napotkał teraz jednak taką samą barierę, jaką umieli wznosić ludzie na statku. Ogromnym wysiłkiem woli walczył z obojętnym ciałem bezruchem; jego opór jednak był zbyt słaby.

Usłyszał dobiegający z tyłu szelest kroków. Geogee? Następny



astronauta? Szarpniety za ramiona, potoczył się i leżał bezwładnie, wpatrując się w Geogee'a.

Malec spoglądał na niego spode łba. Procz ubrania ze statku, miał też przypominające banke nakrycie głowy, które, o wiele na niego za duże, wspierało mu się na ramionach i ciągle się przesuwalo, tak że musiał je nieustannie poprawiac. W drugim reku trzymał gotowy do strzału ogluszacz.

-Geogee... - Jony odkrył, że może jednak ułożyć wargi i wydobyć z nich cichy szept.

Geogee, nawet jeśli to usłyszał, nie dał po sobie nic poznać. Oszedł natomiast Jony'ego dookoła, podniósł jego ogluszacz upuszczony w czasie upadku i wepchnął go sobie z przodu za ubranie. Zachowywał się tak, jak gdyby zachodziła pilna konieczność zawładnięcia tą bronią.

Potem po raz pierwszy przemówił:

-Co oni z nimi zrobili?

Jony nie miał pojęcia, o co chłopcu chodziło. Wysiłił się, żeby wyszeptać:

-Kto, z kim?

-Z Volneyem i Isinem. Widziałem jak Lud ich stąd zabierał. - Geogee wyprostował swój helm i machnął ręką w kierunku tylnej części długiej sali.

A więc Lud odszedł, zabierając ze sobą więźniów. Jony'emu trudno było się z tym pogodzić; był zaskoczony w pierwszej

chwili, że zostawili go samego. Geogee nachylił się nad nim.

-Pytałem, gdzie oni mają zamiar ich zabrać? - Mrugał nerwowo i przez cały czas krecił się niespokojnie. Jony, mimo że nie mógł już zastosować mentalnego kontaktu, zdawał sobie sprawę, że Geogee był w stanie wielkiego podniecenia, a może nawet strachu.

Kiedy Jony zwlekał z odpowiedzią, chłopiec wyciągnął ogluszczyk i wycelował prosto w głowę swej ofiary.

-Dostaniesz jeszcze raz - zawołał piskliwie i potem nie będziesz w ogóle wiedział, co się dzieje.

-Jeśli nic nie będę wiedział - odparł mu Jony to jak się będę mógł dowiedzieć tego, o co pytasz? Geogee, to ja, Jony. Dlaczego to robisz?

Oczy Geogee'a biegały na wszystkie strony, jakby w każdej chwili oczekiwał zewsząd ataku.

-Pozwoliłeś im zabrać Volneya - wybuchnął Geogee. - Te zwierzęta, one go zabija! Ty, ty... - zakończył swe oskarżenie belkotem, jak gdyby nie mógł znaleźć dość obelżywego określenia dla Jony'ego.

Teraz sam z kolei zaniemówił, słysząc głos wołający go spoza sterty pudel:

-Geogee?

-Maba! Co ty tu robisz? Zostaw mnie w spokoju! - Geogee na chwilę odwrócił uwagę od Jony'ego. Gdyby Jony mógł się

poruszać, na pewno wykorzystalby ten moment. Ale mimo wysilkow woli, jego ciało pozostawalo nieruchome.

-A co ty robisz, Geogee? - natarła dziewczynka. Zblizala sie, pojawiajac sie w zasiegu wzroku Jony'ego. Obie rece miala puste; ogluszacz, który poprzednio nosila, zniknal.

-Chce wiedziec dokad zabrali Volneya! - powtorzył glosno jej brat. - Widzialem, jak go wlekli, jego i Isina! Moga go zabic...

Chlopiec szalal, okazujac tak silny gniew, jakiego Jony nigdy dotad u niego nie widzial. Geogee wyciagnal teraz ogluszacz i wymierzyl w siostrę.

Ignorujac te grozbe, Maba podeszla smialo i stanela przed Geogee'em; Jony lezal pomiedzy nimi. Twarz dziewczynki byla tak spokojna, jak gdyby własnie sie obudzili w klanowym gniezdzie, jak gdyby zadne brzemienne w skutki wydarzenia nie zaklocily ich spokojnego zycia.

-Lud ich nie .zabije - stwierdzila stanowczo.

-Skad wiesz? To zwierzeta! Zawsze zabijaja, kiedy czuja sie zagrozeni - wyrzucil z siebie z furia. - A jak ty jak sie tu dostalas, co robisz z dala od statku?

-Przyszlam tu, bo on mnie przyprowadzil - wskazala Jony'ego. - Przeciez zawsze musimy robic to, co chce, to, co nam kaze robic, no nie?

Geogee rozesmial sie, a w jego glosie zabrzmiala nuta lekcewazenia.

-Koniec już z jego rozkazami, teraz mam to! - walnął w swój hełm tak mocno, że aż mu się przesunął i musiał go znowu poprawić. - Jony nie wie o tym, więc w chwili, kiedy zwolnił swój wpływ, przedko złapałem swój hełm i włożyłem go. Ci ze statku wiedza, do czego Jony jest zdolny. Ale nade mną więcej nie zapanuje. Nic już nie może zrobić, tylko tu leżeć. Co, Jony? - Spoglądał w dół, wpatrując się w swego więźnia z nieprzyjemnym uśmiechem. - Rutee kazała ci przyrzec - wysyczał - że nigdy nie będziesz panował nad naszymi umysłami. Ale zrobiłeś to! Sporo się od Wielkich nauczyłeś. Ale ja nauczyłem się jeszcze więcej, od Volneya. I mogę pokierować tobą. Zobacz, pokażę ci jak...

Odwracając rękojeść broni obcych, coś tam przestawił i raz jeszcze wymierzył w Jony'ego, nacisnął przycisk i poprowadził emitujący nieznaną moc ogluszacz wzdłuż całego ciała swej ofiary.

Jony poczuł w ciele mrowienie. Do zdrtwiałych kończyn zaczynało chyba powracać krącenie. Natychmiast spróbował się poruszyć, ale mimo usiłowań nie udało mu się pokonać straszliwego bezruchu.

-Wstawaj! - zakomenderował Geogee. Ku niepisanej zgrozie Jony'ego, jego ciało, choć wolno i niezdarnie, poruszyło się. Owiadł nim strach: był mentalnie sterowany! Ale nie w taki sposób, w jaki sterowali Wielcy. Był to odmienny rodzaj zniewolenia i jego wynik też był inny.

Stanawszy na nogach, kołysał się w przód i w tył, a jego umysł rozpaczliwie walczył, by odzyskać panowanie nad ciałem. Czuł się opleciony niewidzialną siecią obcej siły. Geogee cofnął się; ogluszacz trzymał cały czas wymierzony w środek ciała Jony'ego.

A Jony, chwiejnie stojąc na nogach, zmuszony został do posłuchu i niepewnie, zataczając się, kroczył przyciągany niewidzialną siłą.

Widzisz? - Geogee znowu się zasmiał. - Teraz Jony nie panuje już nad nami, tylko my nad nim! Zmusimy go, żeby pomaszerował wprost do pojazdu. Tam czekają Varcar i Hansa. Zawieziemy go na statek. Już kapitan będzie wiedział, co z nim zrobić.

Ku wielkiemu zdziwieniu i konsternacji Jony'ego, Maba zawtorowała Geogee'emu śmiechem.

-Bardzo sprytnie, Geogee - pochwaliła brata. - wiedziałeś, jak to zrobić? Kiedy wzięłaś mój ogluszacz, nie powiedziałeś mi, że...

Volney mi to pokazał, kiedy mu opowiedziałem o Jonym. Volney wie więcej niż się Jony'emu wydaje. Volney mnie lubi. Mówi, że jak polecimy z nimi do ich świata, to postara się, żebym się kształcił na pilota, nauczył się prowadzić ich maszyny. Volney mówi, że jestem bardziej pojętny niż inni chłopcy, że mam do tego głowę. Volney... Twarz Geogee'a znowu wykrzywił paskudny grymas. - Volney! Te zwierzęta go mają! Musimy go uwolnić. Jony, gdzie oni są; zaprowadzi nas tam, i to zaraz!

-Jony nie wie wszystkiego - odpowiedziała Maba. Próbował przyprowadzić tu Lud, zmusić do walki z astronautami. Lud przyszedł, ale nie walczył. Nie chcieli walczyć, zwyczajnie uciekli. Uciekli i porzucili Jony'ego. Nie zabiora Volneya i tego drugiego daleko; boją się ludzi z kosmosu. Jeżeli pojedziemy za nimi, zostawimy Jony'ego... Pamiętaj, że on, przymuszony przez ciebie, idzie powoli, a my idąc w takim tempie, nie zatrzymamy

Ludu. Masz to. - Wskazala ogluszacz. - Mozesz latwo odbic Volneya Ludowi. Ale musimy sie spieszyc, zeby ich dogonic. Geogee zaczal sie zastanawiac, przeniosl wzrok z Jony'ego na siostry i skupil uwage na tym, co mowila Maba. Jony'emu zrobilo sie bardzo przykro. Co sie z Maba stalo? Na statku pomagala w ucieczce; bez jej bystrosci umyslu nie poradzilby sobie. A tutaj, do miasta, pozwolil jej przyjsc, gdyz wiedzial, jaki ma wplyw na Geogee'a. A teraz uzywala swego wplywu, naprowadzajac uzbrojonego w bron obcych brata na trop Voaka i pozostalych czlonkow klanu. Odkad wynurzyla sie z cienia, ani razu nie spojrzala wprost na Jony'ego, nic tez nie wskazywalo, ze jest w stosunku do swego brata blizniaka w opozycji.

-Zostawic Jony'ego? - Geogee powtorzil w zamysleniu. Ale oni chca go miec, chca sie dowiedziec, w jaki sposob on na nas wplywa, kieruje nami. Volney mowi, ze moze to mutant.

-Co to jest mutant? - Najwidoczniej bylo to dla Maby nowe pojecie.

-Ktos, kto jest inny, odmienny od pozostalych. I mi sie wydaje. Ale oni chca sie dowiedziec wszystkiego o Jonym.

-Prosta sprawa - Maba zrobila lekcewazaca mine. - Zostaw go tu, mozesz go jeszcze ogluszyc albo zostawic go tak jak teraz, pod twoja kontrola. Nie bedzie w stanie stad uciec. Jezeli bedziemy czekac, to Lud moze ukryc Volneya, zanim ich dogonimy.

-Oni nie sa Ludem! - obruszył się Geogee. - Volney powiedzial, ze oni nie osiagneli takich odczytow na skali. Nie sa podobni do nas. Jony jest glupi, bo zawsze nam wmawial, jacy to oni sa wspaniali. A co do zostawienia go tutaj... sam nie wiem. - Jego

stosunek do wieznia nadal był ostrożny.

-Oj, chodź już - Maba zaczęła się niecierpliwić. - Wiesz, że nie może uciec. Zresztą tamci dwaj tu wroca. - Wykonała gest wskazujący spiętrzone pudła. - Na pewno nie zostawia tego wszystkiego, ani ciebie, Volneya i Isina.

Geogee po namyśle przytaknął. I choć przyglądał się Jony'emu taksująco, opuścił nieco bron.

Jony wykonał teraz ruch, na który zdecydował się w czasie tej krótkiej wymiany zdań między najwyraźniej go ignorującymi bliźniętami. Pozwolił swemu ciału znów upaść bezwładnie na chodnik tak, jakby nie mógł już dłużej być posłuszny rozkazującemu wpływowi. Zanim nie upadł, nie był pewien, czy będzie mógł w ogóle zrobić coś takiego, kierując się własną wolą. Teraz, zmusiwszy się z powodzeniem do spełnienia swojego zamiaru, odzyskał nieco pewność siebie utraconą w wyniku działań Geogee'a.

-Spojrz na niego! - Maba lekko kopnęła Jony'ego w plecy i ruch tej nogi to było wszystko, co mógł dostrzec w swym ograniczonym polu widzenia. - Myślisz, że ci gdzieś ucieknie?

-No, dobra - przyznał jej rację Geogee - - on faktycznie nie da rady uciec. Ale nie dam mu nowej dawki promieni. Volney mówi, że Jony musi być w dobrym stanie, kiedy beda go badac.

Geogee! - pomyślał Jony z zalem. Kimże był ten Volney, że w przeciągu dni przybysz z obcego świata zdolał zniweczyć wiezy łączące chłopca z tymi, których Geogee znalazł od urodzenia? Sam Jony znienawidził astronautów z całego serca, kiedy zobaczył, że

Yaa jest przedmiotem ich doswiadczen. Teraz ta nienawisc przerodzila sie chlodna determinacje. Skoro potrafili tak przekonac Geogee'a, to byli jeszcze gorsi od Wielkich. Geogee mogl wewnetrznie nie sprawiaac wrazenia mentalnie sterowanego, myslal wedlug wzorcow narzuconych przez obcych. I za to Jony tez chcial sie z nimi policzyc. A Maba...

Zaczal wyczuwac, ze mogla prowadzic jakas wlasna gre. Ze tez odwazyl sie jej zaufac... nie, nie byl pewien, co o tym myslec. Jesli Maba poprowadzi Geogee'a sladem Ludu, nie bedzie wowczas najmniejszych szans na zwyciestwo.

Jony wsluchiwal sie w oddalajacy sie odglos krokow dzieci. Nie byl pewien, czy uda mu sie zerwac niewidzialne wiezy, ktorymi spetal go Geogee. Dopoki chlopiec byl w poblizu i mogl wystrzelic ze swej broni, Jony nie odwazyl sie nawet sprobowac.

Zalegla gleboka cisza. Jony gromadzil wszystkie sily. Trzymalo go w napieciu takze i to, o czym wspomniala Maba: dwaj astronauta, ktorzy uciekli, mogli wrocic i natknac sie na niego; nasluchiwal ich krokow, az w koncu nie mial juz sily dluzej czekac.

Skoncentrowal sie na prawej rece lezacej przy policzku, starajac sie poruszyc palcami. Udalo sie; bariera, choc odczuwalna, nie byla az tak silna, by mu w tym przeszkodzic. Nabrawszy otuchy, skupil na tym ruchu wszystkie sily. Palce rozczapierzyly sie jak szpony, zadrgaly i zaczely pelzac po ziemi w sposob przypominajacy ruchy ospalego owada.

Choc nadal byl oslabiony, mogl sie ruszac! Jak dlugo moze trwac wyrwanie sie z calkowitego wplywu broni? Mozliwe, ze pozostalo



mu bardzo mało czasu. Dłonie leżały na płask w grubej warstwie pyłu; spróbował usztywnić przegub, jedna ręka, potem druga, a teraz unieść się na obu.

Udało się, choć Jony, bardzo słaby, obawiał się, że gdy ręce odmówią mu posłuszeństwa, upadnie z powrotem twarzą w dół. Trzeba się bardziej starać! Zdolał dźwignąć się na kolana. Bolała go głowa, a w nadchodzących zawrotach głowy wszystko wokół chwiało się w i w przód.

Nie było oczywiście mowy o tym, by stanąć na nogach. Mogł się jednak czolgac. Tak więc, na wpol udławiony gestem kurzem, poruszając rękami tuż przy zwisającej nisko nad ziemią twarzy, pęłznał przed siebie.

Kierował się ku wyjściu, tam, gdzie stała kobieta z kamienia, przynajmniej tak mu się zdawało. Jony miał nadzieję, że na świeżym powietrzu odzyska trochę siły. Jeżeli uda mu się dostać aż tam.

Na prawo piętrzyły się pudła, a z tyłu, tuż za nim, wznosiły się stopnie wiodące do pojemnika ze śpiącym. Jak daleko było stąd do wyjścia? Nie przypominał sobie.

Jony czolgał się w ciszy panującej w kamiennej budowli. Miał wrażenie, że poruszając się, po trosze odzyskuje siły. Ruch mógł przelamać bezwład, którym został spętany. Chłopiec nie mógł się jednak podnieść na nogi, a wszystkie rezerwy swej energii musiał zachować na wypadek kolejnej próby, która mogła wymagać od niego wszystkich sił.

Do następnej podpory... i znow do następnej... a potem do

trzeciej z kolei. W gardle zaschło mu od kurzu, kaszlał i kichał, lecz nie zatrzymywał się, nie odważył się nawet spojrzeć, jak daleko jest jeszcze do celu, bojąc się, że mogłoby go to zniechęcić.

Jego dyszenie i charczenie, cały ten hałas, jaki robił posuwając się naprzód, został nagle zagłuszony przez inny dźwięk. Poznał go do razu, od dawna spodziewał się go usłyszeć: brzęczenie unoszącego się w powietrzu latającego pojazdu. Czy astronauta zaatakują z powietrza, użyją swej broni z zamiarem oślepienia każdego, kto znajduje się w tej budowli, niezależnie od tego, czy zobaczą swą zdobycz, czy nie?

Pot spływał strugami po pokrytej kurzem twarzy Jony'ego. Drżał na całym ciele, oczekując powalającego ciosu. Brzęczenie jednak cichło. Czy wycofują się w kierunku statku? Czy może leca, by patrolować wszystkie po kolei drogi w mieście, poszukując śladów Ludu.

Jedna podpora, druga... Poranione ręce krwawiły, kiedy unosząc się na nich, ciężko przesuwiał się po kamieniach. Wil się i skreczał, wlokąc się naprzód.

Dookoła pojaśniało. Musiało być już niedaleko. Osiągnawszy ten swój pierwszy cel, jakim było wydostanie się na zewnątrz, Jony musiał pomyśleć o tym, co robić dalej. Człgac się przez miasto, wzdłuż kamiennej rzeki, aż do znudzenia? Do krainy leżącej poza miastem było zbyt daleko i niebezpiecznie było wystawiać się na widok; powracający pojazd od razu dostrzegłby go z góry. Nie, najlepiej będzie poszukać jakiejś innej jaskini i ukryć się tam do czasu odzyskania sił.

Dowłokł się wreszcie do podnoża kamiennej kobiety; Rece miał tak obolałe, że nie mógł ich zmusić do dalszego wysiłku. Bezradny i bliski rozpacz, Jony oparł głowę i ramiona o statuetkę i w ten sposób mógł spojrzeć za siebie, na drogę, którą pokonał.

Serce pracowało tak ciężko, że chłopiec dyszał płytko, urywanie; a wzrok miał chwilami tak zamglony, że z trudem mógł cokolwiek zobaczyć. Patrząc z ukosa, Jony starał się skoncentrować spojrzenie na jednym z wielu cieni. Czyżby to jakiś ruch było widac tam, z tyłu?

Może to Geogee i Maba wracali? Czy jednak bliźnięta tak szybko odnalazły ślad Ludu? Jony czuł, że powinien coś zrobić, zdobyć się na jakiś wysiłek. Tylko że zbyt był zmęczony i wyczerpany, by cokolwiek przedsięwziąć; skulił się więc tylko i czekał, być może na własną zgubę.

Nie było cieniem to, co z wolna się doń przybliżało. Jony pragnął krzyknąć, zawołać, przyspieszyć spotkanie z czającą się w ukryciu postacią. Nie mógł znieść tego niekończącego się oczekiwania, chciał, by koniec nadszedł szybko...

Ale to był Otik!

Ostatni, którego Jony się spodziewał. Czy Otik zbiegł po przegranej bitwie, czy został wysłany na zwiady, czy też wrócił przez wzgląd na niego? Jony nie miał nawet dość siły, by podnieść swe poranione, krwawiące ręce i zadać jakieś pytanie.

Otik zmierzał prosto ku niemu, cicho stąpając na swych miękkich łapach. Był prawie tak wysoki jak kamienna kobieta i poruszał się z ociężałą pewnością przypominającą Voaka. Kiedy stanął przed

Jonym, chłopiec zobaczył, że samiec trzymał swój starannie obrobiony drewniany kij i zwieńczona kłem metalowa dzide pochodząca z koryta strumienia.

Jony unosił drżące ręce i zadał krótkie pytanie:

-Voak?

Otik przytrzymał bron zgiętym ramieniem, uwalniając ręce, by odpowiedzieć.

-Iść do miejsca, gdzie klatka.

Lud zabrał więc pojmany przez siebie więźniów do dobrze zabezpieczonej kryjówki, w której jego przodkowie trzymali swych dawnych wrogów. To znaczy, że bliźnieta nie dogoniły oddziału Voaka i Geogee nie odbił przybysza, który tak wiele dla niego teraz znaczył.

-Geogee, Maba? - Jony głośno wypowiedział imiona dzieci, wiedząc, że Otik rozpozna te dźwięki.

-Nie wiedzieć - odparł Otik.

Z właściwą swej rasie godnością przykucnął, balansując na zgiętych nogach. Mimo takiego obniżenia pozycji, Jony, chcąc napotkać wzrok Otika, musiał spoglądać góra.

-Ty ranny - Otik był poważnie przejęty lub tylko zwyczajnie zaintrygowany. Dawne, niewzruszone przekonanie Jony'ego o jego przynależności do klanu, o tym, że on i Lud, to jedno, uległo zachwianiu, toteż chłopiec nie umiał powiedzieć, co kryje się za pytaniem Otika.

-Dziwny bron zrobic mnie slaby, ja pelzac, nie chodzic. - Otik wykonal gest potwierdzenia. Musial widziec slady tego okupionego bolem posuwania sie przez szeroka sale.

-Geogee - odpowiedzial - robic zly rzecz, on wolec ludzie.

Co widzial Lud, czego byl swiadkiem, Jony nie umial powiedziec. Ale pewnosc, z jaka Otik nadal ostatnia wiadomosc, utwierdzila go w przekonaniu, ze samiec widzial atak Geogee'a.

-Geogee - Jony zmusil swe zmeczone rece do ruchu - scigac Lud. Chciec uwolnic ludzie.

-Geogee - Otik pozostawal nieporuszony - nie isc dobra droga. Geogee, Maba isc w druga strona. Slady w kurz to mowic.

Jony wydal westchnienie ulgi. Tak wiec slusznie zaczynal sie wtedy domyslac. Dziewczynka nie poprowadzili brata sladem klanu, lecz w przeciwnym kierunku, by pozwolic Ludowi zyskac na czasie. Jak dlugo uda jej sie zwodzic Geogee'a - nie wiadomo. Jony nie byl tez zadowolony, ze Maba wedruje sama po miescie. Co moze sie stac, kiedy jej podstep wyjdzie na jaw, kiedy Geogee zrozumie, ze wywiodla go w pole?

Mozliwe, ze chlopiec nie zwroci sie przeciwko siostrze, laczyly ich przeciez scisle wiezy. Ale pospiesz z powrotem, by sprawdzic, co z Jonym i od niego wydobywac wiadomosc, dokad klan zabral Volneya.

-My musiec uciekac - zasygnalizowal.

Otik nie odpowiedzial. Zwinnie podniosl sie na nogi, pochyлил sie,

wsadził Jony'emu łapę pod pachę i bez większego wysiłku dzwignął go, jakby Jony nie był wyższy i cięższy niż Maba.

Podpierany przez Otika Jony stał jakos na nogach. Kiedy samiec ruszył, Jony potykając się, ruszył za nim. Otik nie zawrócił do ciemnego wnętrza, z którego się wylonil, lecz skierował się ku wyjściu.

Kiedy okrazali kamienna kobietę, Jony przez chwilę się ociągał; Otik odwrócił głowę, przypatrując mu się. To, co nagle chłopcu przyszło do głowy, było najdzikszym pomysłem, który mógł się zrodzić z zametu myśli. Gdy znalazł się już prawie na wprost kamiennej kobiety, nagle przypomniał sobie swoje dawne pragnienie. To, co chciał teraz zrobić, mogło być szczytem głupoty, ale równie dobrze mogło być najmądrzejszym posunięciem w tych okolicznościach.

Nadal do Otika prosił, by ten zaczekał, odsunął się nieco od niego i wsparł na kamiennej figurze. Powoli unosił swą krwawiącą, pokrytą kurzem rękę. Tak trudno było ją dzwignąć, jakby i ona także była z nieczulego kamienia.

Jony wygiął dłoń w nadgarstku, wyprostował palce. Potem wychylił się do przodu, aż jego ciało - tak jak ongiś - Spoczęło na poranej przez wieki powierzchni kamienia.

To, z czym się zetknął, nie przypominało kamienia. Było ciepłe, dziwne. Jony'emu zabrakło słów, by opisać swe doznania. Była to na przemian wznosząca się i opadająca nieznana forma energii. Być może wielce spragniony, lękający kropli wody człowiek, który napotkał źródło i napił się do syta, mógł doznać podobnego, rozlewającego się po całym ciele, cudownego

uczucia zaspokożenia, przywrócenia sił.

Poprzez dłoń, dalej wzdłuż ramienia, do całego ciała - coraz więcej i więcej! I choć Jony nie zdawał sobie z tego sprawy, z oczu popłynęły mu łzy, zostawiając ślady na pokrytej kurzem twarzy. Pragnął śpiewać i krzyczeć, by cały świat wiedział, jaki stał się cud.

## XVI

Jony był teraz czymś więcej niż tylko samym sobą. Stał tam tak wysoki jak Wielcy, tak silny jak Voak! Reka mogła równać mury z ziemią, pochwycić lecący w powietrzu pojazd, przewrócić i zniszczyć statek przestworzy, by nigdy nie mógł on zdradzić istnienia świata Ludu. Mogł... Gdzieś w głębi duszy Jony'ego pojawił się niepokój. Nie, nie! Nie wolno mu się powazyć na coś takiego. Nie mógł się jednak wyzwolić z tego cudownego kontaktu, który przelał w niego moc; jego dłoń z ciała zdawała się łączyć z dłońmi z kamienia nierozzerwalnymi więzami.

Nie! Tak jak poprzednio używał swego daru, by kierować, tak teraz przywołał ten sam zmysł, by przerwać niebezpieczny kontakt. Jego zdecydowanie zaowocowało nagłym, gwałtownym odcięciem. Kamienna reka odepchnęła go i tak jak przed chwilą witała go przychylnie, tak teraz gwałtownie odrzuciła.

Jony, odepchnięty, spadłby ze schodów na dół, gdyby nie uderzył w Otika. Stał on tam jak skała, opoka, do której Jony na chwilę przywarł.

Otik nie wyciągnął ręki, by podtrzymać chłopca, ale też go nie odrzucił. Po prostu stał i pozwalał Jony'emu wspierać się o siebie,

dopoki nie ustąpiła reakcja na nagłą przerwę w dopływie energii. Chłopiec wziął kilka głębokich oddechów. Nie było sposobu, by zgadnąć, jakiego to sekretu budowniczych miasta dotknął przed chwilą. Nie był jednak na tyle lekkomyślny czy bezzmyslny, by powtórzyć te próby.

A jednak ten kontakt przywrócił mu zdolność panowania nad własnym ciałem. I za to był wdzięczny. Jony zaczął teraz nadawać do swego milczącego towarzysza: - Znajdź Geogee, Maba...

Otik obrzucił go badawczym spojrzeniem od stóp do głów. Zamiast odpowiedzi ograniczył się do gestu, wyciągając łapę z metalową dzidą. Jony ochoczo pochwycił swą broń, przeciągając po niej ręką. Dłonie, choć nadal pokryte pyłem, nie były już zdarte do krwi od długiego czolganiania się; kiedy obejrzał je w świetle dostrzegł, że otwarte rany zniknęły. Czuł przyływ świeżych sił jak po dobrze przespanej nocy, po obfitym posiłku, jakby od dawna jego duszy nie przytłaczał żaden ciężar.

Otik wsunął się na powrót w pełną cieni salę za kamienną kobietą. Spiesząc się, by za nim nadążyć, Jony dostrzegł tam rzeczy uszykowane do zabrania. Gdyby można temu było jakos zapobiec! Pomysleć tylko, jaki użytek zdolni są zrobić z nich astronauty.

Nie było jednak czasu, by tym się zająć. Jeśli nawet dwaj astronauty, którym udało się uciec latającym pojazdem, powrócą z posiłkami, na pewno wszyscy będą bardziej zaprzatnięci poszukiwaniem porwanych współtowarzyszy niż transportem łupów. Przynajmniej na razie.



Otik nie odwrócił nawet głowy, przechodząc obok; stos skrzyn najwyraźniej mógł dla niego nie istnieć. Przeszli skrajem występów skalnych prowadzących w górę, do skrzyni ze śpiącym. W pobliżu wyjścia spod ziemi, z którego przedtem wynurzyła się ich drużyna, Jony zaczął odczuwać niepokój.

Jeśli Maba nie powiodła Geogee'a przez tamto znane Ludowi przejście, dokąd w takim razie mogła go zaprowadzić? Jak daleko ciągnęła się ta sala? Czy było tam więcej przejść, jakies inne drogi? Jony zauważył, że smuga światła słonecznego padająca przedtem z okna, teraz znikła. Nadchodził zmrok. A bliźnieta zagubione gdzieś w tych ciemnościach...!

Jony uważał, że w tym starodawnym miejscu było więcej powodów do obaw niż dostarczały ich ptaki vor czy Czerwone Głowy. Przywołując odruch, który skłonił go do uścisku jednoczącego z kamienną kobietą, Jony zdziwił się własnej lekkomyślności. Tylko szczęśliwemu zrzadzeniu losu zawdzięczał, że ten kontakt wyleczył go, zagoił rany i wzmocnił siły. Taki sam przyływ energii skierowany wprost na ktores z bliźniat mógł nawet zabić!

Otik zwolnił. Jego ciężka głowa kiwała się na boki, kiedy uważnie lustrował powierzchnie podłogi. W tej znacznie ciemniejszej części sali Jony odroźnił w kurzu nieliczne ślady; Otik bez wątplenia umiał odczytać z nich o wiele więcej. W miarę jak się ściemniało, Jony w coraz większym stopniu zależny był od swego towarzysza.

Chyba że... Jony wysłał poszukującą myśl i - choć bardzo słabo - wyczuł obecność Maby! Odzyskał wiarę we własne siły. Tak jak to już się kiedyś w tej samej kamiennej budowli zdarzyło, miał teraz

pewien rodzaj przewodnika, za którym mogli podążać.

Nie doszli do końca wielkiej sali, kiedy Otik skręcił w prawo. Jony szedł tylko o krok za nim. W ścianie widniało tu drugie wyjście. Jony ponowił próbę kontaktu. Był nadal słaby i przerywany. Przyplýwał i odpływał, dając raczej poczucie obecności niż rzeczywisty kontakt. Zjawisko to nigdy nie występowało w wypadku bliźniat. Być może Geogee zastosował jakiś inny sposób osłony, którego nauczył go Volney.

Na myśl o Volneyu Jony odczuł pewną satysfakcję. Wyobraził sobie astronautę w klatce Ludu. Tam ten przybysz z innego świata nie mógłby już przynosić szkody. Jakiego rodzaju był jego wpływ na Geogee'a? Swoicie mentalnie sterował malcem. Sterował, wymazując z pamięci poprzednie życie i wszelkie związki lub sprowadzając je do niewartych pamięci zdarzeń, a następnie wszczepiając nowe pragnienia - a wszystko tak, by Geogee stał się teraz jednym z ludzi, jednym z wrogów Ludu.

Myśl o Geogee'em znowu podkopala nieco nadzieję, jaka Jony pokładał w Mabie. Wystarczająco długo przebywała wśród astronautów, by ulec ich wpływowi. I tylko świeża pamięć o jej niszczycielskim ataku na maszynę, tak przez obcych ceniona (z całą pewnością nie było to upozorowane, żeby go zwiścić), przekonała Jony'ego, że umysł dziewczynki nie został przez przybyszów spaczony w taki sam sposób.

Wyjście nie prowadziło ani do żadnego innego korytarza, ani do wiodącego w dół tunelu, lecz do niewielkich pomieszczeń nad ziemią, leżących jedno za drugim. Z trzeciego wynurzyli się na zewnątrz. Znaleźli się teraz w części miasta położonej za centralnym stosem, w części kompletnie Jony'emu nieznanej.

Nie było tu biegnącej prosto rzeki z kamieniami, która mogłaby wyprowadzić ich z miasta do otaczającej krainy.

Zamiast tego widniała przed nimi nie zabudowana przestrzeń. Nie była ona pokryta żadnymi kamieniami, lecz gęsta platanina roślinności stanowiła równie masywną zapórę jak leżące z tyłu kamienne mury. Nawet Otik wydal z siebie pełne zdziwienia chrząknięcie na ten widok.

Z miejsca, gdzie się wynurzyli, wiodł przez tę gęstwinę wąski pasek odkrytej ziemi. Łatwo można było z niego odczytać zostawione ślady - ci, którzy wtedy szli, skreśliли w lewo, trzymając się tego przesmyku.

Z wolna otaczał ich zmrok. Jony pochwycił swym zmysłem różne drobne formy życia mające swe bezpieczne kryjówki w tym gęstym kobiercu roślinności. Lecz usłyszał coś jeszcze: wszechobecne, dochodzące z powietrza brzęczenie, zwiastujące powrót latającego pojazdu z posiłkami, z ludźmi wyposażonymi w bron, która nie dawała Ludowi żadnych szans. Jony zapragnął mieć z powrotem zabrany mu przez Geogee'a ogluszacz, wazył też w reku swą metalową dzidę, choć wiedział, jak niewielki byłby z niej pożytek w walce z przybyszami z kosmosu.

W półmroku dostrzegł reke Otika sygnalizująca pojawienie się wody. Jego czuły zmysł powonienia mógł wychwycić to, co umykało wechowi Jony'ego. W chwili później Otik zakreślił swym kijem, trzymając go w pogotowiu. Jony nie odebrał żadnego sygnału niebezpieczeństwa, widac jednak było, że samiec coś podejrzewa. Jony spróbował wysłać myśl. Ku swemu zadowoleniu pochwycił ślad Maby, bliższy i wyraźniejszy. Geogee musiał nadal nosić swój za duży hełm nie dopuszczający

kontakcie. Niczego ponad to Jony nie odebrał. Tyle tylko, że w obszarze rozciągającym się za nimi dał się zauważyć całkowity brak sygnałów drobnych form życia obecnych gdzie indziej.

Otik stanął jak wryty. Nozdrza miał rozdęte. Nawet Jony już teraz pochwycił przyprawiający o mdłości odor, jak gdyby tam, pod gołym niebem, leżało coś gnijącego.

Chłopiec nie potrzebował już żadnych ostrzeżeń ze strony Otika. Tu, w sercu kamiennej siedziby, było skupisko Czerwonych Główn! Lecz bliźnieta przecież tedy przeszły! Czyżby błądząc na ślepo, natknęły się bez żadnego ostrzeżenia na to największe z niebezpieczeństw?

Otik stale trzymał głowę wysoko, głośno weszac. Zaryzykować wkroczenie na teren patrolowany przez te rośliny-potwory było czystą głupotą. Żaden z talentów Jony'ego nie mógł doprowadzić do zwycięstwa nad Czerwonymi Głównami, tak jak nie mógł też skłonić Ludu do posłuszeństwa rozkazom. Z rosnącym przerażeniem Jony badał otoczenie. Mur po lewej stronie nie miał żadnych otworów ani małych, ani dużych. Roslinność po prawej stronie była zbyt sklebiona i splatana, by można było przez nią utworzyć sobie drogę. Próby jej sforsowania skończyłyby się dla Jony'ego zdarciem skóry, ucierpiałby nawet i Otik mimo swego grubego futra.

Gdzie były bliźnieta? Jedyną pociechą w tym, że Jony nadal wyczuwał swym zmysłem obecność Maby, co oznaczało, że dziewczynka żyła.

Ku najwyższemu zdumieniu Jony'ego, Otik znów ruszył, ale nie z powrotem, czego się można było spodziewać, tylko naprzód, ta

sama sciezka. Jony postepowal >>slad za nim, gdyz drozka byla za waska, by mogli isc obok siebie. Rosliny-potwory byly wrogiem, ktoremu nawet Lud nie mogl stawic czola, a jednak Otik dazyl naprzod, jak gdyby ufal, ze mieli jakies szanse!

Odor sie nasilal, a ciemnosci gestnialy; wszystko to razem sprawialo, ze Jony nie mogl sie nadziwic lekkomyslnemu lekcewazeniu niebezpieczenstwa przez Otika. Skoro tylko zapadne noc, Czerwone Glowys zacznaly sie poruszac stana sie wowczas najgrozniejsze. Jony trzymal wiec swa dzide gotowa do zadania ciosu podobnego cieciom w czasie walki z ptakami vor. Nie mozna bylo jednak obronic sie przed wyziewami, ktorymi wkraczajace do akcji Czerwone Glowys obezwladnialy swe ofiary.

Wyrosl przed nimi luk z kamieni, a kiedy pod nim przeszli, zmienila sie cala roztaczajaca sie przed nimi sceneria. Zbita gestwina zieleni odsunela sie na boki i, choc nadal tworzyla zwarta sciane, bylo teraz o wiele wiecej otwartej przestrzeni.

W samym jej srodku widnial spory staw obrzezony bujna roslinnoscia. Nad jego mrocznymi wodami prozno by szukac latajacych istot, zazwyczaj wystepujacych w podobnych miejscach. Bylo to miejsce milczace, pozbawione zycia, jezeli nie liczyc tych jego form, ktore korzenily sie w ziemi.

Rozrzucone wokol tych odstreczajacych swym wygladem, zdajacych sie wzbierac wod, staly Czerwone Glowys. W porownaniu ze wzrostem, jaki osiagaly zazwyczaj, zgromadzone tu egzemplarze byly zahamowane w rozwoju; najwyzsze z nich siegaly zaledwie ramion Jony'ego. Ich czerwone, kuliste wierzcholki przybraly wyblakly wyglad o chorobliwym, zoltawym odcieniu. Wiele z nich potracilo liscie, a ich miejsce zajely gnijace

kikuty.

Kwiaty-głowy pochylily sie i zwisaly, jak gdyby stwory te byly zbyt slabe, by trzymac je prosto. A jednak, gdy Otik i Jony zblizyli sie, wsrod roslin powstalo poruszenie, drgnely podobnie jak falujaca na wietrze trawa. Mogly sie slabo rozwijac, mogly nawet obumierac, lecz nadal czuly zblizajaca sie zdobycz.

Jony skoczyl do przodu. Pobudzony odraza zamachnal dzida w taki sposob, by trafic ostrym klem w najblizszy ped. Przytlumiony odglos uderzajacego metalu towarzyszył rozplataniu pnia rosliny. Gdy glowa opadla na bok, trzymajac sie tylko na cienkim pasku kory, z miejsca decia wydzielil sie tak ohydnie cuchnacy plyn, ze Jony'emu az dech zaparlo.

Roslino-potwory poruszaly sie tak ospale, ze zachecony tym Jony skoczyl do ataku na najblizsza w rzedzie. Czy to Geogee potraktowal je oguszaczem? Czy tez moze jakas wlasciwa ich gatunkowi choroba wywolala to ich uposledzenie pozwalajace radzic sobie z nimi tak latwo? Nie wiadomo, mozna sie bylo tylko cieszc, ze nie napotkali pelnych zycia i aktywnosci okazow, jakie widywali gdzie indziej.

Otika zagrzal chyba przyklad Jony'ego, gdyz teraz on z kolei wkroczyl do akcji. Ostrzem swego kija nie mogl co prawda odcinac glow od pni, tak jak to skutecznie robil Jony metalowa dzida, uderzal jednak w czerwone kule kwiatow, a one pekaly i wybuchaly pod ciosami; pelnym energii zamachem obnazal rosliny z lisci.

Przecieli juz teren, gdzie staly gnijace roslino-potwory i zblizali sie do przeciwleglego brzegu stawu. Byla tu wybrakowana

przestrzen przecięta wąskim strumykiem; jego ciemne wody bądź odpływały ze stawu, bądź też staw zasilaly. Znad strumyka unosił się paskudny zapach. Jony rozochocony łatwym zwycięstwem nad wrogiem, którego tak bardzo bał się Lud, o mało nie padł ofiarą nadmiernej pewności siebie.

Ostatnia czerwona głowa stała kulac się w strumieniu, a jej ukorzenione stopy ssaly wilgoc. Być może zaalarmował ją los pobratymców, dość że zdecydowana była nie ruszać się czy to w obronie, czy dla ucieczki. Teraz, stojąc dokładnie na trasie Jony'ego, wyprostowała się z trzaskiem, osiagając pełny wzrost. A był to prawdziwy olbrzym w porównaniu z tamtymi, skarłowaciałymi. Wyższa od Jony'ego, Isnila czerwienia swej głowy widocznej nawet w zapadających ciemnościach. Pod głową kwiatu widniała peczniejaca torebka, gotowa wyrzucić w kierunku ofiary chmurę oslepiającego, obojędniającego pyłku. Dwa długie, górne liście obrzeżone zębatymi kolcami śmiało i pewnie wyciągały się w stronę nadchodzącego chłopca.

Jony z krzykiem odskoczył do tyłu w chwili, kiedy jeden z liści smagnął go wściekle, o mało nie zwałając z nog. Chłopiec skulił się, trzymając w obu rękach swą metalową dzidę zwróconą tnącą krawędzią do góry. Jeśli roślina wystrzeli swym pyłkiem, to na obronę pozostanie tylko krótka chwila. Dalsza walka kontynuowałaby wówczas Otik.

Wielkie liście znów zamachnęły się w jego kierunku, podczas gdy mniejsze, rosnące niżej, skupione u wylotu torebki pyłkowej, gotowe były powiewającym, wachlującym ruchem rozsiewać pyłek w jego stronę. Jony nie miałby chwili czasu, żadnej szansy, by podejść bliżej i ciąć kulistą głowę, tak jak to robił napotykając słabsze sztuki.

Przesunął rękę wzdłuż ostrza dzidy, unosił brzośkę na wysokość ramienia i ciała, celując kłosem w czerwone kwiaty. Liść zafurkotał, starając się odrzucić brzośkę, a poruszał się przy tym z taką szybkością, że trudno było za nim nadążyć wzrokiem.

Padając, brzośkę rozpruła torebkę z pyłkiem, trafiając w miejsce najbardziej napięte, przygotowane do wyrzucenia śmiertelnego ładunku. Dolne liście wściekle falowały. Niektóre z nich chwyciły kurczowo torebkę i rozciągały jej otwór. Usiłowania te były jednak bezowocne i nie doprowadziły do wysiewu zabójczego pyłku, torebka bowiem skurczyła się już i zamknęła.

Jony, nadal zwrócony przodem ku roślinie, wycofywał się krok po kroku. Jeden z najeżonych kolcami liści zwisał blisko dzidy. Roślina-potwór próbowała tę dzidę unieść i śmiertelnym ciosem pchnąć ją w jej właściciela. Włókna nie zwały się jednak dostatecznie mocno z powierzchnią liścia, toteż dzida wysliznęła się z uchwytu, zadzwieczyła o kamienie i potoczyła się.

Jony uznał, że nie ma nadziei na jej odzyskanie, gdyż leżała zbyt blisko myszkujejących liści. Nie odważył się więc na takie ryzyko i zaczął się posuwać w lewo. Roślina-potwór szamocząc się w strumieniu, odwracała się za nim. Jeżeli jej korzenie natrafia w ziemi na dobre oparcie, Jony nie będzie miał żadnych szans. Jednakże włókna, niezdolne znaleźć pewnego uchwytu, zeslizgnęły się po gładzi kamienia. Usiłując pochwycić zdobycz, roślina poczęła niepewnie się kiwać z boku na bok jak drzewo targane wichurą.

I choć szło jej to niezgrabnie, nie przestała być groźna. Jony zmuszony był przemykać się, wymykać się, robić uniki i cały czas



nieustannie obserwować jej zwoźniczo niezdarne ruchy. Mniejsze, dolne liście energicznie poruszały się, naciskając zwiotczała torebkę pyłkowa. Najwyraźniej roślina nadal usiłowała doprowadzić w ten sposób do wydzielenia śmiertelnego obłoku. Górne, zębate liście smagały, miotaly się i Jony używał całej swej zreczności, aby nie dostać się w ich zasięg.

Roślina napierała, a Jony wycofywał się, nie mogąc pozwolić sobie nawet na chwilę nieuwagi, by rozejrzeć się za Otikiem, który mógłby teraz skorzystać z okazji i złapać metalową dzidę leżącą na chodniku. Gdyby udało mu się podnieść tę brzoń, mogłyby użyć jej zamiast mniej skutecznego drewnianego kija.

W tył! Tym razem brzoź liścia dosięgnął reki Jony'ego i tnąc rekaw jak brzoźtwa, zostawił na skorze płytka, nabiegła krew, piekaca brzoźde. Z całej plataniny korzeni poczęły się wywijac dwa, pelznac w kierunku chłopca. Gdyby zaplatał się i upadł, byłby już tylko bezradna ofiara. I nawet jeśli pojawiłby się wtedy Otik, Jony byłby już martwy, pochwycony przez zębate liście; przeszłyby go kły, by zaspokoic głod tego kroczonego noca, pełnego grozy potwora.

Odskoczył, pośliznął się, lecz w sama porę udało mu się odzyskac równowagę. Spocony ze strachu złapał oddech i w tym momencie dostrzegł błysk jasniecejacy w zanikajacym już świetle. To Otik pochwycił wreszcie metalową dzidę, wziął zamach i uderzył z całą siłą swych olbrzoźmich, silnie umiesnionych ramion.

Ostrze dzidy trafiło w pien, tuż poniżej kulistej głowy, tnąc gruby ped. Głowa odpadła i dostała się w zasięg wściekle mlocacych, uzbrojonych w zęby liści, które natychmiast zamknęły się, miażdzac ją całkowicie w swym uscisiku. Roślina nie przestawała

kroczyć naprzód, zataczając się; Jony usunął się jej z drogi. Usiłowała jeszcze atakować, lecz jej więcej się korzenie splatały się ze sobą i uderzyła o ziemię, gdzie tarzała się tam i z powrotem.

Wielka łapa zamknęła się na ramieniu Jony'ego, jeszcze mocniej rozdzierając rozpruty rękaw, i potężnym szarpnięciem odciągnęła go do tyłu w chwili, gdy kłab pylistego wyziewu unosił się z ciała szamoczącej się rośliny, Pylek wydobył się wreszcie, zabrakło jednak możliwości, by falującym ruchem skierować go na zdobycz, toteż cały opadł na ciagle jeszcze próbujące się unieść ciało rośliny.

Okrzykli ją szerokim łukiem, starając się nie wejść w zasięg smagających na osłep górnych liści, ominąć klebiące się zwoje wywijających się na wszystkie strony korzeni. Otik wlokł się, a Jony miał ochotę pójść naprzód, ale nie mógł opuścić towarzysza.

Minawszy wybrukowaną przestrzeń, weszli w kolejną bramę, z której prowadził wąski, wyłożony kamieniami i otoczony z obu stron murami chodnik. Tu Otik zatrzymał się i zaczął weszyc. Znowu był całkiem zaprzatnięty poszukiwaniem, z właściwą Ludowi cechą flegmatycznego skupiania się na jednym celu.

Skoro tylko odeszli od konającej rośliny, wręczył Jony'emu z powrotem metalową dzidę, a ten korzystając z chwili postoju, oderwał zwisającą resztę rękawa i wytarł nią ostrze dzidy, scierając cuchnące plamy z krawędzi kłosa.

Cisnawszy te szmaty jak najdalej od siebie, Jony gotów był do drogi. Wreszcie poczuł ulgę.

I wtedy właśnie cisze wieczoru rozdarł krzyk.

To Maba! Od czasu gdy napotkali Czerwone Głowy, Jony nie próbował poszukiwać jej myśla, a teraz nie tylko usłyszał jej głos, ale rozpoznał go też swym wewnętrznym zmysłem.

-Maba! - Zawołał i od razu zdał sobie sprawę, że to głupota. Nie można było dać poznać, że pomoc się zbliża; to, co zagrażało dziewczynce, mogło zostać w ten sposób ostrzeżone. Jony wiedział, że Maba jest gdzieś przy tej drodze, w jednej z leżących przy niej jaskin. Zaczął więc biec, nie oglądając się, czy Otik podąży za nim.

Zanim dotarł do właściwego wejścia, Maba krzyknęła znowu. W jej głosie było tyle grozy, że Jony odczuł ten strach jak pchnięcie ostrzem. Coś, czy może ktoś musiał jej grozić. Lecz gdzie był Geogee z ogluszaczem? Z całą pewnością...

To ten otwór prowadził do Maby. Jony gwałtownie zwolnił kroku, starając się skradac jak najciszej. Obute stopy nie pozwalały jednak na bezgłosne zbliżanie się. Chłopiec zalewał, że nie ma czasu, by zrzucić z siebie znienawidzony stroj.

Wnętrze było ciemne, jedynie jasniejsze plamy wskazywały miejsce otworów. Jony starał się robić jak najlepszy użytek ze swoich oczu, prócz tego zaprzęgił do pracy swój dodatkowy zmysł.

I tak jak dawnymi czasy dzielił ból Rutee, tak teraz z całą mocą odczuwał przerażenie Maby. Z jej chaotycznych, zniekształconych strachem myśli nie mógł odgadnąć, co jej zagraża.

Nasluchiwał. Z pierwszej, zewnętrznej części jaskini nie dobiegał żaden odgłos, z wnętrza jednak dochodził drzazgi nie to płacz, nie to kwilenie. Maba! Jony nie mógł jednak pochwycić żadnego innego śladu życia, nawet tej blokującej kontakt martwoży, która oznaczała Geogee'a. Maba... sama?

Zamiast pójść prostą drogą od wejścia do większego otworu widniejącego na wprost, Jony postanowił przesliznąć się tam wzdłuż ścian. Nie odważył się na nawiązanie z Maba kontaktu, utrzymywał tylko w pogotowiu swój zmysł ostrzegawczy, by zapobiec nagłemu atakowi.

Teraz! Reka natrafił na otwór prowadzący do drugiego pomieszczenia. Ciemność wewnątrz wydawała się dziwnie wirować, jakby powietrze w tym miejscu pełne było czarnych cząsteczek w ciągłym ruchu. Jony unosił dzidę i niepewnym ruchem wsunął ją w otwór. Odczekał dłuższą chwilę, a wyobraźnia odmalowywała mu niewyraźny obraz czającego się niebezpieczeństwa, czegoś, co otoczy każdego, kto tylko wejdzie, co zamknie się ze wszystkich stron na podobieństwo zbrojnych w kły liści roślin-potworów.

Ale dzida nie napotkała przeszkody. Jony szybko wślizgnął się do wnętrza i z bronią w pogotowiu oparł się o masywną, solidną ścianę. Pod wpływem nagłego wrzasku skulił się, tak pewien obecności jakiegoś napastnika, że niemalże dostrzegł coś, co istniało jako część ciemności.

-Nie! - Maba krzyczała z drugiego końca pomieszczenia. -  
Proszę cię, Geogee, nie zostawiaj mnie, Geogee...? - Jej  
żałujący się, pełen błagania głos targnął Jonym.

-Maba... - odezwał się łagodnie. W jej umyśle klebiły się rozpacz i panika. Jony nie mógł się przez nie przedostać. - Maba! - odważył się tylko na kontakt głosowy.

Przestala wołać, słyszał jednak jej chrapliwy oddech przypominający raczej na wpol stłumione lkanie.

Jony oderwał się od ściany. Był już teraz pewien, że to tylko strach wypełnia ciemności. Powoli podszedł do miejsca, gdzie bardzo słabo widoczne było jej skulone, wtulone w kąt ciała.

Znowu krzyknęła:

-Nie, odejdz stąd!

-Maba - próbował nadać głosowi kojące brzmienie. - To ja, Jony.

Nadal hałasliwie oddychała.

-Jony?

Pocieszające było, że udało mu się uzyskać od niej sensowną odpowiedź. Ukląkł i natrafił w ciemności na jej wstrząsane dreszczami ciało. W sposobie, w jaki leżała, było coś nienaturalnego. Może została zraniona przez jedną z roślin-potworów? Ale gdzie był Geogee?

Powoli, dotykając jej ciała łagodnymi, spokojnymi ruchami, Jony wziął ją na ręce. Dziewczynka miała skóre chłodną w dotyku, a drżenie jej ciała nie ustawało. Trzeba ją było stąd wynieść i - jeśli była ranna - obejrzeć w jakimś jaśniejszym miejscu jej rany.

Maba nie poruszała się, ale oddychała już z mniejszym trudem.

-Miałam nadzieję, Jony, że przyjdiesz - powiedziała łamiącym się głosem. - Wiedziałam, że może ci się to nie udać. Bo Geogee ci to zrobił. Ale cały czas liczyłam, że jakimś sposobem odnajdziesz mnie.

Jony przytulił ją i idąc do drzwi, kołysał w ramionach.

-A gdzie Geogee? - zapytał.

Zadrzała mocniej, I bardzo cicho odpowiedziała:

-On... po prostu odszedł.

## XVII

Kiedy wyszli na zewnątrz, Jony westchnął z ulgą, mimo że wciąż jeszcze otaczały ich kamienne jaskinie. Głowa Maby spoczywała na jego ramieniu ciężko, bez sprawiało to wrażenie, że dziewczynka straciła wszelką kontrolę nad mięśniami. Jej omdlałe ciało ciążyło mu w ramionach. Geogee musiał ją razić ogłuszaczem! Niosąc Mabe, Jony poczuł bijący od niej lek. Właśnie on zatruwał ją i zadecyzował, gdy leżała w tych dziwnych, przejmujących ciemnościach. Oczekujący na zewnątrz Otik spojrzeniem swych wielkich oczu dokładnie zlustrował dziewczynkę, po czym zasygnalizował:

-Zły moc uderzyć...

Jony kiwnął głową potakująco. Otik zwrócił się w kierunku jaskini, w której Jony znalazł Mabe, i rozszerzywszy nozdrza wszedł przez chwile.

-Tam nie być nikt - oznajmił.

Jony znowu przytaknal. Choc bylo juz prawie ciemno, zobaczyl, ze Maba ma otwarte, pelne lez oczy i wpatruje sie w niego. Lzy wezbraly, poplynely po policzkach.

-Jony - odezwala sie cichym jak szept glosem oslablym od rozpaczliwych krzykow, od pelnych grozy zmagani z przeciwnosciami. - Geogee uzyl ogluszacza, porazil mnie. A potem mnie zostawil...

Ale dlaczego? - Jony zdal to pytanie wprost, liczac na szybka i rozsadna odpowiedz.

-Powiedzial, ze ja pomagam Ludowi. Jony, on sie zmienil, cos mu sie w glowie poprzestawialo. - Jej ciałem wstrzasal szloch, a glos urywal sie. - On, on nienawidzi bo mysli, ze oni cos zrobili Volneyowi. Volney wiecej niego znaczy niz ja... i ty... i Yaa i Voak, my wszyscy! Dlaczego, Jony? Jony nie mial na to odpowiedzi.

-Czy wiesz dokad on poszedl? - zapytal, bo to mialo miec teraz duze znaczenie. Geogee wrogi, czajacy sie w miescie. Mogl ukrywac sie gdzies posrod tych jaskin, gotowy, by bez ostrzezenia strzelic z ogluszacza. Jony'emu trudno bylo odgadnac, jakie zmiany zaszly w rozumowaniu chlopca. Lecz jesli potrafil tak potraktowac Mabe, to mogl byc mentalnie sterowany przy uzyciu jakiejjs subtelnej metody, ktora stosowali przybysze.

Jony uruchomil swoj zmysl poszukiwawczy. Bezposredni kontakt z Geogee'em - dopoki nosil on swoj helm ochronny - byl niemozliwy. Moze uda sie jednak pochwycic istniejace w tym miejscu uczucie pustki.

-On szuka Volneya - ciagnela Maba. - Jony, ja sie tak dziwnie czuje... a jezeli juz nigdy nie bede sie mogla ruszac? Jony! - Znow zaczela w niej narastac histeria.

Jony pochylik sie nad nia.

-To minie - zapewnil ja - jestes ze mna i to wszystko zaraz minie.

Czyz on nie odzyskal sily dzieki mocy, jaka wlala wen kamienna kobieta? A czy nie bylo mozliwe - Jony chwycil sie nowej mysli - ze taka moc mogla byc przekazana nastepnej osobie, tak jak kamien przekazal ja jemu?

Pochylik sie, by w swietle z wolna wschodzacego ksiezycy polozyc dziewczynke na chodniku.

-Mabo, posluchaj mnie. Postaram sie uwolnic twoje cialo od bezwladu. Nie wiem, czy mi sie to uda, ale sprobuj.

-Och, tak, Jony! - W jej glosie bylo tyle zapalu, ze Jony poczul zakopotanie.

Moze zle zrobil, dajac jej cien nadziei na powodzenie tej proby. Pochylik sie nizej, wzial jej rece w swoje i trzymal je mocno. Zamiast, jak zwykle, wysylac przy pomocy swego umyslu silne impulsy, teraz staral sie skoncentrowac na przelaniu w jej cialo energii. Kiedy w odpowiedzi poczul w ciebie lekkie mrowienie, musial stlumic zdumienie i zachwyty, by skupic sie tylko na przekazywaniu Mabie czesci tej sily, ktora zdobył w zetknieciu z kamienna kobieta.

-Jony, Jony, wraca mi czucie! - wykrzyknela Maba. - Och, Jony,



to prawda, że możesz to zrobić!

On z kolei poczuł, jak trzymane w jego uścisku palce Maby zaczynają się lekko poruszać. Potem jej wiotkie ramie odrobine się uniosło, leżąc na kamieniach głowa zaczęła się kręcić z boku na bok, jak gdyby dziewczynka sama przekonywała się, że to znowu możliwe.

Kiedy przyłączył się do nich Otik, Maba usiadła, choć nadal była tak słaba, że trzeba ją było podeprzeć. Jony nawet nie zauważył zniknięcia Otika, który stał teraz, trzymając procz swego kija także i dzide Jony'ego. By ją przynieść, musiał wstąpić w czern jaskini.

-Balam się, że może nigdy mnie nie znajdziesz - powiedziała Maba głosem ciągle jeszcze drżącym od lkania, które przed chwilą ją wstrzaszało. - Myślałam, że może zostanie tam już na zawsze!

-Ale nie zostałam. - Jony starał się nadać swemu głosowi zwawę brzmienie, by tchnąć w nią w ten sposób nieco energii. - A teraz powiedz mi, czy wiesz, dokąd skierował się Geogee?

-Widzisz, to wszystko przez ten helm - odpowiedziała i zaczęła tłumaczyć dokładniej. - Najpierw Geogee mi wierzył. Myślałam, że uda mi się go odciągnąć na tyle daleko od Ludu, że nie będzie mógł wyrzucić im krzywdy. Ale nie wiedziałam o helmie, to znaczy wiedziałam tylko, że nie możesz się z nim kontaktować, dopóki on ten helm nosi. Nie wiedziałam, że oni mogą.

-W jaki sposób? - odruchowa nieufność Jony'ego w stosunku do

wszystkiego, czego używali ci z kosmosu sprawiła, że gotów był uwierzyć.

-Za pomocą helmów. Naprawdę o tym nie wiedziałam, Jony. Myślałam że służy do tego te skrzynki, które oni mają w latającym pojeździe i na statku. Ale gdzieś w środku tych helmów jest jakieś urządzenie do mówienia. I Geogee usłyszał, że Volney mówi i zorientował się jakos, że to dobiega z innej strony. Ale z początku nic mi nie powiedział. Doszliśmy do miejsca z Czerwonymi Głowami. Geogee użył ogluszacza. Wszystkie rośliny zeszywniały i przestały się poruszać, mogliśmy więc przejść obok nich.

Ale kiedy przyszlismy tu, on nagle dostał szalu. Nawrzeszczał na mnie za to, że go poprowadziłam w złą stronę. Powiedział, że mi pokaze, co to znaczy tak klamać. Był całkiem niepodobny do siebie! To ci ludzie z kosmosu tak go odmienili. Był taki dziwny, że się przestraszyłam, Jony, i zaczęłam biec, a potem próbowałam się ukryć. Ale on mnie znalazł i użył ogluszacza. Śmiał się, Jony; nic, tylko stał i się śmiał. Potem powiedział, że odnajdzie Volneya bez kłopotów; Volney będzie mu mówił, ktoredy ma iść. Tylko że najpierw chciał wrócić, żeby wziąć jeden z tamtych pretów. A gdyby już go miał, wiedziałby, jak się nim posługiwać...

Jony zamarł w napięciu. Geogee uganiający się po okolicy z jednym z tych niszczycielskich pretów. A gdyby tak jakimś sposobem odnalazł Lud i jego więźniów? Jony zaczynał teraz przypuszczać, że Geogee był pod silniejszym wpływem Volneya niż tamte nieszczęsne ludzkie istoty w laboratorium Wielkich.

-Musimy go powstrzymać - powiedział Jony bardziej do siebie niż

do dziewczynki. Nie odwazył się też zataić powagi sytuacji przed Otikiem. Nadal klecząc u boku Maby, zaczął sygnalizować, starając się możliwie najdokładniej przekazać towarzyszowi to, co zaszło.

Otik nic nie odpowiedział, odwrócił się tylko w kierunku, z którego przyszli. Raz jeszcze poczał weszyc. Potem wykonał gest zaprzeczenia. Gdziekolwiek Geogee poszedł, nie zawrócił jeszcze. Teraz Otik zrobił coś, co rzadko można było u Ludu zaobserwować: stanął na czworakach z nosem tuż przy chodniku. Powłócząc nogami, odszedł od drzwi jaskini, po kilkunastu krokach zatrzymał się w miejscu i długo weszyl. Potem podniósł łapę i dał znak.

Najwyraźniej odnalazł ślad. Jony wiedział wprawdzie, że powinni podążać za tropem, nie chciał jednak brać ze sobą Maby. Wrocila już trochę do siebie, ale wątpił, czy wytrzyma trudy wędrowki. Nie mógł jednak zostawić jej samej w ciemnościach.

Gdy Jony tak się wahał, zbliżył się do nich Otik. Pochylił leć nad Maba i weszyl. Potem, nie tracąc czasu na wyjaśnienia, schylił się ocieźale, podniósł dziewczynkę i posadził ją sobie na ramiona tak, że jej chude, smagle nogi sterczały z przodu po obu stronach jego grubego karku. W ten sposób Lud nosi swoje młode na dłuższych trasach i Otik niosł teraz Mabe, tak jakby nic nie wazyla.

Problem transportu Maby był jednak tylko jednym i wielu. W jakiejś zasadzce mógł na nich czekać Geogee... Może jednak Otik potrafiłby ich ostrzec także i przed takim niebezpieczeństwem - w każdym razie nie było innego wyboru. Jony pochwycił znowu dzide, Otik miał już w reku swój kij. Ruszyli

naprzód, idąc między kamiennymi jaskiniami, Otik prowadził.

Jony był niespokojny, szedł spoglądając na boki, zaglądając do ziejących ciemności otworów w murze. Obawiał się Geogee'a, to prawda, lecz nie tylko to budziło jego niepokój. Noca bowiem ta kamienna siedziba jak gdyby ożywała: tuż poza zasięgiem wzroku wszystko się poruszało i miało się wrażenie niedostrzegalnego, a wyraźnego drżenia. Poza tym Jony odczuwał pewien rodzaj przygnębienia; nie był to strach, który w tym miejscu pełnym rzeczy nieoczekiwanych dawał się nieraz odczuć, a raczej uczucie ogromnego, niepojętego ciężaru gdzieś w głębi dupy, na samym dnie.

Niczego tak Jony nie pragnął, jak tego, by uciec od widoku tych jaskin, wydostać się na otwarty teren oznaczający swobodę. Trzeba było jednak podążać w ślad za Otikiem, który skręcił teraz w lewo, w wąską szczelinę biegnącą pomiędzy wysokimi ścianami. Kierowali się na powrót ku centralnemu budynkowi, gdyż Otik skręcił po raz drugi, posuwając się z taką samą łatwością, jakby poruszał się wzdłuż dobrze oznakowanego szlaku na otwartej przestrzeni.

Przed nimi widniał wyższy od innych mur, a w nim otwór. Tam właśnie bez wahania wkroczył Otik. Światło księżyca było tu jasniejsze. Jony widział dokładnie cały ciemniejszy masyw budowli.

Tak, był teraz całkiem pewien, że idąc dookoła, powrócili do magazynów. Podchodzili w każdym razie z innej strony, droga ich nie wiodła przez zdradziecką ścieżkę, przy której korzeniły się Czerwone Głowy.

Otik nie powiodł ich do żadnego z dużych otworów wejściowych znajdujących się na poziomie otaczającego terenu, lecz do mniejszego, który widniał w murze powyżej. Uniosł pysk na wysokość dolnej krawędzi otworu i wszedł. Jony bez żadnego dodatkowego gestu pojął, że wtedy właśnie szedł Geogee.

Wspinaczka ta droga nie sprawiała Jony'emu większych trudności. Otik podał mu Mabe. Jego krepie ciało nie było przystosowane do wspinania się, a otwór był tak ciasny, że Otik niemal się zaklinował, w końcu jednak udało mu się wejść do środka.

Ciemności wewnątrz były prawie tak gęste jak w jaskini, gdzie Jony znalazł Mabe. Teraz cała trójka trzymała się za ręce - Maba trzymała za rękę Jony'ego, a jego ręka tkwiła w mocnym uścisku łapy Otika. Było oczywiste, że to Otika dar widzenia w nocy będzie teraz ich przewodnikiem.

Jony dostrzegał tylko cienie i wynurzające się z nich tu i owdzie kamienne słupy. Odkąd wyruszyli, Maba nie odezwała się ani słowem. Mogła już iść sama, co bardzo Jony'ego ucieszyło.

Podeszli do drzwi, a ujrawszy je pod innym kątem, Jony w pierwszej chwili nie mógł rozpoznać tego otworu. Potem zorientował się, że tym właśnie wyjściem wydostał się poprzednio spod ziemi oddział klanu. Otik zatrzymał się tu i wszedł zawziecie. Postąpił nawet parę kroków do przodu, jakby pragnął się upewnić w swych odkryciach. Potem zdecydowanie zawrócił do wyjścia z podziemi.

Zbyt ciemna to była droga, by dostrzec jakies ślady. W głębokim mroku Otik wyglądał jak jakis czarny kolos. Znow wziął Jony'ego

za reke i pociagnal go ku otworowi. Skoro Otik byl pewien, ze tedy wlasnie Geogee podazal za Volneyem...

Byli juz prawie w murowanym podziemnym korytami, gdy wskros kamieni wielkiego budynku dal sie slyszec przerazajacy dzwiek. Brzeczzenie latajacego pojazdu! Slabe, lecz narastajace. Volney mogl kierowac krokami Geogee'a. Czy byl tez w kontakcie z tymi, ktorzy przybywali z odsieczka? A z ta szybkościa, z jaka przemieszczal sie pojazd w powietrzu...

Otik tez nasluchiwal, po czym chrzaknal i pociagnal Jony'ego za reke. Najwyrazniej i on, zaalarmowany, widzial potrzebe pospiechu.

Szli teraz tak szybkim krokiem, ze Jony obawial sie, Maba za nimi nadazy, ale ona dreptala obok z taka a latwoscia, z jaka zawsze wedrowala z klanem, zanim kamiennego miasta i przybycie statku nie naruszyl spokoju ich bezpiecznego zycia.

Przejscie, ktorym szli, wychodzilo na otwarty teren pomiedzy grzbietami wzgorz. Jony sadzil, ze miejscem ich przeznaczenia byla lezaca na szczycie jaskinia z klatka, a w kazdym razie Otik kierowal sie na polnocny wschod. Jony nie mial pewnosc, czy Geogee nadal jest gdzieś przed nimi. A co z grupa czlonkow klanu, ktora wycofala sie ze swymi wiezniami?

Jony poczul suchosc w gardle, niejasno zdal sobie sprawe z wlasnego glodu i pragnienia. A Maba? Nadal sie nie skarzyla, ale czesto sie potykala, az nagle upadla. Jony pochylil sie nad nia, a wtedy Otik, pochrzakujac w swej wlasnej mowie, raz jeszcze wzial ja na ramiona.

Od czasu do czasu Jony sondował myśla. Nie odebrał jak dotąd tej martwoty, która - jak sądził - mogłaby oznaczać Geogee'a. Zetknął się natomiast ze świadomością zwiastującą obecność jednego z członków klanu.

Ten krótki kontakt dodał mu siły, zagrzał do dalszych trudów. Droga, którą podawali, wiała się od jednego skraju doliny do drugiego i była tak kreta, że Jony zwątpił, czy sam Otik jest pewien kierunku. Ten jednak nie wahał się wcale, skrecał na prawo lub lewo z taką niewzruszoną pewnością, jak gdyby podążał dobrze oznakowanym szlakiem.

W świetle księżycy Jony dostrzegł wznoszące się stopnie. Znalte drogę - wiodła do jaskini z klatką. Na szczycie, w świetle księżycy rysowała się niby wyniosła skala zgarbiona sylwetka Voaka. U podnoża wzniesienia Otik postawił Mabe na ziemi. Wzjął nie tylko swój kij, ale i dzide Jony'ego i uderzając ich tępymi końcami w kamienne stopnie zaczął bebnąć. Jony objął Mabe za ramiona i pomagał jej się wspinać.

W jasnym świetle księżycy czekał na szczycie Voak. Nie wykonał żadnego gestu na powitanie, nie usunął się też z drogi, odwrócił się tylko i pomaszzerował naprzód, dudniąc swym kijem do wtoru Otikowi. Zwolnili kroku i szli niespiesznie, z ociężałą godnością. Voak podniósł swój głęboki głos, młodszy samiec zawtorował.

-Jony - zaczęła Maba.

Uscisnął ją mocniej i uciszył krótkim szeptem:

-Sza!

I znow poczul mrowienie. Tym razem jednak wzmozone, uderzajace jak szereg drobnych wstrzasow. Nie pozwalal sobie na myslenie o tym, do czego zdolna byla ta moc - nalezalo po prostu podazac za nia az do konca.

Otworzyla sie przed nimi czerwono oswietlona jaskinia, a w niej stala klatka. Tym razem jednak miescila nie kosci, a zywe ciala. Bylo tam dwoch astronautow i Geogee, ktory przycupnal przy jednym z nich. Jego helm zniknal, a chlopiec wygladal, jakby wytarzal sie w blocie i kurzu. Ale, o ile Jony mogl sie zorientowac, Geogee byl caly.

Czlonkowie klanu uwiezili pojmanyh ludzi, ale nie nalozyli im jeszcze obroz. Nalezace do przybyszow ogluszacze oraz ich helmy lezaly rzedem na podlodze, nie opodal klatki. Ogluszacze - i jeden z czerwonych pretow! Jony zacisnal dlon. Zapragnal pochwycic ow pret i cisnac go, odrzucajac tak daleko, by nikt juz nigdy nie mogl sie nan natknac.

-Ty, Jony! - To odezwal sie towarzysz Geogee'a. Zblizyl sie do pretow klatki i chwycil je rekami.

Jony puscil dlon Maby. Nie zwracal uwagi na wolania przybysza. Skoncentrowal sie natomiast na Geogee'u. Czytal w jego myslach, w pamieci, siegajac glebiej, jak sie dalo.

Wszystkie nowe odkrycia segregowal, umieszczal niejako w swym rejestrze zgromadzonej wiedzy. Coz jednak stalo sie z Geogee'em? Byl obcy! Nie byl mentalnie sterowany, tak jak to Jony stwierdzil poprzednio, kiedy to osobowosc chlopca - na stale, badz czasowo - zostala wymazana, starta i zastapiona tylko tymi myslami, jakie chcieli tam widziec ci, ktorzy go



zniewolili. Nie, umysł Geogee'a był tak żywy jak zawsze; stało się po prostu tak, że przyjął zupełnie inny sposób myślenia.

Geogee żywił teraz wielką niechęć i urazę do klanu. Pochwycili go w zastawioną sieć, zniweczyli szanse uratowania przybysza, udowodnienia Volneyowi, że on, Geogee, zasługuje na jego zainteresowanie, że jest go wart.

Otoż to - wart! Przejęło to Jony'ego goręczo. Czytając w myślach Geogee'a, Jony wiedział, co ten o nim sądzi. Zaczął też rozważać swe własne uczucia w stosunku do chłopca. Chronił dzieci i troszczył się o nie, ponieważ były dziećmi Rutee. Lecz nigdy nie żywił do nich takich uczuć jak dla niej, nie czuł, by one były częścią jego istoty, a on ich częścią. Możliwe, że odstraszało go od nich to, że urodzone były z Rutee i woli Wielkich; dzieci mentalnie sterowanego, który wziął Rutee siłę. W głębi duszy Jony nienawidził aktu, który sprowadził je na świat. I tylko dana Rutee obietnica oraz tłumienie własnych uczuć zaowocowały tym przyjaznym na zewnątrz związkiem z bliźnietami. Czy dzieci, mimo że nie mogły czytać w jego myślach, zawsze odczuwały te rezerwy? Możliwe. A teraz Geogee znalazł w tym astronautę kogoś, z kim poczuł się prawdziwie spokrewniony. Jego dusza otworzyła się na drugiego człowieka i chciwie, radosnie czerpał to, co tamten miał mu do ofiarowania. Geogee był mentalnie sterowany z własnego wyboru. Jedyne czego pragnął, to zostać drugim Volneyem.

Tak więc znalazłszy Volneya, Geogee był w pełni gotów, by obrócić się przeciwko Jony'emu, przyjąć wartości Volneya bez żadnych pytań. Geogee, Geogee był stracony.

Czy również i Maba? Nie było jednak czasu, by o niej myśleć.

Trzeba sie bylo teraz zajac Geogee'em, Volneyem, tym trzecim. Nie mogli pozostac tu, w niewoli, w jakiej niegdys Lud trzymal swoich wiezniow; przeciez latajacy pojazd juz krazyl, poszukiwal...

Ale nie mozna im tez pozwolic, by zrealizowali swe zamiary w stosunku do Ludu, w stosunku do tego swiata!

Jony dostrzegal w umysle Geogee'a zniekształcony obraz Ludu, zgodny z osadem ludzi: wielkie, niezgrabne, powłoczace nogami zwierzeta, z ktorymi nalezy sie uporac tak jak z jakas przeszkoda, ktora bez trudu mozna zmiesc z drogi. Lud nie przetrwa, nie sprosta potedze, jaka moga zgromadzic najezdzczy.

Jony raz jeszcze przeszukal pamiec Geogee'a, chlonac wszystko to, czego mogl chłopca nauczyc Volney, szukajac jakiegos wyjścia z sytuacji, drazac w poszukiwaniu szczegolow dotyczacych sposobu komunikowania sie ludzi ze statku. Trzeba bylo czasu, by przemyslec to, co tam znalazl.

Geogee wstal, jego twarz wykrzywil grymas. Nie mial zadnej oslony przed wtargnieciem Jony'ego, ale walczył zapamietale. Jony wycofal sie, a Geogee przypadl do pretow klatki i podniesionym, pelnym wyzwania glosem krzyknal:

-Wypusc nas, Jony! Kaz im nas wypuscic! - Znowu byl malym chłopcem, ktorym targal strach.

-Wiesz, on ma racje. - Volney obserwowal Jony'ego przenikliwie, z powatpiewaniem. Niedbale wydal wargi, jak gdyby nie bylo powodow, by bac sie Jony'ego, jakby to on, Volney, calkowicie panowal nad sytuacja. - Nie wiem, jakim sposobem tym

zwierzetom udało się wywrzec na ciebie taki wpływ, ale...

Jony zmierzył go wzrokiem i szybko zaczął sondować umysł wroga. Mimo że Volney pozbawiony był swego ochronnego helmu, Jony napotkał zwarta osłone. Astronauta odchylił głowę i zaśmiał się szyderczo.

-To ci się nie uda, moj przyjacielu. I wśród nas są wrażliwi, lecz są dobrze wyszkoleni.

Mowiac, równocześnie odparował cios. Jony odczuł ten atak, lecz choć nie wznosił żadnej bariery, tamten nie mógł swą myślą przeniknąć do wnętrza. Volney, wkładając w to całą swoją siłę, starał się dosięgnąć Jony'ego, być może z zamiarem wszczęcia mu własnych przekonań. Lecz wszelkie jego usiłowania speliły na niczym.

Niedbaly grymas zniknął z jego warg. Zaciśnął ponuro usta. Jego oczy wpatrywały się wprost w oczy Jony'ego bez zmrużenia, jak gdyby siła tego wzroku mogła mu otworzyć drogę do umysłu chłopca.

-Nie możesz - powiedział Jony, wiedząc, że mówi prawdę.

Tamten odprezył się,

-A więc na dystans - powiedział.

Jony nie znał tego słowa, ale rozumiał znaczenie.

-I tak prędzej czy później ci dostaniemy, wiesz o tym. Jony pomyślał o latającym pojeździe, który wrócił z posiłkami. Wiedział, że Volney ma rację, ale nie zamierzał kapitulować.

-Nie macie tu zadnych praw. Ten swiat nalezy do Ludu.

-Czy to oni zbudowali miasto? - odparowal Volney. - Ty wiesz, w jakiej roli oni tu wystepowali. To zwierzeta, udomowione zwierzeta, rzeczy, ktore sie posiada. Przebadalismy twoj Lud. Nie maja umyslow, ktorych wzorce pozwolilyby uznac ich za rownych ludziom wobec praw rządzacych galaktyka. To miasto to magazyn. Odkrycie, jakiego ludzie dokonuja moze raz na tysiac lat. Ten swiat jest naszej rasie potrzebny.

-Potrzebujecie, wiec zabieracie - odparl Jony. - Wielcy potrzebowali, Wielcy brali. To my bylismy wowczas zwierzetami w ich laboratoriach. Bylem zamkniety w klatce. Widzialem, jakie robili doswiadczenia, by poszerzyc swoja wiedze. Zdobywali wiedze kosztem naszej meki, krwi, smierci. Wy robiliscie to samo, badajac Yae i Voaka. Zwierzeta? Wy i Wielcy znaczycie mniej niz zwierzeta. Nawet Czerwone Glowki nie torturuja ofiar przed ich zabiciem, a zabijaja tylko po to, zeby zyc. Chcielibyscie posiasc ten swiat, ale go nie zdobedziecie, nie bedzie wasz!

To, czego dowiedzial sie Jony, sondujac pamiec Geogee'a, co tkwilo w jego myslach jako niejasny, mglisty pomysl - teraz, polaczone w jedno, przybralo ksztalt zdecydowanego zamiaru. Jony ukladal plan przeciwdzialania. Cokolwiek mozna bylo zrobic, musial to zrobic.

Reka wsunela sie w jego dlon; to Maba stanela u jego boku, tak samo jak Geogee stal obok wyzywajaco zachowujacego sie Volneya.

-A ty - powiedziala do Geogee'a - co oni z toba zrobili, Geogee? Yaa, oni jakrzywdzili. Kiedy byles chory, nosila cie, wszedzie

szukala lisci, zeby cie wyleczyc. Yaa i Voak oni nie sa rzeczami, przedmiotami do uzytku. Oni naprawde sa, sa naszym ludem.

-Lud? - Wykrzyknal Geogee zduszonym glosem, z twarza czerwona ze wzburzenia. - To ludzie ze statku sa naszym ludem i ty o tym wiesz. Przybyli, by zabrac nas j do domu, zebysmy mogli zyc tak, jak powinnismy, a nie wloczyc sie jak stado zwierzat z nim, ktory mowi nam, co i mamy robic, wdziera sie do naszych umyslow, zmusza nas do posluchu! On toba steruje, a ty nawet o tym nie wiesz. Ale sadze, ze mentalnie sterowani wcale o tym nie wiedza, nie wiedza, gdyz sa zawsze i wciaz zniewaleni...

Jony nie mogl juz dluzej sluchac tej gmatwaniny slow. Lagodnie wyzwolil swoja reke z uscisku Maby. Zrobil dwa kroki w kierunku miejsca, gdzie lezala na skale bron obcych. Byl tam tez i helm Geogee'a. Mial on byc pomocny w tym, co Jony zamierzal.

Podniosl helm i usilowal go wlozyc na glowe, ale przeszkadzal mu gruby pedzel wlosow. Niecierpliwie siegnal po trzymana przez Otika metalowa dzide. Jej ostra krawedzia obcial wlosy, rzucil je na ziemie. Teraz helm pasowal. Jony siegnal po najblizej lezacy ogluszacz i po czerwony pret.

Voak podszedl i zadal pytanie:

-Co ty robic?

-Ja musiec to robic, ja chciec Lud pozostac wolny. Wodz najwidoczniej uwierzyl, bo odszedl na bok. Jony wzial ogluszacz w jedna reke, a pret w druga.

-Nic nie mozesz zrobic, ty glupcze - zadziorny glos Volneya dochodzil nawet do wnetrza helmu.

-Nie badz taki pewny - odpowiedzial Jony, odwracajac sie do wyjścia z jaskini. Jego liche plan mogli zawiesc z wielu powodow, ale czy dlatego nie mial poddac go probie?

## XVIII

Jedna szansa na ile? Jony potrzasnal glowa. Jezeli to, czego sie Geogee dowiedzial od Volneya bylo prawda, takie szacunki nie mialy sensu. Czy to moglo byc prawda? Czy rzeczywiscie szansa znalezienia tego swiata przez obcych byla tak niewielka? Tak uwazal Volney, lecz czy mozna bylo polegac na jego ocenie? A gdyby ich statek nigdy juz sie nie wzbil z tej planety, nie wrocil do bazy z ladunkiem informacji o tym swiecie, wowczas szanse ponownej ekspansji zmalalyby znacznie. Jeden czlowiek ma zwyciezyc statek? To by graniczilo z cudem. Jednak trzeba sprobowac.

-Wzywam Przyczolek. Przyczolek, zglos sie! Czy mnie slyszycie?

Jony szarpnal glowa, reke podniosl do helmu. Czyj glos zabrzmial mu w uszach? Trudno bylo skojarzyc ten metaliczny, zgrzytliwy dzwiek z normalna mowa.

Po chwili zrozumial. Odbiornik w helmie pracowal. Ci, ktorzy przybyli na latajacym pojezdzie, probuja teraz zlokalizowac reszte swojego oddzialu.

Glos przeszedl teraz w tak dokuczliwe brzeczenie, ze Jony najchetniej zerwalby helm z glowy. Odkryl jednak, ze dzwiek

nasila sie lub rosnie w zaleznosci od tego, jaka droge on sam w danej chwili obieral miedzy grzbietami, zdazajac wsrod nocy ku miastu.

Moglby to wiec byc przewodnik! Sledzac natezenie glosu, Jony dostalby sie do oddzialu, ktory przybyl latajacyim pojazdem. Ale na razie nie czas jeszcze spotykac sie z tymi ludzmi. Byly pilniejsze sprawy.

Jony odmalowal sobie w wyobrazni rzedy zdobytych skrzyn, ktore astronauta przyniesli z podziemnych magazynow. Stanowily przynete, ale i niebezpieczenstwo. Zakolysal czerwonym pretem trzymanym w dloni. Ta obca bron wazyla znacznie mniej niz metalowa dzida, ktora zostawil w rekach Voaka, ale byla o wiele grozniejsza. Ile jeszcze takich pretow tam lezy, zamknietych w skrzyniach? Potrzeba tylko jednego lub dwoch, by wygrac te bitwe z przybyszami z dalekiego swiata.

Jony odsunal teraz swoj plan na bok i skupil sie na brzezcacym przewodniku; nie spodziewal sie jednak, by ten latwo zaprowadzil go do celu. Chlopiec biegł rownym truchtem, przecinajac doliny na zboczu. Glodny, tak, byl glody, byl tez i spragniony. Od kiedy jednak doznal przyplywu energii z dloni kamiennej kobiety ani glod, ani pragnienie nie mogly go zatrzymac. Nie bylo teraz czasu, by zaspokajac potrzeby ciala.

Skret, nawrot, w prawo, potem w lewo, wciaz z tym dzwiekiem w uszach, to rosnacym, to zanikajacym. Jony zobaczyl wreszcie sylwetke miasta, czarna, srebrzaca sie w swietle ksiezycy bryle. Brzezczenie kierowalo go w lewo, ku odleglemu krancowi miasta. Nie byl on jeszcze celem Jony'ego.

-Przyczolek, zglos sie! - Znow rozkazujace, zadajace odzewu slowa.

Jony nawet gdyby chcial, nie moglby odpowiedziec. Astronauci rozmawiali ze soba w sposob ustalany przed wyruszeniem ze statku. Nawet Geogee nie mogl dostarczyc klucza do tego szyfru.

Brzeczzenie slablo. Wchodzac do miasta od tej strony, Jony celowo oddalal sie od pojazdu. Jego obecny cel byl wszakze blisko, trzeba bylo tylko uniesc glowe, by dojrzec wznoszaca sie wysoko budowle. Zanim jednak doszedl do kamiennej rzeki, musial pokonac boczne kamienne drogi, przechodzac z jednej na druga. Omijal oswietlone przestrzenie i szukajac schronienia w cieniu, przemykal sie chylkiem, starajac sie nie tracic szybkości.

Jony przyzwyczail sie juz do nieustannie rozbrzmiewajacego w helmie dzwieku. A jednak, kiedy glos przerwal i nagle jednostajne brzeczzenie, zatrzymal sie jak wryty.

-Ostatni komunikat byl nadany z tego centralnego budynku. Stamtad trzeba rozpoczac poszukiwania...

A wiec ludzie z pojazdu zmierzali w tym samym kierunku! Uslyszawszy to, Jony porzucil ostroznosc i zaczal biec. Trzeba sie tam dostac przed nimi. Jony nie mial pojecia, jaka bron mieli ze soba przybysze oprocz ogluszaczy. Lecz jesli uda im sie zawladnac pretami, jezeli beda wiedzieli, jak ich uzyc...!

Dyszac z lekka, Jony znalazl sie przy prowadzacych wzwyż wystepach z kamienia i spojrzal w gore, gdzie u szczytu schodow



stała kamienna kobieta. Wspinając się, nie odwracał od niej wzroku. Czy nie należało zapobiec i temu, by obcy mogli skorzystać z tej mocy, która spłynęła na niego wraz z dotykiem kamiennej dłoni? Trudno było na to odpowiedzieć.

Gdy stał tak znowu przed kamienną kobietą, wpatrując się w jej spokojną twarz, w zwrócone na miasto oczy, trochę wbrew swojej woli, unosił czerwony pret. Jaki był cel istnienia kamiennej kobiety? Czy ustawiono ją tu, by czuwała nad tym, co złożone zostało w leżących poniżej podziemiach? A śpiący? Nie był to czas na domysły; rozważania te należało odłożyć na później, nie puszczając ich jednak w niepamięć.

Z łomotem przebiegł Jony obok kamiennej figury, między rzędami kamiennych kolumn, ku skrzyni ze śpiącym, ku leżącym poza nią stertom pudeł. W głębi wielkiej sali było bardzo mało światła, ale coś w przezroczystej części helmu sprawiało, że Jony widział tak świetnie, jakby to było samo południe i słońce świeciło wysoko na niebie.

Dobiegł do krawędzi stosu skrzyn. Co kryły w sobie? Jakies zdumiewające, cudowne, trudne do wyobrażenia przedmioty należące do zaginionego Ludu? Przez chwilę ciekawość i pokusa jej zaspokojenia walczyły z celem, jaki przyswiewcał Jony'emu. Z pewnością nie wszystkie pojemniki zawierały niebezpieczne, zabojujące przedmioty. A może i tak. Lud przez wszystkie te lata, jakie minęły od czasu ich ucieczki z miasta, musiał wiedzieć o tych bogactwach, które mogły się okazać dlań cenne. Odwrócili się jednak od wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z ich byłymi władcami. I teraz lepiej było przyjąć ten osad Ludu, zamiast zaspokajać własną chęć zglebienia zakazanej wiedzy.

Jony zdecydowanym ruchem uniosł pret, kciukiem odnalazł przycisk u nasady, wycelował w sterne skrzyn i nacisnął. Tym razem płomień wybuchu nie oslepił go, przypuszczalnie zapobiegła temu jakaś umieszczona w helmie płytki chroniąca oczy. Pojemniki, w które celował, w jednej chwili przestały istnieć, nie zostawiając nawet pyłu, który znaczyłby ślad na miejscu, gdzie leżały. Znowu podniósł broń i nacisnął. Zniknęła druga sterne skrzyn. Jednak za trzecim naciśnięciem wybuch nie nastąpił, mimo że Jony naciskał guzik z całej siły.

Co się stało? Czy niszcząca energia zawarta w precie starczała tylko na dwu- lub trzykrotne użycie? Jony rozglądał się gorączkowo. Gdzie można by znaleźć następny pret? W skrzyniach leżących z tyłu?

Skoczył do najbliższej, złapał za pokrywę i pociągnął. Bez rezultatu. Czyżby skrzynie były zamknięte tak jak klatki Wielkich? Tłumiąc niecierpliwość, Jony obejrzał górne krawędzie, szukając śladów zamka. To naciskał, to pociągał, aż nagle zamknięcie ustąpiło i Jony z furii zerwał pokrywę.

Zawartość skrzyni tak lśniła, że rozjaśniała mrok. Były tam kawałki błyszczącego metalu, iskrzące się kamienie. Jony zanurzył rękę... żadnego preta tam nie było. - To jest tutaj, tuż przed nami, kapitanie! Jony odwrócił się gwałtownie. Słowa rozbrzmiewające w helmie przeraziły go. Było to ostrzeżenie, znak, że nie ma już czasu na dalsze poszukiwania. Pret? Pozostawał tylko jeden, o którym wiedział - ten w rękach śpiącego. Jony pochwycił swój pret, który przed chwilą odrzucił na bok, szybko podniósł się i zbliżył do pojemnika, w którym zamknięty był śpiący. Po raz pierwszy odważył się dotknąć dłonią przejrzystej powierzchni. Pod dotykiem palców wydawała się

gładsza niż kamień. Czy można by ją skruszyć, dostać się do wnętrza? Trzymając swój bezużyteczny już pret w obu rękach, z furia podobna do tej, z jaką Maba walila w maszynę na statku, Jony zamierzył się i uderzył w gładką pokrywę skrzyni.

Raz, drugi. Nie było nawet śladu pęknięcia. Jony starał się za każdym razem uderzać w to samo miejsce, mając nadzieję, że w ten sposób skupiona siła poszczególnych uderzeń da w końcu jakiś efekt. Powierzchnia pozostawała jednak nienaruszona.

Kiedy wodził palcami w miejscu uderzenia, nie wyczuł żadnych rys na gładkiej powierzchni. Czyżby pojemnik ze spiącym był zamknięty w podobny sposób jak tamte skrzynie?

Jony opadł na kolana i rozpoczął dokładne oględziny krawędzi, tam gdzie stykały się z przejrzystym wierzchem. Naciskał, pociągał, usiłował wepchnąć koniec preta w miejsce połączenia, by podważyć jak dźwignia. Lecz nie znalazł żadnej najmniejszej szczeliny, która by na to pozwoliła. Stając na nogi, wściekły z powodu doznanego zawodu, Jony z rozpaczą spoglądał na czerwoną maskę okrytej całunem postaci, na pret. Nie było już czasu, żeby przeszukać tamte skrzynie - nie było ani chwili!

Raz jeszcze powiodł ręką wzdłuż pojemnika. Gdyby tylko natrafić na jakies połączenie, na ślad zamknięcia! I wtedy...

Jony zeszywniał, gwałtownie cofnął rękę. Oslupiały wpatrywał się w skrzynie. Podobnie jak kiedyś pierwsze zetknięcie się z dłonią kamiennej kobiety dostarczyło mu nieznannej energii, tak i teraz doznał podobnego wstrząsu.

Z wahaniem pochylił się nizej, czubkami palców wodzić po

powierzchni leżacej nad maska skrywająca nieznaną twarz. To, co wyczuł, nie było pęknięciem, czy rysa. Nie, palce podpowiedziały mu, że to, czego nie można było dostrzec, to pewien fragment powierzchni ukształtowany na wzór dłoni kamiennej kobiety.

W zetknięciu z zewnętrznymi krawędziami tego obszaru jego ciało reagowało mrowieniem. Oczy natomiast nie odróżniały tych zarysów. Jony wyciągnął rękę, zawiesił ją nad tą niewidzialną powierzchnią, która wydawała się promieniować energią. Czyżby to właśnie miało stanowić sposób otwierania skrzyni, tak różny od zamknięcia klamek, z którymi kiedyś umiał sobie radzić?

-Rozpylac! - W helmie znowu zabrzmiał rozkaz. - Rozpylac pod nami, najszerszej jak można.

Nie ma już czasu! Jony umieścił rękę na powierzchni, tuż nad maską.

Ladunek energii strzelił gwałtownie w jego ciało. Za późno już było, by się bac; Jony nie mógł wycofać ręki, mimo że próbował z całych sił. Miał wręcz uczucie, że została mocno pochwyciona, wciągnięta w przezroczystą substancję pokrywy. Oczy upewniły go jednak, że tak się nie stało.

Jony odruchowo zaatakował, natarł, używając swej osobistej broni, swego szczególnego daru. Całą moc skupił na woli otwarcia skrzyni, uwolnienia ręki.

I oto z miejsca, gdzie spoczywała jego dłoń, rozbiegła się nagle we wszystkie strony sieć wyraźnych pęknięć. Pojawiało się ich coraz więcej i więcej, poszerzały się, łączyły; okrywa rozpadła

sie na kawalki, odlamki opadaly na spiaczego. Jony zostal uwolniony, gdyz ta czesc okrywy, ktorej dotykal, rozpadla sie zupełnie.

Pekniecia biegly coraz dalej, az do krawedzi laczonej ja z kamiennymi bokami. Cala przejrzysta substancja opadla w dol, pokruszona na drobne kawalki, niektore tak drobne jak pyl. Wionelo chlodnym powietrzem, dobyl sie zapach zracego plynu, ktory Jony niejasno skojarzyl sobie z laboratorium.

Nie bylo jednak czasu na badania czy dociekania. Nie mial tez najmniejszego zamiaru niepokoic spiaczego, zdzierac zen maske. Zamiast tego, wolna juz teraz reka siegnal po pret, wydobywajac go ze slabego uchwytu dloni spiaczego. Zeby tylko pret dzialal!

Nie patrzac dluzej na spiaczego, Jony w dwoch susach znalazl sie na podlodze przestronnej sali. Nacisnal przycisk. Strzelilo ogniem, skrzynie zniknely!

A Jony bezustannie na przemian unosil i opuszczal bron nalezaca do nieznanego mezczyzny, pracujac w pospiechu, by zniszczyc bez reszty skrzynie przyniesione przez obcych z magazynow. To, co lezalo jeszcze w podziemiach, rowniez musialo zostac calkowicie zniszczone, choc teraz nie bylo na to czasu.

-Kapitanie! Tam, przed nami! Kto tam jest?

Jony odruchowo skryl sie za najblizsza kolumna. Osiagnal juz sporo. Teraz trzeba bylo stawic czolo najezdzcem i przeprowadzic do konca swoj nieprawdopodobny plan. Energia, dzieki ktorej zniknely skrzynie, mogla teraz unicestwic ludzi!

Stwierdził jednak, że nie potrafi nacisnąć przycisku. Zawrzał w nim gniew na to poczucie niemożności, by obroczyć w nicosć ludzi, istoty należące do własnego gatunku. Zamiast użyć preta, sięgnął po ogluszący.

Było ich czterech - nie, pięciu mężczyzn skradających się w cieniu, od jednej podpory do drugiej. Wszyscy trzymali broń w pogotowiu. Dwóch (trudno ich było od siebie odróżnić, gdyż głowy mieli ukryte w kulistych hełmach) miało jakąś inną broń, prawdopodobnie potężniejszą od ogluszący.

Jony wyceLOWał w jednego z nich. Postać zgięła się wolno, upadła twarzą w dół, trzymana broń wysliznęła się z bezwładnej ręki i uderzyła o podłogę. Jony zauważył, że pozostali odwrócili się na odgłos tego upadku.

Jeden z nich rzucił się w kierunku broni. Jony znowu strzelił z ogluszący.

-Nie ruszać się! - Zabrzmiął ostry rozkaz. - Ktokolwiek to jest, kryje się tam, za słupem. Strzelaj laserem, Mofat!

Promień oslepiającego światła pomknął i objął podpórę, spoza której Jony składał się do drugiego strzału. Kamienny słup zapłonął jak drzewo rżone piorunem. Zar sparzył rękę Jony'ego. Chłopiec nie wątpił teraz, że to miejsce, w którym trwał przycupnięty, przestało już być bezpieczną kryjówką.

-Ani chybi upieczony, kapitanie! - Odezwał się triumfujący głos.

Kolejnej komendy kapitana nie dało się usłyszeć. Cała kamienna sala wypełniła dźwięk; nie był to jednak ten rodzaj dźwięku, który

zdolne są pochwycić uszy, a raczej przepelniająca ciało wibracja. Coś działo się z głową! Jony zerwał helm. Jego umysł, jego mózg! Co... co się z nim działo?

Mgliscie widział, jak tamci zataczając się uciekają. Oni także zrywali swe kryjące głowy helmy, rzucając je na ziemię, jak gdyby te osłony stały się teraz tortura nie do zniesienia.

W kamiennej sali nie było już ciemno. Oprócz światła z żarzacego się słupa, rozchodziło się promieniowanie dochodzące z innej części sali, od strony skrzyni, w której leżał spiący. Wszystkie kolorowe cetki błyszczące na bokach skrzyni teraz stały w ogniu, świecąc tak jaskrawo, że aż raziło w oczy. Spowita całunem, leżąca wewnątrz skrzyni postać, zaczęła się unosić, lecz nie tak jak spiący wstaje z posłania. Zamaskowana głowa podnosiła się wolno na sztywnych, nieruchomych ramionach.

Spiący stał teraz wyprostowany. Nic jednak nie wskazywało, by był żywy. Jego członki nawet nie drgnęły, nie poruszyła się też osłonięta głowa. Stojąca postać nie próbowała wyjść ze skrzyni.

Z góry zagrzmiało, rozległy się słowa, których Jony początkowo nie mógł zrozumieć. Z wolna jednak ból głowy ustępował i po chwili Jony'ego wypełniło uniesienie, poczucie potęgi wynoszące go ponad wszelkie słabości ciała, ponad zamęt myśli.

Jony podniósł się. To jest Przebudzenie, które było zapowiedziane. Przez kogo, pytała ta część jego istoty, która nadal była Jonym, lecz nie czas teraz na pytania. Trzeba się upewnić, że jest bezpiecznie. Nie czując strachu, Jony wkroczył na otwartą przestrzeń. Tam ludzie ze statku ciągle jeszcze się ślanieli, coraz słabiej się poruszając. Uniosł pret.

Niebezpieczeństwo trzeba wymieść z miejsca Poteznego...

Nie! To nie było słuszne. Jony potrząsnął głową, starając się sobie wszystko uprzytomnić. Czuł się tak, jakby było w nim dwoje ludzi, którzy miotają się w przeciwne strony. Użyj siły. Unicestwij tych, co przychodzą w gniewie i chciwości. Nie - zaprotestował ten drugi Jony.

Nie potrafił jasno myśleć. Zabić! - nie! Razić! - nie! Zawalniał nim sprzeczności, a trzeba było działać. Przy kolejnym "nie" wystrzelił z ogluszacza.

Intruzi zgłębili się w pol i upadli na ziemię. Widzisz, nie są już groźni, są spokojni. Potezny jest bezpieczny. Trzeba się zbliżyć, przygotować powrót...

Jony kilku szybkimi krokami podszedł do stojącej postaci z pozbawioną rysów metalową maską. Postać ta była równie nieruchoma jak posąg kobiety z kamienia. Kamienna Kobieta? Gulfa Chmurnej Mocy. Imię to kolatało mu gdzieś w głowie. Gulfa, która nigdy nie umrze, gdyż tkwią w niej potężne siły. Lecz to nie jest godzina Gulfy. To godzina Powrotu... Przebudzenie nadchodzące, by...

Jony wspinał się po stopniach, by stanąć twarzą w twarz z zamaskowanym. Idąc wypowiadał słowa, których ani nie znał, ani nie rozumiał. Gulfa słusznie powierzyła mu moc, by podniósł śpiącego. Teraz trzeba tej mocy użyć!

Wyciągnął rękę. Maskę! Zderzyć maskę, by Potezny mógł oddychać, by ożyć. Tylko po to zrodzono go, tylko po to uczono go - silne było to, co przelalała wewnątrz Gulfa wraz z zetknięciem dłoni



- polowicznie zapamietane fragmenty, poczucie zadania, ktore  
mial spelnic.

Jednakze Jony bil sie teraz myslami, odczuwal dziwne, niejasne  
watpliwosci, podobnie jak w chwili, kiedy nie mogl sie  
zdecydowac na uzycie preta, by zgladzic nieproszonych  
przybyszow, ktorzy wtargneli do sanktuarium Poteznego. Byla i  
inna obawa. Nie wolno zdejmowac maski z tej glowy. Nieprawda,  
to wlasnie jest jego wielka misja: przywrocic swiatu Poteznego.  
Nie... tak...

Nie!

Jony oprzytomnial jak ktos, kto obudzil sie ze snu. Byl to dawno  
prezen sniony, pelen grozy koszmar. Byl soba, byl Jonym. Nie  
byl zwiazany z ta przerazajaca, martwa rzecza powstajaca z  
rozbitej skrzyni.

Pochwycil pret, nacisnal przycisk.

Rozlegl sie odlegly dzwiek, krzyk skrajnej rozpacz.

Nic juz nie stalo w skrzyni. Jony pochylil sie, by zajrzec do  
wnetrza. Nic tam juz nie lezalo. W jakis sposob Jony uniknal  
niebezpieczenstwa, ktorego nie rozumial. Czul jednak, ze bylo  
ono wieksze od wszelkich niebezpieczenstw zagrazajacych ze  
strony tego swiata czy tez ze strony przybyszow z kosmosu.

Wzdrygnal sie, potem odwrocil. Ciala najezdzcow lezaly pokotem  
na podlodze. Jony nie wiedzial, jak do tego doszlo, lecz ta czesc  
bitwy mimo przygniatajacej przewagi obcych zostala prezen  
wygrana.

Zszedł po stopniach, by przyrzec się swym więzniom. Wszyscy byli nieprzytomni. Zabrał ich broń, ułożył w stos i wystrzelił z preta.

A teraz na statek.

Bez trudu odnalazł latający pojazd. Astronauci zostawili straż, lecz stroj ze statku i helm pozwoliły mu wejść. Raz jeszcze rozbroił ludzi i zniszczył ich broń, pozwalając strażnicy przyglądać się swemu dziełu. W obawie przed tym unicestwiającym promieniowaniem zawiezli go na statek.

Jony stał u stop wznoszącego się, skierowanego ku gwiazdom kadłuba, przenosząc wzrok ze statku ku niebiosom, gdzie rozbłysła jutrenka. Statek, który nigdy nie powróci - nie byłby to pierwszy statek zaginiony w wyprawie badawczej. Jedyne zapis tego, co ci ludzie tu odkryli, znajdował się na pokładzie. Nigdy nie dotrze on do tych, którzy rządzą gdzieś tam daleko, chcieliby zająć i tym światem.

Może kiedyś znowu przybędzie przypadkiem inny statek. Lecz Lud będzie już wtedy ostrzeżony, gotów na jego przyjęcie. Ta opowieść pozostanie żywa w ich pamięci, by wiedzieli, jak postąpić, gdy historia się powtórzy.

Ludzie jego własnego rodzaju - myślał Jony - zbudowali ten statek, mieli odwagę zapuszczać się na nim na odległe kręgi kosmosu. Gdy tak patrzył na statek, potrafił zrozumieć te ich duma z własnych osiągnięć. Tylko że naprawdę nie osiągnęli zbyt wiele. Umieeli tworzyć przedmioty, maszyny, które ich słuchały, niosły wśród gwiazd ku nowym światom, by mogli tam żyć. Lecz mieli też i inne maszyny, z których byli dumni. Twarz

Jony'ego skrzywiła się na wspomnienie widoku Yai w wieżach urządzenia, które miało z niej wydrzec tajemnice jej życia.

Być może ludzie, którzy pozostaną tu do końca swoich dni, nie pojmą, dlaczego tak się stało. Nie pojmą aktu, którego Jony musiał dokonać. Może z czasem niektórzy to zrozumieją. Jony nie dbał o to.

Ludzie nie byli "rzeczami". Rzeczami nie były też "zwierzeta", nie mogły służyć do doświadczania. Siła życiowa jest wspólnym, cennym darem wszystkich żywych istot. Nie człowiek ją tworzy. Jeśli niszczy on maszynę, tak jak Maba niszczyła urządzenia w laboratorium, można taką maszynę odbudować. Lecz jeśli najezdzący "uszkodziliby" Yae w swym bezlitosnym dążeniu do zdobycia wiedzy, ktoz przywróciłby jej życie?

Ludzie, Wielcy - wszystkie te aroganckie gatunki, które sadzą, że powinny panować nad innymi...

Z wolna Jony zaczął okrazać statek. Mimo że uzyskane od Geogee'a informacje były bardzo ogólne, starszy chłopiec dość się dowiedział, by zrobić to, co było trzeba. Zanim wysiadł z latającego pojazdu, ogluszył pilota, a potem zniszczył silnik. Teraz kolej na większy statek, czas, by i on szedł.

Przedem Potężnego Jony wycelował starannie w miejsce znajdujące się ponad łapami, na których statek się wspierał. Nie był pewien, na jakim poziomie umieszczony był napędzający motor. Miał jednak zamiar tak długo trzymać pret nastawiony na ten cel, dopóki nie dokona widocznych zniszczeń.

W blasku promienia na gładkiej powierzchni kadłuba pojawił się

wyszczerbiony otwor. I przez ten otwor Jony slal w glab energie, ktorej natury nie pojmowal. Odczuwal dobywajace sie z preta pulsowanie. Ze zniszczenia, ktore posial pret, statek juz sie nie podniesie. Szkody byly nie do naprawienia. Jony wykonal polobrot, by odciac lapy. Statek runal, uderzyl o ziemie, polamany, martwy i niegrozny.

Jony wyczuwal zycie wewnatrz statku - to ludzie zaskoczeni jego atakiem. Lecz skonczyly sie juz spory z nimi. Pozbawieni broni, bezradni, nie beda mogli dominowac, lecz beda musieli przystac na warunki tego swiata.

Przez dluzsza chwile przygladal sie pogietemu, skreconemu kolosowi. Teraz zniszczyl z kolei swoj ogluszacz - rzucil go na ziemie i strzelil z preta. Pret - Jony musial jeszcze zatrzymac go przez jakis czas. Tak dlugo, dopoki nie bedzie pewnosc, ze nic juz ze strony najezdzcow nie zagraza.

To, co sie stanie z ludzmi, zalezalo od nich samych. Jezeli zaakceptuja Lud, moga z czasem stac sie czastka tego swiata. Jezeli- nie, musza sobie jakos radzic.

Jony zdjal helm, cisnal go z impetem. Zerwal zapiecia swego stroju, zrzucil go z siebie. Poczul na ciele swiezy, czysty wiatr. Chlopiec dotknal szyi, przypomniawszy sobie obroze. On, Jony, nie byl "rzecza", byl czlowiekiem. Tak jak Voak, Otik i wszyscy inni sa i pozostana ludzmi.

Odwracajac sie od powalonego statku, Jony ruszyl na polnoc, wkraczajac w nowa przyszosc.

EPILOG

-Ty, patrz! Rozwalone pudło. O rany, Johnny, w środku jest zdechły kociak!-Pokaż mi. No zobacz, ktoś ci wyrzucił kociaka jak jakiś stary smiec.

Na dźwięk głosów kotka uniosła głowę. Nie była jeszcze dość przezorna, bo nie zaznała dość okrucieństwa, by bac się tych dźwięków. Ludzkie głosy znaczyły jeszcze jedzenie, ciepło, wygodę. Zamiauczała.

-No nie, nie mogę! Zobacz no tu, w tej starej lodowicy! Kotka i jeden... dwa... Trzy kociaki! Załóż się, że były w tamtym starym pudle! Co robisz, Johnny?

-Co robie? Zabieram je do domu. Wywal wszystko z tego większego pudła. Daj tu te szmaty. Uważaj glupku, nie kładz na wierzch tych mokrych, tylko suche. Powinny być jeszcze jakieś pod spodem.

-Twoja mama dostanie szalu, jak zwalisz się z kotka i trojka kociaków. Pamiętasz, jaka była wściekła o tego starego psa?

-Jasne. Ale jak go odkarmiliśmy, wykopaliliśmy i w ogóle, to wzięli go Wilsonowie i ma tam u nich dobrze. To fajna kotka. Zobacz, lubi mnie. Widzisz, jak się ociera o moją rękę? Tak czy tak, nie zostawie jej tu, nie mogłbym tu zostawić żadnego zwierzątko, żeby zdechl, nic z tych rzeczy. Ludzie czasem są okropni. Nic ich zwierzęta nie obchodzi. Wyrzucają je jak jakieś stare, zepsute graty czy coś w tym stylu. Wyrzucają i z głowy!

-Dobra, ale nie stworzysz jednoosobowej armii, żeby ratować wszystkie zwierzęta...

-Moze i nie, ale mowie ci, jezeli ktos nie zacznie cos robic, to ktoregos dnia...

-To co ktoregos dnia? Zwierzeta sie na nas rzuca? Wyrzuca nas na smietnisko? To masz na mysli?

-Nie wiem. Tylko mysle, ze musimy sie nauczyc tak zyc, zeby dac zyc innym. Kiedys, jak pisalem wypracowanie, to przeczytalem cos takiego: "Zwierzeta nie bracmi nam sa i nie poddanymi; sa to wspolwiezniowie nasi, wespol z nami pochwyceni w siec zycia i czasu, w ten ziemski wspanialy mozol".

-Co? Co to w ogole znaczy, powiedz po ludzku.

-Ze jestesmy razem z nimi czescia tego swiata i ze, no rozumiesz, musimy sie nauczyc inaczej z nimi wspolzyc. Jesli nie, to wszyscy zginiemy.

-Ty i te twoje ksiazki! Chodz juz, daj, pomoge ci niesc to pudlo...

Tysiac lat pozniej, o pol galaktyki stad Jony znow potarl szyje. Poczul zapach obozowiska Ludu. Nie nosil juz obrozy, oni rowniez ich nie nosili. Ani na jednych, ani na drugich nie czekaly zadne zelazne klatki, choc moze i byli sobie obcy. Jony rozpostarl szeroko ramiona, a uczucie wolnosc przyprawilo go niemal o zawrot glowy.

This file was created with BookDesigner program

[bookdesigner@the-ebook.org](mailto:bookdesigner@the-ebook.org)

2010-01-23

